



ROBERT GOOLRICK

ŻONA GODNA
ZAUFIANIA

Goolrick Robert

Żona Godna Zaufania

W zasypanym śniegiem małym miasteczku w Wisconsin bogaty przedsiębiorca Ralph Truitt daje ogłoszenie matrymonialne i czeka na przyjazd kandydatki na żonę. Spodziewa się osoby prostej, uczciwej i, jak wynika z przysłanego zdjęcia, nieładnej. Ku jego zdumieniu z pociągu wysiada tajemnicza piękność. Zaniepokojony Ralph ma wiele wątpliwości i podejrzeń, lecz gdy nieznajoma już w drodze do domu ratuje mu życie, jest gotów jej zaufać. A jednak pierwsze wrażenie było słuszne... Ta osadzona na początku XX wieku opowieść o trojgu ludzi udęczonech gniewem, tłumionymi pragnieniami i poczuciem winy jest subtelną miłosno-kryminalną balladą o czułości, która zabija, i o truciznie, która daje nadzieję na odkupienie.

Część pierwsza
WISCONSIN. JESIEŃ 1907.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

BYŁ PRZENIKLIWY CHŁÓD, powietrze naelektryzowane wszystkim, co dopiero miało się zdarzyć. Świat zamarł z nadejściem godziny czwartej. Nie drgnął żaden człowiek, żaden ptak. Przez ułamek sekundy tylko milczenie, tylko bezruch. Sylwetki zastygłe w zastygłym krajobrazie: mężczyźni, kobiety, dzieci.

Nie dało się jednak tego dostrzec. Nie można było dostrzec bezruchu w tak krótkim odcinku czasu. Gdyby jednak w jakiś niepojęty sposób zdołano go utrwalić, uzyskać negatyw tak, jak szklana płytka przyjmuje światło, a następnie wyłonić zarejestrowany obraz, zrozumiano by, że właśnie w tamtym momencie wszystko się zaczęło. Wskazówka zegara drgnęła. Godzina wybiła. Świat powrócił do życia. Pociąg się spóźnił. Jeszcze nie padało, lecz sądząc po zapachu powietrza, zbliżała się zamięć. Zdeptany śnieg już pokrywał ziemię. Krajobraz umykał sprzed oczu, uchodził w ciem-

ny horyzont, nie pozostawiając patrzącemu choćby jednego szczegółu. Ściernisko w śniegu, ostre jak brzytwa. Wrony dziobiące coś przypadkowego. Czarna rzeka, zmrożony olej.

„Piekło wcale nie musi być ogniem - myślał Ralph Truitt, stojąc na peronie stacyjki w samym środku lodowatej pustki. - Mogłoby wyglądać właśnie tak. Ciemniejsze z każdą chwilą. Tak zimne, że aż zdrętwiała skóra odchodzi od kości”.

Stojąc wśród tego tłumu, czuł ogromną samotność. W rozległej, skutej lodem przestrzeni, w której żył -wszędzie wyciągnięte ręce, wszędzie ludzie pragnący czegoś od niego - każdy miał swoje miejsce. Każdy oprócz niego. W całym tym chłodnym, posepnym świecie ani jednego miejsca, w którym mógłby zatrzymać się na dłużej.

Ralph Truitt zerknął na srebrny zegarek: tak, pociąg się spóźnił. Wokół dostrzegał ciekawskie spojrzenia. Wiedzieli. Był pewien, że pociąg przyjedzie na czas. Zamówił punktualny przyjazd, tak jak zamawia się odpowiednio wysmażony stek. A teraz stał tu jak głupiec, na oczach wszystkich. I był głupcem. Nawet w tej sprawie poniósł klęskę.

Przyzwyczał się, że jego żądania są spełniane. Po pierwszych bolesnych utratkach sprzed dwudziestu lat: utracie żony, dzieci, nadziei i pragnień zaczął traktować własny upór jako obronę przeciwko światu. Był nieugięty i mieszkańcy miasteczka szanowali tę nieugiętość, bali się jej nawet. A teraz zawiódł go pociąg.

Ludzie na peronie starali się sprawiać wrażenie, że wcale nie obserwują, jak Ralph Truitt czeka na spóźniony pociąg. Żartowali. Śmiali się. Rozmawiali po cichu, z szacunku dla niewątpliwej porażki Ralphi Truitta. Czuli w powietrzu nadciągający śnieg. Wiedzieli, że wkrótce zerwie się zamieć. I jak każdej wiosny nadchodził dzień, gdy kobiety z miasteczka - niczym na umówiony znak - wkładały lekkie suknie jeszcze przed początkiem upałów, tak samo każdej jesieni nadchodził dzień, gdy zima obnażała swoje ostrze jeszcze przed zadaniem pierwszego ciosu. To właśnie był ten dzień: 17 października 1907 roku. Czwarta po południu, a niemal ciemno.

Wszyscy patrzyli w niebo, spoglądając jednocześnie ukradkiem na Ralphi Truitta. Czekając, obserwowali, jak on czeka, i wymieniali spojrzenia, ilekroć sprawdził godzinę na srebrnym zegarku. Pociąg nadal się spóźniał.

„Ma za swoje” - myśleli niektórzy, głównie mężczyźni. Inni, głównie kobiety, byli bardziej życzliwi. „Czemu nie, minęło tyle lat”.

Wiedział, że rozmawiają o nim, że powiedzą głośno, co myślą, gdy ich minie, uchylając kapelusza z uprzejmością, którą tak się starał okazywać światu. Dostrzegał to w ich oczach. Dostrzegał przez całe życie. Słowa pełne respektu, uśmieшки na myśl o jego znanej wszystkim przeszłości. Czasem dobre słowo, bo Ralph nadal miał w sobie coś, co mogło budzić współczucie.

Cała sztuka w tym, by się nie poddać. Nie kulić z zimna, nie przytupywać, nie chuchać w zziębnięte

dłonie. Cała sztuka w tym, by się rozluźnić, przyjąć to, że nadszedł mróz i pozostanie na długo. Wychylić się ku niemu tak, jak człowiek wychyla się ku podmuchom wiosennego wiatru. Cała sztuka w tym, by stać się częścią tego zimna, i po dniu spędzonym na mrozie nie wrócić z obolałymi, zdrętwiałymi ramionami i ze spierzchniętą skórą.

„Przed niektórymi rzeczami można uciec - myślał. - Przed większością uciec jednak nie można, a na pewno nie przed zimnem. Nie uciekniesz przed tym, co po prostu ci się przydarza. Utrata miłości. Rozczarowanie. Smagnięcie tragedii”.

Stał więc niewzruszenie, wyprostowany, nie zwracając uwagi na mróz ani na szepty, ze wzrokiem utkwionym w torach kolejowych. Był pełen dziwnej dla niego samej nadziei - że wygląda nie najgorzej, nie za staro, nie nazbyt głupio, nie zanadto bezdusznie. Wierzył, że zamęt, jaki czuje, jego rozpaczliwa samotność - są niewidoczne. Choćby przez tę godzinę, zanim wszystko zasypie śnieg.

Chciał być dobrym człowiekiem i nie był człowiekiem złym. Nauczył się obywać bez pragnień. A teraz, gdy czegoś wreszcie zapragnął, to uczucie złościło go i zdumiewało.

Ubierając się w domu przed przyjazdem na stację, w jednym z luster ujrzał swoją twarz i doznał wstrząsu. Pomyśleć, co z nim zrobiły smutek i wyniosłość. Tyle lat nienawiści, gniewu i rozgoryczenia.

Zapiął kołnierzyk i zawiązał krawat. Wykonywał te czynności co rano - zapinanie, wiązanie, poprawianie - ze skrupulatnością człowieka pedantycznego. Dopóki nie spojrział w lustro i nie ujrzał na własne oczy swojej nadziei, ani razu w trakcie tego nedorzecznego przedsięwzięcia nie sądził, że odważy się ją mieć. Gdy jednak popatrzył na swoją zniszczoną twarz w porysowanej tafli, zrozumiał, że nie umie znieść powrotu do życia. Przez wiele lat miał do czynienia tylko ze śmiercią i z potwornym wstydem. Brnął naprzód - wbrew sobie. Wstawał rano, jeździł do miasteczka, jadł, prowadził odziedziczone po ojcu interesy i brał na siebie brzemię - niechętnie - życia otaczających go ludzi. Sądził zawsze, że jego twarz mówi: wszystko jest w porządku. Wszystko dobrze. Nic złego się nie dzieje.

Tego ranka zobaczył jednak w lustrze, że tylko on dał się oszukać, nikt więcej. I że cudzy osąd nie jest mu obojętny. Ci ludzie, ich dzieci popadali w chorobę. Małżonkowie me kochali się lub, przeciwnie, kochali, a on me mógł nie myśleć o namiętnościach płonących pod ich ubraniem. Pożądanie. Dotyk. Umierało im potomstwo. Czasem całe rodziny w ciągu miesiąca zabierał dyfteryt, tyfus lub grypa. Podczas mroźnych nocy mężowie lub żony tracili rozum i bez żadnej przyczyny podkładali ogień pod własne domy, strzelali do swoich bliskich. W miejscach publicznych zdzierali z siebie ubranie, oddawali mocz na ulicy, wypróżniali się w kościele. Ich ciała oplatały węże. Zabijali zdrowe zwierzęta, palili za-

grody. Co tydzień donosiły o tym gazety. Codziennie miała miejsce jakaś nowa tragedia, jakaś nowa, niewyjaśniona porażka zdrowego rozsądku.

Oblewali ubrania naftą, niefrasobliwie podchodzili do ognia i stawali w płomieniach. Zażywali truciznę Truli się nawzajem. Płodzili córki z własnymi córkami Szli spać zdrowi, budzili się obłąkani. Uciekali z domu Wieszali się. Zdarzały się takie rzeczy. Ralph tymczasem sądził, że jego twarz i ciało są nie do odszyfrowania, że patrzy na ludzi, na ich dziwne kłopoty, bezstronnie i ze współczuciem. Wieczorem zasypiał, starając się o tym nie myśleć, lecz tego ranka, patrząc w lustro, poznał cenę, jaką przyszło mu zapłacić

Miał ziemistą cerę. Włosy matowe i rzadsze, niż pamiętał. Oczy i usta o opadających kącikach, minę pełną goryczy i wyższości. Głowę odchyłoną do tyłu z powodu zbyt częstego przebywania wśród ludzi, którzy stoją za blisko i mówią za głośno. Lecz wszyscy wiedzieli, że w środku jest martwy. Nie zdołał ukryć niczego. Jakim był głupcem.

Dawniej co krok znajdował nową miłość. Uganiał się za byle wstążką na kapeluszu. Lekki chód, muśnięcie rąbka spódnicy, dłoni w rękawiczce odganiająca muchę od piegowatego noska wystarczały, by serce łomotało mu w piersi. Biło z radości. Ze zwykłego, brutalnego oczekiwania. Zakochane tak, że ból przeszywał mu ciało. Teraz jednak odwykł już od romansów, a patrząc rano w lustro, z ukłuciem zazdrości pomyślał o swoim młodszym, lubieżnym wcieleniu.

Pamiętał, jak po raz pierwszy ujrzał nagie ramię kobiety. Pamiętał, jak po raz pierwszy kobieta rozpuściła dla niego włosy: bujną kaskadę o zapachu mydła i lawendy. Pamiętał każdy mebel w tamtym pokoju. Pamiętał swój pierwszy pocałunek. Magię. Kiedyś to było dla niego wszystkim. Pożądanie stanowiło sens jego życia.

Żyjąc tak, jak żył on, w końcu zostaje się bez nadziei. Ralph miał pięćdziesiąt cztery lata i rozpacz pustoszyła go jak zakaźna choroba, a tak długo jej nie zauważał. Nie potrafił wskazać momentu, w którym utracił wiarę.

Mieszkańcy miasteczka mijali go pospiesznie, kłaniając się z szacunkiem. „Dobry wieczór panu”. A także - bo nie mogli się powstrzymać - „Pociąg trochę spóźniony, nieprawdaż?”. Miał ochotę uderzyć kogoś z nich, kazać im odejść. Wiedzieli, oczywiście. Były przecież depesze, bilet kolejowy. Wiedzieli o wszystkim.

Znali jego przeszłość od czasów dzieciństwa. Większość pracowała dla niego: w odlewni żelaza, przy wyrębie, w kopalni, w dziale handlowym lub buchalterii, księgując obroty lub czynsze. Płacił im za mało, choć sam bogacił się z godziny na godzinę. Ci, którzy nie pracowali dla niego — z głupoty lub lenistwa — w gruncie rzeczy nie pracowali wcale, jedynie podejmowali niemrawe, słabe wysiłki, aby przetrwać w tym bezlitosnym klimacie.

Niektórzy byli leniwi. Inni zaś — okrutni dla żon i dzieci. Niektóre kobiety zdradzały swoich nudnych, statecznych mężów. Zimy trwały zbyt długo, były zbyt surowe. Kto mógł to wytrzymać?

Niekiedy ludzie umierali z głodu podczas mrozów. Porzucali wszystko i przenosili się do leśnych szałasów. Znajdowano ich zaślimonych i nagich i oddawano do zakładu dla obłąkanych w Mendocine, gdzie, zawijani w prześcieradła z lodem, byli rażeni prądem, póki nie odzyskali rozumu i spokoju ducha.

Więcej ludzi szło jednak naprzód, niż się poddawało; więcej ludzi pozostawało, niż odchodziło. Ci, którzy pozostawali - zarówno szaleńcy, jak i zdrowi na umyśle - prędzej czy później trafiali do Ralpha Truitta. Bo i on brnął naprzód, zmagając się z zimnem i samotnością.

- Znosi się na zamieć - mówili.

-Już ciemno - mówili. - Dopiero czwarta, a już ciemno.

- Dobry wieczór, Ralph... proszę pana. Będzie śnieżycy, co się zowie. Pisali o tym w almanachu.

Próbowali niepostrzeżenie, lecz odważnie zbliżyć się do niego.

Każda rozmowa z Ralphem Truitem zasługiwała na namysł, na dokładne przeanalizowanie, jeszcze zanim się odbyła, a potem na zapamiętanie i powtórzenie jej innym.

„Widziałem dzisiaj pana Truitta - mówili żonom mężowie, bo niewielu miało śmiałość nazywać go inaczej. - Był taki przyjacielski, pytał o ciebie i dzieci. Zna imiona wszystkich”.

Nienawidzili go. Potrzebowali go. Usprawiedliwiali. Gdy mężowie utyskiwali gniewnie, jakim jest kutwą, dusigroszem, jakim zadufanym w sobie łajdakiem, żony protestowały: „Sam wiesz... dużo przeszedł”.

Oczywiście. Wiedzieli wszyscy.

Sypiał sam. Leżał w ciemności i myślał o tych ludziach.

Wyobrażał sobie ich życie w ciemności.

Mężowie odwracali się i patrzyli na żony, a żądza ogarniała ich jak płomień. Wyobrażał ich sobie, rozpalonych samym widokiem muślinowej koszuli. Jedenaścioro dzieci albo trzynaścioro: dziewięcioro zmarłych, czworo żywych; sześcioro żywych, siedmioro w grobie.

W myślach Ralpa Truitta śmierć i narodziny splatały się nedorzeczenie, spajając miasteczko. W ciemności skóra przy skórze, w świetle dnia — pod krepującym, ciężkim ubraniem. W jego wyobraźni mężowie pędzili do rozgrzanej pościeli i znowu byli młodzi, młodzi i zakochani, choćby tylko przez piętnaście minut, przy wynędzniałych kobietach, które, przez piętnaście minut, znowu były pięknymi dziewczętami o lśniących warkoczach i beztroskim śmiechu. W ciemności myślał jedynie o pożądaniu.

Na ogół potrafił to znieść. Niekiedy jednak nie. Wtedy leżał, dusząc się pod ciężarem dostrzeganej wokół żądy, zaspokojonych pragnień, milczących czułych gestów okazywanych sobie po zmroku nawet przez ludzi, którzy nie mogli na siebie patrzeć w świetle dnia.

„W każdym domu — myślał zafascynowany — tętni życie. W każdym łóżku żądza". Przemierzając ulice miasteczka, na każdej twarzy widział ślady drobnych przysług świadczonych w ciemności i mówił sobie, że on jeden ich nie potrzebuje.

Chodził na śluby i pogrzeby. Rozsądzał spory tych ludzi, znosił ich przemowy. Zatrudniał ich, zwalniał i nigdy nie przestawał sobie wyobrażać, jak po omacku brną w niemej ciemności, jak szukają pocieszenia i je znajdują, by, gdy słońce wszędzie, iść naprzód.

Rano zobaczył w lustrze swoją twarz i była to twarz, jakiej nie chciał pokazywać. Ujrzał głód, zachłanną samotność. A ludzie wokół niego nie byli ślepi. Przez te wszystkie lata bali się tak samo jak on owego ranka.

W kieszeni miał list, a w nim zdjęcie nieatrakcyjnej kobiety, której nie znał, zamówionej niczym para butów w Chicago. Fotografia była całą jego przyszłością i nic więcej się nie liczyło, nawet wstyd, jaki odczuwał, stojąc pośród tłumu gapiów i czekając na spóźniony pociąg. Włożył bowiem całego siebie w tę sprawę, jeszcze zanim zaczął ją ogarniać, i nie mógł teraz ani odwrócić wzroku, ani porzucić zamiaru, który powziął, nim w pełni go zrozumiał.

Pociąg przyjedzie - prędzej czy później - i wszystko, co nastąpiło przedtem, będzie przedtem, a wszystko, co nastąpi potem, będzie potem. Nie mógł się wycofać.' Odtąd musiał patrzeć na swoją przeszłość jak na łańcuch zdarzeń, które doprowadziły do tego zuchwałego odrodzenia się nadziei.

Był pięćdziesięcioczworoletnim mężczyzną, który doznał wstrząsu na widok własnej twarzy, lecz za moment nawet to miało odejść w niepamięć.

„Wszyscy pragniemy najprostszych rzeczy” - pomyślał. Mimo tego, co mamy, i tego, czego nie mamy,

mimo dzieci, które umierają, pragniemy prostoty miłości. To niezbyt wygórowane życzenie: być takim jak inni, pragnąć czegoś dla siebie.

Od dwudziestu lat żadna osoba nie życzyła mu dobrej nocy, gdy gasił światło i kładł się spać. Żadna osoba nie życzyła mu dobrego dnia, gdy rano otwierał oczy. Od dwudziestu lat nie całowała go osoba, którą znałby z imienia, lecz nawet teraz, w pierwszych płatkach śniegu, pamiętał to uczucie: miękki dotyk warg, słodki głód.

Mieszkańcy miasteczka obserwowali go i czekali. „Byliśmy tam — powiedzą swoim dzieciom i sąsiadom. - Byliśmy tam. Widzieliśmy, jak wysiadła z pociągu po raz pierwszy, a wysiadła z pociągu jedynie trzy razy. Byliśmy tam w chwili, gdy ją zobaczył”.

Trzymał w dłoni list. Znał go na pamięć.

Szanowny Panie,

jestem prostą, uczciwą kobietą. Wiele podróżowałam z ojcem po świecie. W swojej pracy misyjnej widziałam świat takim, jaki jest, i nie mam złudzeń. Widziałam ubogich, widziałam bogatych i nie dostrzegam pomiędzy nimi żadnej różnicy: bogaci i ubodzy są równie wygłodniali. Są głodni Boga.

Widziałam toczącą nas śmiertelną chorobę. Widziałam, co świat uczynił światu, i nie potrafię dłużej żyć w świecie.

Wiem, że nic na to nie poradzę i że Bóg też nic na to poradzić nie może.

Nie jestem już młoda. Całe życie byłam córką i dawno porzuciłam nadzieję na zamążpójście. Wiem,

że nie ofiarowuje Pan miłości - a ja bym jej nie szukała - lecz dom, i przyjmę Pańską propozycję, bo niczego więcej nie pragnę. Nie znaczy to, że nie ma ona dla mnie wartości.

Przeciwnie: więcej dobroci i życzliwości pragnąć nie można. Dom jest wszystkim w porównaniu ze światem, jaki widziałam, i jeśli mnie Pan zechce, przyjadę.

Do listu dołączyła fotografię. Czuł pod kciukiem poszarpaną krawędź zdjęcia, gdy uchylał kapelusza przed kolejnym mieszkańcem miasteczka, i dostrzegał kątem oka, jak taksuje on wzrokiem wytworny, choć stonowany czarny garnitur, solidne buty i płaszcz z futrzanym kołnierzem. Gładził kciukiem jej twarz. Wciąż widział te rysy, ani ładne, ani brzydkie. Wielkie jasne oczy spoglądały otwarcie w obiektyw. Miała na sobie nijaką sukienkę z prostym kołnierzykiem - zwykła kobieta, która tak bardzo potrzebuje męża, że zgadza się poślubić nieznanego człowieka starszego od niej o dwadzieścia lat.

Nie odwzajemnił się fotografią, ale też o nią nie prosiła. Posłał jej bilet, adresowany na pensjonat chrześcijański, w którym się zatrzymała w brudnym, wrzaskliwym Chicago, i oto stał tutaj, bogaty człowiek na peronie małego miasteczka w surowym klimacie Wisconsin na początku zimy 1907 roku, wypatrując pociągu, który przywiezie Catherine Land.

Ralph Truitt czekał już długo. Mógł poczekać jeszcze trochę.

ROZDZIAŁ DRUGI

ATHERINE LAND SIEDZIAŁA PRZED LUSTREM, rozstając się z samą sobą. Życie nie pozostawiło w niej miejsca na litość.

„Jestem kobietą, która chce znać zakończenie — pomyślała, wpatrzona w swoją twarz w rozchybotanym lustrze. — Lubię wiedzieć, jak zakończy się opowieść, jeszcze zanim się rozpocznie”.

Catherine Land lubiła początki. Lubiła zapowiedź pustego pokoju, pierwszy pocałunek, pierwszy zamach na cudzą własność. I zakończenia. Dramat tłuczonego szkła, martwego ptaszka, łzawe pożegnanie, straszne ostatnie słowo, którego nie można cofnąć ani wymazać z pamięci.

Kłopoty miała ze środkiem. A teraz, pomimo całego pędu naprzód, właśnie znajdowała się w środku. Początki były słodkie, zakończenia na ogół gorzkie, środek natomiast przypominał rozpiętą pomiędzy nimi linę.

Krajobraz umykał za oknem - pozioma płaszczyzna śniegu. Pociąg szarpał, więc chociaż trzymała głowę nieruchomo, jej kolczyki kołysały się, połyskując.

Przysłał po nią prywatny wagon z salonem, sypialnią i światłem elektrycznym. Nie widziała innych pasażerów, z pewnością jednak musieli być w pociągu jacyś podróżni. Wyobrażała sobie, jak siedzą spokojnie na swoich miejscach wypchanych szarym końskim włosiem, pokrytych bladą skórą. Jej wagon wypełniały czerwone aksamity, lambrekiny i falbanki. „Jak w burdelu - pomyślała. - Jak w burdelu na kołach”.

Wyruszyli po zapadnięciu zmroku i przemierzali noc, zatrzymując się często, aby uprzątnąć zaspy śnieżne z torów. Steward przyniósł jej obfitą, kuszącą kolację: plastry pieczeni i krewetki w lodzie oraz ślicznie lukrowane ciasteczka, które zjadła przy rozkładanym stole. Nie zaproponowano jej wina, a ona nie upomniała się o nie. Srebra były ciężkie i gładkie w dotyku. Pochłonęła wszystko, co dostarczyła obsługa.

Rano parujące jajka, szynka, bułki i gorąca jak ukrop kawa bez mleka, podane przez milczącego czarnego stewarda - zgrabnie jak w zręcznej sztuczce iluzjonisty. Zjadła wszystko. Nie miała innego zajęcia, a turkot kół hipnotyzował ją i upajał, wzmagając apetyt. Z każdą sekundą jej długo przygotowywana i zawila intryga była bliższa urzeczywistnienia.

Gdy nie jadła i nie spała w wykrochmalonej pościeli, wpatrywała się w swoją twarz w lustrze nad toaletką. Tylko ją miała na własność, tylko ona nigdy jej nie zdradziła. Po trzydziestu czterech latach nadal była niezmienną, tak samo piękną, o nieskazitelnej bladej i gładkiej cerze. Rzeczywistość, jakkolwiek bezwzględna dla Catherine, jeszcze nie dosięgła jej twarzy.

Mimo wszystko czuła niepokój. Nerwowo rozważała możliwe rozwiązania, wracała myślami do burzliwej przeszłości, która

doprowadziła ją tutaj, do tego luksusu na kołach pomiędzy początkiem a końcem.

Tak wiele musiało zdarzyć się pośrodku. Chociaż przemyślała wszystko, zachowywała ostrożność. Można było przecież stracić równowagę, orientację. Wszystko mogło się wydać. Środek zawierał zawsze wydarzenia niezaplanowane i właśnie one ją teraz martwiły, o czym dawały znać delikatne fioletowe cienie pod migdałowymi oczami.

Miłość i pieniądze. Nie mogła uwierzyć, że jej życie - bez względu na to, jak bezpłodne i bezcelowe było dotąd - zakończy się bez miłości i bez pieniędzy. Nie mogła, nie chciała pogodzić się z tą myślą, bo to by oznaczało, że koniec właśnie nastąpił. Nie wahała się, była zimna jak stal. Wiedziała, że musi zdobyć te dwie rzeczy niezbędne do przetrwania. Przez lata wierzyła, że wszystko przyjdzie w swoim czasie. Wierzyła, że anioł zstąpi z nieba i obdarzy ją bogactwem, tak jak obdarzył ją urodą. Wierzyła w cuda. A raczej wierzyła w nie dawniej, aż osiągnęła wiek, w którym nagle zrozumiała, że przeżywane przez nią życie jest w istocie jej życiem, że innego nie będzie. Glina, z jakiej została ulepiona, tak długo plastyczna, miękka, nie wie-

dzieć kiedy uformowała się, stwardniała w niezmienny kształt, w skorupę. Odkrycie to było dla niej wstrząsem. Wtedy i teraz.

Zupełnie jak uderzenie w twarz.

Pannętała pewien przejmujący moment z dzieciństwa. Ubrana w prostą białą sukienkę, siedziała w powozie obok matki. Czuła się bezpieczna. Była w Wirginii, gdzie się urodziła.

Złote włosy matki lśniły w blasku wytwornej lawendowej sukni z jedwabiu o suto marszczonej, bogato zdobionej spódnicy. Matka powoziła, a Catherine siedziała między nią a jakimś mężczyzną, wojskowym, który nie był jej ojcem. We wspomnieniach nie widziała jego twarzy. Za mmi siedziało trzech innych młodych ludzi, kadetów, sztywno wyprostowanych i eleganckich w obcisłych wełnianych mundurach z epoletami, naszywkami i szamerunkami.

Po drodze padało: to była krótka, gwałtowna ulewa, opuszczono więc dach powozu. Deszcz szumiał, chociaż słońce nie przestawało świecić, deszcz tak gęsty, że Catherine ledwie dostrzegała przed sobą parujące końskie grzbiety. Wtem - nagle i cudownie - wszystko się skończyło, deszcz ustał i jeden z kadetów uniósł dach, tak że owionęło ich orzeźwiająco chłodne powietrze. Na włosy matki prysnęły z dachu małe krople, a ona roześmiała się melodyjnie. To było bardzo wyraźne wspomnienie - ten dźwięk. Śmiech, tamta pogoda, nawet ulewa - wszystko było pełne słodyczy. Takie piękne, takie odległe.

Siedzący za nimi kadet szepnął coś Catherine na ucho i wskazał rozbłyskującą tęczę. Pomimo upływu lat wciąż pamiętała zapach potu jego młodego ciała w nienagannym mundurze. Pamiętała to wyraźniej niż całą resztę dzieciństwa, wyraźniej niż położone za tęczę góry Wirginii. Głos chłopca wibrował w jej klatce piersiowej, mrowił pod skórą. Kadet szeptał o garncu złota czekającym na nią po drugiej stronie tęczowego łuku.

Taki cud. Światło nie słabło ani na chwilę, deszcz ustał, a niebo zapłonęło cudownym zachodem słońca. W jego blasku nagle wszyscy stali się piękni i z radością wdychali świeże powietrze. Catherine, siedząc między matką a wojskowym, który nie był jej ojcem, w miejscu, którego już nie pamiętała, na wiejskiej drodze niemalże zasłoniętej przed jej wzrokiem, pomyślała: „Jestem bezgranicznie szczęśliwa”.

Chyba już nigdy więcej nie naszała jej podobna myśl. Nie pamiętała, kim byli wojskowi. Nie pamiętała dokładnie, dokąd jechali ani dlaczego, co się zdarzyło, gdy dotarli do celu. Niewyraźnie sobie przypominała jakąś uroczystość ku czci ofiar wojny secesyjnej, niekończące się szeregi mężczyzn, których duchy nawiedzały tamtą ziemię, ceremonię wśród łopotu flag, dźwięku trąbek i długich powolnych rytmów wybijanych przez werble. Nie wiedziała, gdzie był wtedy jej ojciec, czemu zostawił żonę i córkę z czterema przystojnymi żołnierzami, sunące w powozie przez deszcz, tęczę i zachód słońca.

Z nostalgią wspominała urodę matki, zmarłej przy porodzie drugiej córki, Alice, gdy Catherine miała siedem lat. Wspominała tamtych wojskowych, ich zapach, rękawy mundurów opięte na młodych ramionach i sztywne białe kołnierzyki trące o wygolone podbródki: ten chrzęst kojarzący się tak bardzo z męskością. To był początek wszystkiego, co nastąpiło później.

Był to - teraz już wiedziała - początek pragnienia. Blask: światło i szkarłatne obłoki. Twarz Jezusa. Miłość. Miłość bez końca. Nieokreślona tęsknota. Nigdy później nie czuła niczego podobnego.

Po tamtym początku szła naprzód, aż zmęczyły jej się nogi, matka umarła, serce pękło z żalu. Choć wydawało się to niemożliwe, szła bez miłości i bez pieniędzy, wciąż zadając sobie pytanie, kiedy nastąpi koniec godny tamtego początku.

Odepchnęła przeszłość. Nie miała miłych wspomnień poza tamtą tęczą, garncem złota. Torowała sobie drogę przez życie łokciami, walczyła zaciekle, zębami i pazurami, o jeszcze jedno piękne zdarzenie - które nigdy nie nastąpiło. Dlatego w dniu, w którym zrozumiała, że przeżywane przez nią życie jest naprawdę jej życiem, że innego nie będzie, zaczęła się zastanawiać, co właściwie gna ją naprzód, co zapełnia jej godziny między snem a snem. I w chwilach jak ta, gdy w panującym wokół bezruchu czuła tylko drzenie swoich kolczyków, wiedziała, że odpowiedź brzmi: nic. Nie: nic szczególnego, lecz po prostu: nic.

Nie chciała, nie mogła żyć bez miłości i bez pieniędzy.

Nigdy nie zapomni tamtych żołnierzy. Na zawsze pozostaną młodzi. Będzie z zachwytem myślała o słońcu przezierającym zza chmur, o tamtej tęczy. Nigdy nie opuści jej wspomnienie

urody matki. Lecz jaki pożytek miała z tego teraz, siedząc przed lustrem, w pociągu jadącym przez pustkowie, na linie rozciągniętej między początkiem a końcem?

Zastukano do drzwi. Przystojny ciemnoskóry steward, który wcześniej przyniósł jedzenie i złożył łóżko, zajrzał do przedziału.

— Stacja za pół godziny, proszę pani.

— Dziękuję — odpowiedziała cicho, nie mogąc oderwać wzroku od lustra.

Drzwi się zamknęły i znowu była sama.

Zamieszczone przez Ralpa Truitta ogłoszenie zobaczyła przed sześcioma miesiącami, gdy siedziała przy stole z niedzielną filiżanką kawy i gazetą.

PRZEDSIĘBIORCA Z PROWINCJI SZUKA ŻONY GODNEJ ZAUFANIA. KIEROWANY PRAKTYCZNYMI, NIE ROMANTYCZNYMI WZGLĘDAMI. ODPOWIEDZI LISTOWNE. RALPH TRUITT. MEJSCOWOŚĆ TRUITT, WISCONSIN. ZAPEWNIAM DYSKRECJĘ.

„Zona godna zaufania”. Było to coś nowego, coś, co wywołało uśmiech Catherine. Czytała już tysiące podobnych ogłoszeń. Zabijała nimi czas, jak robieniem na drutach. Pochłaniały ją te anonse, samotni mężczyźni wołający z rozległych pustkowi prowincji, a niekiedy kobiety, proszące o siłę, cierpliwość, życzliwość lub jedynie uprzejmość.

Naśmiewała się z ich historii, z ich żalosnej desperacji. Szukali i zapewne znajdowali kogoś równie jak oni samotnego i zrozpaczonego. Czy mogli oczekiwać czegoś więcej? Chromi i kulawi wzywający bezradnych i ślepych. Uważała, że to komiczne.

Mimo wszystko przypuszczała, że dzięki owemu nieśmiałoemu wołaniu ci mężczyźni i te kobiety znajdują siebie nawzajem. Znajdują, jeśli nie miłość lub pieniądze, to w każdym razie inne życie, którego mogą się kurczowo uchwycić. Ogłoszenia matrymonialne były drukowane co tydzień. Ci ludzie nie zgadzali się na samotność. I może w końcu zdobywali - przynajmniej część z nich - los, z którego byli bardziej zadowoleni.

Poprzedniej nocy, tuż przed zaśnięciem, ujrzała samą siebie jakby z góry, z powietrza: leżącą w łóżku, otoczoną chłodem samotności i śmierci. Czuła wtedy - teraz zresztą też - że umrze, jeśli nie znajdzie się ktoś, kto dotknie jej z czułością. Kto wyciągnie ją z jej okropnego życia.

Odpowiedziała na zwięzłe ogłoszenie Ralphi Truitta niosące obietnicę początku, może nienadzwyczajnego, ale zawsze początku. „Jestem prostą, uczciwą kobietą” - napisała. Przysłał odpowiedź zwrotną pocztą. Przez całe upalne lato wymieniali listy, zdawali ostrożne relacje ze swojej przeszłości. Jego

charakter pisma był mocny i stanowczy, jej - elegancki (przynajmniej miała taką nadzieję) i uwodzicielski. W końcu załączyła fotografię. Odpowiedział wtedy bardziej obszernie, jakby między nimi wszystko już było ustalone. Udawała wahanie, aż zaczął nalegać i przysłał bilet na pociąg, którym miała przyjechać, by zostać jego żoną.

Młody żołnierz siedzący obok w powozie niewątpliwie już się postarzał. Wciąż pamiętała jego sterczący kciuk, biodro, trącające jej biodro, gdy się ku niej pochylał. Może miał teraz żonę i dzieci. Może je kochał i dobrze traktował. Wiedziała, że to się zdarza rzadko, ale musiała wierzyć, że gdzieś są ludzie, których życie różni się od jej życia.

Może Ralph Truitt był jednym z nich. Może życie, które jej ofiarowywał, było takim właśnie życiem. Wieczór zapadał przecież co dnia. Niemożliwe, by tamten piękny zachód słońca miał się nie powtórzyć.

Pół godziny. Wstała od toaletki, zsunęła czerwone jedwabne pantofle i ustawiła je równo. Rozpięła i zrzuciła wyszywany zakiet kostiumu podróżnego. Zdjęła jedwabną bluzkę i czerwoną aksamitną spódnicę. Rozsupłała sznurówki haftowanego gorsetu i strząsnęła go z siebie. Nagle poczuła się lekko, jakby miała ulecieć w powietrze, nad cały ten zalew karmazynowego aksamitu.

Nadal patrzyła w lustro. Przez chwilę widziała swoje odbicie od szyi w dół. Nie był to nieprzyjemny widok.

Lubiła własne ciało, jak wiele kobiet, i patrzyła na nie bezstronnie niczym na przedmiot w sklepowej witrynie, orientując się doskonale w surowcu, za pomocą którego tysiące razy osiągała swój cel. Codziennie pracowała nad surowcem swojego ciała, formowała go, ozdabiała, tak że stawał się spotęgowaną wersją jej samej, wersją, która miała przykuwać uwagę. Nigdy więcej. Schyliła się, zgarnęła ubrania i jedwabne pantofelki, a potem związała w zgrabny tobołek. Podeszła do okna i otworzywszy je, wyrzuciła kosztowne stroje w ciemność wypełnioną turkotem kół. Zaczynał sypać śnieg. Gdy wreszcie nadejdą wiosenne miesiące, jej piękne stroje będą szerniałą ruiną.

Z półki nad głową ściągnęła podniszczoną szarą walizkę i wyjęła zgrzebną suknię z czarnej wełny, jedną z trzech, w jakie się zaopatrzyła. Usiadła ponownie przed lustrem i naderwała ścieg przy rąbku tkaniny. Zdjęła biżuterię: bransoletkę i kolczyki z granatami - jarmarczne świecidełka - po czym zawinęła je w cienką chusteczkę, nadal pachnącą męskimi perfumami.

Dołączyła do nich delikatny pierścionek z brylantem, a zawiniątko wsunęła pod rąbek sukni.

Zręcznie nawlekła igłę i zaszyła biżuterię w materiał. Błyskotki, choć mało wartościowe, przypominały o dawnym życiu. Były jej zabezpieczeniem, biletem powrotnym z nocy, gdyby noc istotnie miała zapaść. Były niezależnością.

Gotowe. Włożyła suknię i zapięła trzynaście guziczków. Teraz nie miała już innych ubrań. Tę sukienkę uszyła sama, tak jak nauczyła ją matka. Bez gorsetu była dziwnie lekka. Szybko skończyła się ubierać.

Znała wszystkie szczegóły swojego wymyślonego życia. Powtarzała je sobie godzinami i miesiącami. Sposób wyrażania myśli. Fałszywe wspomnienia. Ulubione melodie. Mając tak niewiele własnej osobowości, łatwo zmieniła tożsamość. Jej nowe wnętrze było równie puste jak poprzednie, ale nie mniej rzeczywiste.

Rozpuściła włosy i ciemne loki otoczyły jej twarz. Ściągnęła je mocno do tyłu, aż zaboląły ją oczy, i upięła na karku w nieduży, schludny kok.

Ponownie przejrzała wspomnienia odpływające już razem z jej prawdziwą przeszłością. Żołnierz w powozie. Matka umierająca, gdy wynurzała się z niej małeńka Alice. Tęcza. Zebrała to wszystko i zaszyła tak starannie jak biżuterię w rąbku sukni, musiała bowiem wymazać zawilość swoich wcześniejszych dróg, by przyswoić sobie prostotę drogi, na którą wstępowała.

Była prostą, uczciwą kobietą pośród nieoczekiwanego przepychu prywatnego wagonu. Dziewczynką w białej sukience, siedzącą między matką a mężczyzną, którego nie znała.

Catherine Land czekała nieruchomo, aż pociąg zwolnił i stanął. Steward wszedł do przedziału i zdjął z półki walizkę. Dostał napiwek, za duży, i posłał jej uśmiech.

Nadal wpatrywała się w lustro. Nie mogła, nie chciała żyć bez pieniędzy i bez miłości. Ralph Truitt obiecał

nieśmiało w ostatnim liście, że podzieli się z nią swoim życiem, a ona zamierzała przyjąć jego propozycję. Znacznie lepiej niż on wiedziała, co zdarzy się później.

Wstała, narzuciła na ramiona czarną misjonarską pelerynę i opuściła przedział, cicho zamykając za sobą drzwi. Nie czuła zdenerwowania. Przeszła korytarzem. Na metalowych schodkach ujęła dłoń stewarda w kłębach pary i wstydliwie, z gracją, zstąpiła na peron na spotkanie Ralpa Truitta.

ROZDZIAŁ TRZECI

ZESZŁA W ŚNIEG, w wirującą porywistą zamieć, która oślepiła i olśniewała. Powietrze na peronie ciemniało i zarazem jaśniało od śniegu, otaczając Catherine aurą ruchomego światła. Nieznajomi przemykali tu i tam, witali się, całowali, podnosili walizy i kufry, osłaniali dzieci przed zadymką. Śnieg zacinał poziomo, tworząc tumany białego pyłu wokół idących spiesznie postaci, i wzlatywał w czarną nicość. Jakby nie miał końca.

Sądziła, że go nie rozpozna, póki nie pozostaną we dwoje na opustoszałym peronie, lecz myliła się, oczywiście. Twarz bez wzajemności, oddzielona od falującego morza ludzi. Poznała go od razu. Wydawał się tak bogaty i samotny.

Nagle poczuła strach. Wcześniej nie przyszło jej do głowy, że będą musieli rozmawiać; wymienią powitania, naturalnie, nie zastanawiała się jednak, co dalej. Teraz

owo „dalej” stało się niewyobrażalnie długie: morze słów stanowiące - jak przypuszczała - małżeńską codzienność, szczegóły, negocjowanie, mocowanie się i dopasowywanie, wszystko to, co robili mężowie i żony.

Bo wyjdzie za niego, oczywiście. Obiecała i dotrzyma obietnicy. Ale co potem? Czym wypełnić dni, rutynę posiłków, domowych obowiązków, każdą godzinę?

Początki były na ogół tak czarujące, a teraz przecież mogła jedynie stać, zastygła z lęku. Jeśli zachoruje, zapewne będzie się nią opiekował. Będą rozmawiać o cenach towarów. Jego ubranie wyglądało na kosztowne, ale okaże się oszczędny. Będzie prosiła go o pieniądze i je dostanie, zapłaci za towary i opowie mu, co kupiła. Będą rozmawiali o tym przy obiedzie, który dla niego ugotuje. Będą rozmawiali o pogodzie, rozważając każdą jej zmianę, lub wspólnie czytać przy ogniu w długie wietrzne wieczory. Zapewne będą robili i mówili to, co robią i mówią ludzie w ich położeniu, lecz nagle zrozumiała, że nie wie, co robią i mówią tacy ludzie.

W wagonie kolejowym, podczas podróży z Chicago, wszystko było wyraźne, miało ostre kontury. Tutaj, w śnieżnej zamieci, krawędzie się zacierały, kształty zamazywały, poczuła więc strach.

Ale nie było wyjścia — dla nich dwojga ani dla nikogo innego — nie było wyjścia poza drogą naprzód, poza wspólnym przeczekiwaniem zimna do wiosennych miesięcy. Zrobi to, co musi.

Podeszła do niego. Stał z rękami w kieszeniach długiego czarnego palta z futrzanym kołnierzem skrzącym

się od śniegu. Ledwie widziała jego twarz. Wydawał się... smutny? Miły? Przede wszystkim samotny.

Czuła się śmieszna w swoim tanim ubraniu z czarnej wełny, z tanią, szarą, tekturową walizką. „Po prostu zacznij - pomyślała. - Po prostu się przywitaj, reszta sama przyjdzie”.

— Pan Ralph Truitt? Jestem Catherine Land.

— To nie pani. Mam jej zdjęcie.

— Należy do kogoś innego. Do mojej kuzynki Indii. Czuł na sobie wzrok mieszkańców miasteczka, oczy zauważające każdy szczegół, cały ten podstęp. To było nie do zniesienia.

— Potrzebny pani płaszcz. Nie jesteśmy w mieście.

— Mam tylko to. Przepraszam. Za fotografię. Przepraszam, wszystko wyjaśnię.

Znowu oszustwo wobec całego miasteczka, ośmieszenie go przy wszystkich. Serce biło mu gwałtownie, nogi miał jak z waty.

— Nie możemy stać tutaj do nocy. Kimkolwiek pani jest, proszę dać mi walizkę.

Wyjął dłoń z kieszeni. Przez ułamek sekundy czuła jej ciepło.

— Tylko tyle? Nic więcej?

— Mogę wyjaśnić. Niedużo wzięłam z sobą. Myślałam. ..

— Nie możemy stać tutaj w śniegu, na oczach... nie możemy tu stać. - Patrzył na nią chłodno, bez śladu sympatii. - Cała ta sprawa zaczyna się od kłamstwa. Niech pani nie myśli, że nie rozumiem.

Wyciągnął z kieszeni zdjęcie i pokazał jej, jakby w ten sposób mógł zmienić Catherine w tamtą bojaźliwą, nieatrakcyjną kobietę.

- Nie wiem, kim pani jest, ale nie tą osobą.

— Wszystko wyjaśnię. Nie przyjechałam tutaj, żeby z pana zadrwić.

— Oczywiście. To się pani nie uda. Tak czy inaczej, jest pani oszustką.

Odwrócił się, a ona poszła za nim przez opustoszały peron do powozu. Konie grzebały kopytami w śniegu i wypuszczały z nozdrzy kłęby pary, gdy układał walizkę i zabezpieczał grubymi rzemieniami. Bez słowa pomógł Catherine zająć miejsce.

Zniknął w śnieżycy i pojawił się znowu. Popatrzył na nią — po raz pierwszy spojrzął jej prosto w twarz.

- Chyba wzięła mnie pani za głupca. Nie należało tego robić.

Strzelił lejcami i konie pokłusowały w biel. Jechali w milczeniu.

Okna mijanych budynków jarzyły się łagodnym światłem.

Pośród zawiei nie potrafiła oszacować odległości ani liczby domów i sklepów. Dostrzegała zakręty dopiero wtedy, gdy je pokonywali. Truitt się orientował. Konie się orientowały. Ona była obca.

Zaspy tłumiliły turkot kół. Milczeli. Catherine miała wrażenie, że unosi się w bezgłośnej próżni.

- Dużo tu ludzi?

- Gdzie?

— W miasteczku.

— Dwa tysiące. Mniej więcej. Zależy.

- Od czego?

- Od tego, czy więcej umiera, czy się rodzi. Jechali przez śnieg, oświetleni blaskiem sączącym się z okien, za którymi były rodziny, splątane z sobą ludzkie losy. Oni zaś siedzieli w powozie rozdzieleni przepaścią i samotni. Truitt się nie odzywał. Miał swoje oczekiwania, a teraz zjawiała się ona - kimkolwiek była - i wszystko uległo zmianie. Znał tutaj każdy dom. W każdym domu znano się nawzajem i znano jego. Trzymał na rękach dzieci tych ludzi, chodził na śluby, słuchał o nagłych wybuchach szaleństwa i gniewu. Był i nie był częścią ich codzienności. Żył tutaj i postępował, jak od niego oczekiwano. Tracili rozum na zimnie, zanurzali się w swoją religię i popadali w obłąd. Ale nawet to było znajome. A ta kobieta - nie. Czuł złość. Był zagubiony. Przecież czytał jej list setki razy, aż papier rozpadał mu się w dłoniach. Setki razy patrzył na zdjęcie. I oto stało się jasne, że Catherine Land nie jest kobietą z fotografii, a kim jest - nie wiedział. Jego relacje z mieszkańcami miasteczka opierały się na pewności, że ma władzę nad swoim życiem. A teraz ten chaos. Spóźniony pociąg. Oślepiający śnieg. Ta kobieta. Popęłił błąd. Czuł to wyraźnie. Wszystko było nie tak: list, fotografia, jego głupia nadzieja. Nie powinien był pragnąć, pożądać, lecz owszem, zapragnął czegoś dla siebie. A teraz przedmiot pożądania był tutaj - spełnienie i zaprzeczenie jego pragnień.

Chciał prostej, uczciwej kobiety. Spokojnego życia. Życia, w którym wszystko można ocalić i nikt nie traci rozumu.

Nie mógł jej odprawić, porzucić w zamieci. Nie mógł pozwolić, by widziano, jak ją zostawia na stacji. Wzięto by go na języki, uznano za gbura. Dlatego zamierzał dać tej kobiecie schronienie przed śnieżycą, dach nad głową na dzień lub dwa, nie dłużej.

Najbardziej trapiła go uroda Catherine Land, tak niespodziewana, melodyjność jej głosu, kruchość dłoni, którą wyczuł, gdy pomagał jej wsiąść do powozu. Kim więc była kobieta z fotografii? Ze zdenerwowania ostro popędzał konie i nie patrzył jej w twarz.

— Mam automobil — oznajmił bez powodu. — Jedyne w miasteczku.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Ale gdy pada śnieg, jest bezużyteczny. „Znalazłam się w głuszy — pomyślała. — Sama wśród dzikich ludzi”.

Wyjeżdżali z miasteczka, konie bały się zamieci. Nigdy nie traktował ich brutalnie i czuł teraz przez lejce, jak bardzo się denerwują. Chciały dotrzeć do celu jak najprędzej.

Poprzez śnieg widziała bezkresne płaskie pola po jednej stronie, po drugiej — szeroką rzekę skutą lodem. Pospęną i bez życia. Myślała o blasku miasta, o nieustannym ruchu, o piwiarniach jasno oświetlonych w zimowe wieczory, o muzyce, o śmiechu, o dziewczynach przypinających kapelusze i szukających przygód. Śmiały się, siedząc przy kominku z mężczyznami, którzy pisali do nich miłosne liściki. Jadły pieczeń, piły szampana i biegały po

mieście w sukniach podkasanych do kolan, przez zaspy, roześmiane dziewczyny przyciągnięte ciepłem karcianych stolików i ognia, i muzyki, i towarzystwa.

Tutaj, z dala od świateł miasteczka, nic nie mąciło ciszy. Nie było niczego oprócz nich, powozu i lamp olejowych rzucających blask na drogę.

Rzeka wydawała się twarda jak żelazo. Myślała o dziewczynach z teatrów rewiowych. O mężczyznach z taliami kart w kieszeniach i rewolwerami wsuniętymi za cholewy butów. O leniwie słodkiej atmosferze palarni opium, jej miłym ciepłe, gdy noc była za zimna, by przenieść się gdzie indziej, o Chińczyku budzącym filiżanką herbaty, gdy minęła burza, nadszedł świt lub skończyły się pieniądze. O tej porze kursowały już tramwaje, wioząc ludzi, normalnych ludzi, do pracy. A dziewczyny śmiały się beztrosko, świadome, jak okropnie wyglądają po nocy.

Tysiące mil. Inne życie, inna noc, tysiące mil z biegiem gładkiej czarnej rzeki do pełnego dźwięków i świateł miasta. Jej przyjaciółki ubrały się już na wieczór, muzyka ogarniała je w ich pięknych sukniach, a one śmiały się z jej szaleństwa. Dla nich była przeszłością. Nie miały pamięci.

Jeleń wystrzelił znikąd, wierzgnął wystraszony i natychmiast zniknął. Przez sekundę widzieli jego prze-

rażone oczy, poroże śmigające obok końskich boków. Świat pogrążył się w białym chaosie.

Konie odskoczyły w popłochu, szarpnęły powóz na bok, niemal go przewróciły i rzuciły się na oślep naprzód. Catherine usłyszała pojedyncze przenikliwe rzenie, jakby krzyk - i już gnały przed siebie, gryząc wędzidła, pryskając kawałkami lodu z rozwianych grzyw, a Ralph, porwawszy się z miejsca, z całej siły ciągnął za lejce. Przeszył ją dreszcz zgrozy. Tego nie przewidziała.

Konie skreśliły gwałtownie, ściągając ich z drogi, koła zachręściły w świeżym śniegu jak ostrza tnące kość. Przedarli się przez wąskie ogrodzenie, a dalej był już tylko zamęt, Ralph wsparty jedną nogą o przód powozu, nawołujący konie, mocujący się z nimi, miotający przekleństwa, mróz wydawał się jeszcze sroższy, a Catherine, struchlała, uczepiona desek siedzenia, znieruchomiała z lęku, poczuła szarpnięcie: wpadli w koleinę, wyrwę po jakimś jesiennym strumyku, i Ralph runął w dół, wypuszczając lejce. Zobaczyła jeszcze, jak uderza głową o żelazną obręcz koła - i powóz, rozchybotany, pędził dalej zygzakiem, ciągnięty przez znarowione konie, coraz dalej od drogi, ku czarnej rzece.

Po omacku szukała lejców. Wiatr nimi targał, lecz znalazła je i złapała. Powóz trząsł na nierównościach, jednak trzymała się z rozpaczliwą determinacją. Peleryna łopotiała, dławiąc ją i ściskając za gardło, zerwała więc narzutkę i odrzuciła w wirującą biel.

Miała dość rozsądku, by pozwolić koniom biec i zawierzyć ich instynktowi. Nie potrafiłaby opanować trwogi,

której pulsowanie wyczuwała w tych ciemnych grzbietach. Starła się tylko nie spaść. Nie mogła zrobić nic więcej. Konie gnały przed siebie. Pogalopowały po nachylonym brzegu wprost na zamarzną rzece, powóz zatoczył szeroki łuk i zakręcił nimi na zmiażdżonym śniegu. Przerazone zwierzęta dostrzegły, jak daleko są od znajomego szlaku. Jedno z nich poślizgnęło się, zachwiało i upadło na lód. Rozległ się trzask. Catherine zastygła, myśląc o śmierci w lodowatej wodzie wśród tonących koni.

Rzeka wytrzymała. Gdy konie szukały oparcia na lodzie, Catherine przeczołgała się po uprzęży i przyłgnęła do ich parujących grzbietów. Czarny wałach wstał, a ona była przy nim, szeptała mu do ucha słowa pojawiające się skądś i zaraz uciekające z wiatrem, gładziła go łagodnie po najdelikatniejszej części podgardla.

Konie uspokoiły się pod jej dotykiem. Słyszały głos Catherine, niemal ginący w wichurze, i stały cierpliwie, gdy wycofywała się do powozu, ani na chwilę nie zdejmując dłoni z ich grzbietów, nie pozwalając im zapomnieć, że jest z nimi, obiecując ratunek i bezpieczeństwo.

Delikatnie ujęła lejce i znużone zwierzęta skierowały się ku brzegowi. Patrzyła w ciemność, szukając śladów na śniegu, wracając w miejsce, w którym jeleni pojawił się znikąd i wprowadził cichy świat w popłoch.

Po powrocie na trakt konie przystanąły, bezsilne i pokonane. Wałach prawie runął, ale wyprostował się z tru-

dem i oba wspólnie pociągnęły powóz. Latarnie cudem ocalały i Catherine widziała kawałek drogi przed sobą.

Niewiele brakowało, a zwierzęta stratowałyby Ralpha, zanim jeszcze go zobaczyła. Stał pośrodku drogi, chwiejąc się lekko, a krew spływała mu z czoła, z rozcięcia aż do kości.

Wyskoczyła z powozu. Nie po to przejechała tyle mil, by Truitt teraz umarł. Nie teraz. Rąbkiem sukni zaczepiła o krawędź deski i usłyszała, jak pęka materiał. Ralph miał twarz zalaną krwią, która ściekała na grudy śniegu zamarzłe na futrzanym kołnierzu.

Catherine ujęła go za łokieć. Wyrwał się, ale stracił równowagę i gdy ponownie go chwyciła, oparł się na niej, tak że uświadomiła sobie jego wzrost i wagę, szerokość klatki piersiowej, ciepło wyczuwalne mimo grubego płaszcza. Pomogła mu wejść do powozu. Odnalazła swoją pelerynę, nedorzecznie cienką, i otuliła jego zmarznięte nogi.

— Konie w porządku? — zapytał z wysiłkiem.

— Dowiozą nas. Którędy jechać?

— One wiedzą. Proszę zdać się na nie. Rzeczywiście, ruszyły naprzód przez ciemność, choć jeden kulał i dyszał chrapliwie.

Ralph próbował nie pamiętać o bólu, ale w końcu się poddał.

Poczuł, że osuwa się bezwładnie na Catherine, która objęła go i pociągnęła w dół, opierając głowę mężczyzny na swojej piersi, na szybko bijącym sercu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

KREW BYŁA WSZĘDZIE. Zamarzła na sukni, sztywna i poczerniała. Pokrywała jego włosy i twarz, była na ubraniu i pod jej zziębniętymi paznokciami. Catherine jednak zachowywała spokój, gdyż postanowiła, że Ralph nie umrze. A potem zobaczyła dom i kogoś w oknie.

Na moment świat zastygł w bezruchu. Widziała każdy szczegół: bezwład Ralpa w jej ramionach, dom, zmartwiałą ze zgrozy twarz za szybą, konia ze złamaną nogą - bo zrozumiała, że odgłos usłyszany na rzece nie był trzaskiem lodu, lecz kości. Widziała siebie: potargane włosy, ręce spierzchnięte i czerwone, suknię z oderwanym rąbkiem, z którego klejnoty sypały się na drogę.

Widziała podwórze, powóz po piasty kół zagrzebany w śniegu, końskie łby zwieszane ze zmęczenia i bólu i dom przed nimi.

Dom.

„Jest jak czysta koszula - pomyślała. - Czysta biała koszula wisząca na drzwiach”.

Zadbana weranda z kolumnami, miodowe światło przemkające zza zaciągniętych zasłon, krzesło zapomniane od lata. Szczegóły. Nie widziała całości, me dostrzegała spojenia spadzistego dachu. Dom jednak wydawał się ciepły. Przyjazny.

Konie przystanąły: gniada klacz grzebiąca kopytami w śniegu, kary wałach bezsilny, z przednią nogą uniesioną i zgiętą pod dziwnym kątem. Światło z werandy lśniło na ich spoconych, wzdymających się bokach, a wydychaną z nozdrzy parę zmieniało w jasne, strzępiaste obłoki.

Schludny dom, prosty, lecz nie surowy, jarzący się od świateł, zupełnie nie taki, jak ego oczekiwała. Stał pośrodku starannie utrzymanego trawnika, na szeroką werandę prowadziły wygodne schody. Wyobrażała sobie coś bardziej zapuszczonego, porośniętego brudem po latach zaniedbania. Wyobrażała sobie dom opustoszały, dom bez miłości w posepnym krajobrazie. To była niespodzianka, jak elegancka paczuszka w białej bibułce z błękitną kokardą.

Chwila minęła, czas ruszył naprzód - z zawrotną prędkością.

Twarz w oknie otworzyła usta do krzyku i drzwi otworzyły się gwałtownie. Na progu stała przerażona kobieta.

Ralph Truitt krwawił obficie i wspierał się na Catherine.

Oddychał bez trudu, me zamykał oczu, ale spoglądał przed siebie zdezorientowany, półprzytomny. Weranda i jasny prostokąt drzwi wydawały mu się bardzo dalekie.

— Pan Truitt? — Siwa głowa, oczy wpatrzone w wirujący śnieg, słowa ginące w zamieci. — Czy to pan Truitt?

— Na pomoc! Tutaj! — zawołała Catherine z nagłą rozpaczą. — Pomocy!

Z domu wybiegli mężczyzna i kobieta, ich włosy i ubrania szarpał wiatr. Mężczyzna ruszył do słaniającego się wałacha, położył mu dłoń na grzbiecie i zaczął sprawdzać obrażenia, przemawiając łagodnie i potrząsając głową na widok nieszczęsnej nogi. Catherine widziała złamaną kość sterczącą przez skórę, wyczuwała rezygnację zwierzęcia w bolesnym, spazmatycznym drzeniu jego boków.

Kobieta podbiegła prosto do Truitta.

— Boże święty! — krzyknęła. — Co się stało? Co pani zrobiła? Przenikliwe oczy spojrzały oskarżycielsko na Catherine.

— Konie poniosły. Jeleń... spłoszyły się i pan wypadł. Chyba uderzył głową o koło. To nie moja wina — dodała niepotrzebnie. — Jeleń... tak nagle.

— Larsen! — Zawołany mężczyzna odwrócił głowę od konia, który z wolna osuwał się na ziemię. — Pan jest ranny. Trzeba zabrać go do środka.

We troje zataaszczyli Truitta do domu. Wyrывał im się, toteż musieli dać z siebie wszystko, by pokonać schody i werandę. Ułożyli go na aksamitnej kanapie z poduszką pod głową.

— Wykrwawi się na śmierć — powiedziała kobieta.

— Potrzebuje lekarza...

Prychnęła rozdrażniona.

- W taką pogodę? Nie przyjedzie, nawet dla Ralpa Truitta. Całe mile tam i z powrotem, o wiele za późno, kiedy tu dotrze. O ile w ogóle się znajdzie. Pijany. I jeśli zechce przyjechać. Pijany i bezużyteczny.

- Proszę przynieść moją walizkę - rzuciła Catherine, teraz już zupełnie spokojna. - Jest w powozie. Szarą walizkę. I gorącą wodę. Ręczniki i jodynę, jeśli macie.

Patrzyli na nią niepewnie. Truitt leżał na kanapie, spoglądając przed siebie.

- Przynieś jej walizkę - poleciła kobieta. — I weź broń. Wałacha trzeba zastrzelić.

Larsen drgnął i wyszedł, a za nim kobieta, przypuszczalnie jego żona. Truitt ocknął się i utkwiał w Catherine zamglone z bólu oczy.

- Nie umrze pan - powiedziała.

- Mam taką nadzieję.

Do pokoju wtargnął podmuch powietrza, gdy Larsen zamykał za sobą drzwi. Catherine i Truitt czekali w milczeniu. Czują, że mogłaby wziąć go za rękę.

Na podwórzu rozległ się strzał. Podskoczyła, podbiegła do okna i rozsunęła ciężkie aksamitne zasłony. Zobaczyła, jak potężnym ciałem wałacha wstrząsa krótki spazm.

Po dłuższym czasie Larsen wrócił, brnąc w śniegu, z jej rzeczami w jednej ręce, a trzymanym luźno pistoletem w drugiej. Postawił walizkę przed kanapą i spojrzał na Catherine z nienawiścią, jakby to wszystko było jej winą. Niewybaczalną.

Nacisnęła liche, pordzewiałe zatrzaski i przerzuciła stosik czarnych ubrań oraz prostej bielizny, szukając torby z przyborami do szycia. Niechcący nadepnęła na rąbek sukni i rozdarła go jeszcze bardziej. „Niech to! - pomyślała. - Klejnoty!”. Uklękła i pomacała materiał. Pusto. Zakłęła w duchu. Larsenowa weszła z miednicą parującej wody i ręcznikami. Popatrzyła na rąbek jej sukni.

Catherine wstała.

- To... to nic. Rozdarcie. Zgubiłam coś. W śniegu.

- Ach, no to przepadło. Przepadło do wiosny.

- Nie szkodzi.

„Zgubiłam coś, owszem - pomyślała. — Klejnoty i nadzieję na ucieczkę z tego miejsca”. Spojrzała na Truitta.

- Będzie bolało.

- Już boli - odparł ze słabym uśmiechem.

- Lepiej się czegoś napić.

- Nie piję alkoholu.

- Bez tego będzie gorzej.

- Wiem.

- Czy zdoła się pan trochę podnieść?

Jęknął, gdy go przesuwali, by mogła usiąść obok i położyć sobie głowę rannego na kolanach. Krew kapiała na spódnicę. Catherine poczuła, że mokry materiał przywiera jej do nóg.

Gdy Larsenowa podeszła z miednicą, zanurzyła ręcznik w gorącej wodzie i zaczęła ostrożnie przemywać ranę. Wiedziała, że Truitt cierpi, lecz pod jej dotykiem

oddech mu się uspokoił. Oczy miał otwarte. Po policzkach mężczyzny płynęły łzy.

- Płaczę - mruknął. - Jestem jak małe dziecko.

- Skądże znowu. Poproszę o jodynę.

Wzięła buteleczkę, którą Larsenowa wyjęła z kieszeni fartucha, i lekko ją przechyliła, aby cienki strumyczek pociekł wzdłuż rozcięcia sięgającego od brwi do linii włosów. Łagodnie przetarła skórę i Truitt przymknął oczy, po czym skrzywił się boleśnie, gdy jodyna dotarła do kości, a ostry zapach antyseptyku uprzytomnił każdemu z nich powagę sytuacji.

„Biedny koń - pomyślała Catherine. - Dociągnął nas aż tutaj, a teraz leży w śniegu. Jutro, o ile zamieć ustanie, Larsen pewnie zaprzęgnie klacz, aby usunęła martwe zwierzę z widoku”.

- Moja torba z szyciem. A teraz proszę, żeby delikatnie łączyła pani brzegi rany, o tak.

Pokazała Larsenowej, jak ma gładzić skórę rannego kciukami - niczym ciasto dociskane do krawędzi formy. Rozcięcie było nierówne. „Tak czy owak, pozostanie blizna” - pomyślała.

Znalazła najmocniejszą nić, zanurzyła igłę w jodynie, dmuchnęła ostrożnie na ostrze i na ranę, która teraz krwawiła mocniej.

Nawlokła igłę. Pochyliła nad Truitem, zobaczyła, że Larsen odwraca głowę, jakby nagle zainteresował się czymś innym.

- Zabiorę wóz z podwórza. Chyba że...

- Nie. Damy sobie radę.

Igła zanurzała się w ciele i wynurzała, prowadzona spokojną, pewną ręką. Drzwi otworzyły się i zamknęły: Larsen wyszedł w mrok.

Rana znikwała powoli, wpływ krwi się zmniejszał.

- Jest pani pielęgniarką?

- Mój ojciec był lekarzem. Obserwowałam go przy pracy.

Wypowiedziała to kłamstwo lekko. Jej ojciec był pijakiem i łgarzem. W ogóle nie pracował. Wiedziała jedynie, że nie przejechała tylu mil, aby patrzeć, jak Ralph Truitt umiera w jej ramionach. A gdy trzeba zaszyć ranę, niewiele jest metod do wyboru.

- Więc pani jeszcze nigdy...

- Nie. Ale przyglądałam się często ojcu. Nie ma innego sposobu. W pewnym momencie poczuła, że Truitt traci przytomność. Jego jasne oczy, nieruchome z bólu, zamknęły się w końcu, i po raz pierwszy, zerkając znad rany, zobaczyła tę twarz z bliska, jak przez szkło powiększające. Cerę miał bladą, zarost jak ściernisko na wyschniętym polu, a chociaż z daleka wydawał się młodszy, zauważyła teraz setki maleńkich zmarszczek. Ujrzała przyszłość własnej twarzy w twarzy Truitta, a gdy mięśnie mu zwiotczały, dostrzegła coś jeszcze: wysiłek, jaki kosztowało go zachowywanie pozorów pewności siebie i nadziei, smutek ukryty pod niewzruszonym spokojem, brak życia.

Igła migotała w jej drobnych palcach, sunąc za dłońmi

Larsenowej wzdłuż rany, i wreszcie praca była skończona.

Wyszło nie najgorzej.

Otworzył oczy.

- Gotowe - powiedziała uśmiechnięta.

- Dziękuję.

- Musimy położyć pana do łóżka. Nie można wykluczyć urazu głowy. Proszę próbować nie zasnąć, jak długo się da.

Nieśmiało sięgnęła dłonią do jego twarzy, lecz powstrzymał ją Larsen, wracając z tupotem do pokoju.

- Zajmiemy się nim, proszę pani. Zaprowadzę pana na górę, pochodzę z nim po sypialni. Zona przyszykowała kolację. Już go zabieram.

Podparł Ralpa i podniósł. Mężczyzna się zachwiał, lecz odzyskał równowagę. Catherine patrzyła, jak wspinają się powoli po schodach. Ruszyła za nimi przejęta Larsenowa.

Znikli na piętrze, a Catherine po raz pierwszy rozejrzała się po pokoju i ogarnęło ją zdumienie. Był zupełnie inny, niż sobie wyobrażała: bezpretensjonalny, lecz elegancki. Zwykle pomieszczenie na planie kwadratu, z kilkoma przykuwającymi uwagę przedmiotami, które dziwnie kontrastowały z otoczeniem. Żywe kolory. Drogie tkaniny. Wytworne, misternie wykonane meble, zaledwie kilka sztuk stojących obok bardziej prozaicznych farmerskich sprzętów, serwantki z porcelaną i zegara szafkowego z sosnowego drewna.

Kanapa, na której siedziała, była jednym z tych osobliwych szczegółów: poślacane poręcze, rzeźbione łabędzie, adamaszek o barwie zachodzącego słońca, poplamiony teraz krwią Truitta. Było to pomieszczenie, w którym nikt nie wiedziałby, gdzie usiąść - pokój utrzymywany w nienagannym porządku i nieużywany.

Dostrzegła również solidne dębowe krzesło, na którym Truitt niewątpliwie siadywał pod wieczór, być może paląc cygaro, jak wskazywała popielniczka i pojemnik na cygara na niskim stoliku zarzuconym czasopismami o rolnictwie, almanachami i księgami rachunkowymi. Obok stała lampa jarząca się intensywnymi barwami witrażowego abażuru, szkarłatem i fioletem, przedstawiająca kiście winogron, jesienne liście i filigranowe ptaki w locie. Catherine widywała takie lampy tylko w hotelach. Nigdy nie przypuszczała, że mogą należeć do zwykłych ludzi. Cóż, jedna z nich najwyraźniej należała do Ralpa Truitta.

„Musi być bardzo bogaty” - pomyślała. Myśl ta wywołała uśmiech na jej twarzy. Truitt nie umrze. Proszę, oto początek. Serce zabiło jej gwałtownie, jakby właśnie postanowiła ukraść ze sklepu parę giemzowych rękawiczek.

Z góry dochodziły odgłosy trojga poruszających się ludzi, stukot butów upadających na podłogę: jednego, potem drugiego. „Ach, rozbierają go” - zrozumiała. Sądziła, że ją odsunięto, by nie zobaczyła słabości pana domu, a tak naprawdę miała nie oglądać jego ciała.

Zegar tykał miarowo. Wiatr dał. Catherine siedziała samotnie, zastanawiając się, czy ktokolwiek wie, gdzie ona się znajduje, czy ktokolwiek mógłby ją sobie tutaj

wyobrazić - z dłońmi złożonymi na podołku, z zakrwawionymi palcami, z oderwanym rąbkiem sukni po utracie klejnotów zgubionych w śniegu.

Chętnie zapaliłaby papierosa. Papierosa w smukłej srebrnej lufce. I wypiłaby szklaneczkę whisky - jedną, żeby się rozgrzać. Ale to było inne życie w innym miejscu, a tutaj, w domu Ralpa Truitta, Catherine po prostu siedziała z dłońmi złożonymi na podołku.

Czworo ludzi, każdy poruszający się oddzielnie po tym samym domu. Trzymała na kolanach głowę Ralpa Truitta, jej ubrania przesiąkły jego krwią, a jednak była sama. Jak zawsze.

Chwilami pozwalała myślom błądzić swobodnie, a jej spojrzenie traciło ostrość, tak że widziała tylko małe zamazane punkciki. W dzieciństwie zdumiewała się tym widokiem. Teraz natomiast uważała go za odzwierciedlenie tego, jak sama dryfuje apatycznie przez świat, od czasu do czasu półświadomie wpadając na inne ciała.

Jej plany - widziała to wyraźnie - były bezwolnymi fantazjami, niedopracowanymi, ospale wprowadzаныmi w życie, skazanymi na porażkę.

Wstała i obeszła pomieszczenia. Nie było ich wiele, wszystkie podobne, równie nienagane, wyposażone w tę samą dziwaczną mieszaninę rustykalności i przepychu. W małej jadalni zobaczyła stół nakryty wystawnie dla dwóch osób. Wzięła do ręki ozdobny widelec: był prawie tak długi jak jej przedramię i nadspodziewanie ciężki. Wypolerowany, zamigotał w świetle, gdy go obróciła, by odczytać nazwę wytwórcy: Tiffany & Co.,

New York City. Pomyślała, że nigdy w życiu nie widziała czegoś tak pięknego.

- Larsen z nim został.

Gdy kobieta weszła do jadalni, Catherine pospiesznie odłożyła widelec.

- Zrobiłam kolację. Może się jeszcze nie zmarnowała, szkoda byłoby nie zjeść.

Larsenowa przesunęła widelec, przywracając harmonijny układ masywnych sztuców.

- Ja tylko...

- Oglądała pani. Widziałam. Proszę usiąść, to potrwa tylko chwilę. Pewnie jest pani głodna.

Catherine posłuchała. Zbierało jej się na płacz - bez żadnego powodu poza tym, że droga powrotna była długa, a ona czuła się samotna. Próbowwała upiąć potargane włosy, ale bez skutku.

Zupa okazała się klarowna i gorąca, jagnięcina ugotowana w wyśmienitym egzotycznym sosie - przyrządzona tak, że wzbudziłaby podziw w restauracjach każdego ze znanych Catherine miast - a Larsenowa podawała potrawy, zadziwiająco łącząc prostotę z finezją. Catherine sądziła wcześniej, że nie jest głodna, lecz zjadła nawet deser: lekkie jak mgiełka bezy pływające w lśniącym, jedwabistym custardzie.

Piękne talerze pojawiały się i znikwały, ze sztuców nie pozostał już ani jeden. Larsenowa stanęła w drzwiach kuchni i obie słuchały stukotu butów na piętze: Truitt i Larsen chodzili tam i z powrotem po dywanie, po podłodze, potem znów po dywanie.

- Wyśmienita kolacja.
- Miała być bardziej uroczysta, ale... Stukot kroków na górze nie ustawał.

-...ale pewno jeszcze nadarzy się okazja. Proszę pani? -Tak?

- Mam nadzieję, że będzie tu pani szczęśliwa. Naprawdę. Nie było to najweselsze powitanie, ale bardzo się cieszę, to znaczy cieszymy się, z pani przyjazdu.

Catherine była zakłopotana.

- Wspaniale pani gotuje.

- Ludzie mają różne talenty. Ja nigdy nie radziłam sobie z szyciem. Za to w kuchni nawet po dłuższym czasie, a trochę go upłynęło, wiem, co robić.

Patrzyły na siebie skrepowane, a Catherine nagle poczuła znużenie. Spojrzała na sufit, znad którego wciąż dochodziły głuchoe odgłosy.

- Poradzą sobie?

- Tak. Znają się od dzieciństwa. Pan jest w dobrych rękach.

Larsenowa zaczęła zbierać naczynia ze stołu.

- Pomogę. Jestem przyzwyczajona do zajmowania się domem.

- Powinna pani odpocząć, położyć się.

- Nie wiem, gdzie mam...

- Pokój? Zaraz pokażę.

Wytarła ręce w ścierkę do naczyń, polizała czubki palców i zgasiła świece. Potem poprowadziła Catherine do salonu, wzięła jej walizkę i ruszyła po schodach na piętro.

- To ładny pokój. Z okna widać rzekę i domek, gdzie mieszkam z Larsenem.

Otworzyła drzwi do wytwornej sypialni. Nad łóżkiem z gustowną pościelą górował delikatny baldachim obramowany koronką.

Larsenowa podeszła do toaletki, nalała wodę z dzbana do porcelanowej misy, a z łazienki przyniosła zimną wodę w pięknej szklance z rżniętego kryształu, którą postawiła przy łóżku.

- Ubikacja jest w korytarzu. Wewnątrz domu. Pierwsza taka w naszym hrabstwie. Postarałam się, żeby wyglądała ładnie. Wiem, że pani jest z miasta.

- Och, nie przywykłam do luksusów...

- Zdziwiłaby się pani, ilu nie ma pojęcia, jak używać tych wszystkich sztuczków. Po sposobie jedzenia łatwo poznać, gdzie kto bywał w świecie. Pani bywała w niebyle jakich miejscach. Wyszła. Catherine rozpakowała walizkę: brzydkie suknie zawiesiła w niedużej szafie, bieliznę schowała do komody. „To będzie dom - myślała. - To moje rzeczy, układam je w moim domu”. Na koniec wyjęła z jedwabnej przegródki małą niebieską fiolkę. Wpatrywała się w nią długo, siedząc przy oknie, po czym umieściła ją z powrotem w przegródce i wsunęła walizkę pod łóżko.

Odchyliła ciężkie zasłony i natychmiast poczuła napór zimnego powietrza na szkło. Pomimo zmęczenia

doznanie Catherine było cudownie orzeźwiające, zmysłowe. Kilka lamp zapalonych w budynku oświetlało zadymkę. Siedziała na małym krześle pokrytym niebieskim aksamitem i obserwowała zamieć, zapadając w półsen i budząc się przy wtórze kroków Larsena w sąsiednim pokoju. Miała wrażenie, że jej życie jest obce, jakby należało do kogoś innego.

Wreszcie kroki umilkły. Poczekała, aż zapadnie zupełna cisza, wstała, zsunęła zniszczoną spódnicę i rozpięła trzynaście guziczków swojej okropnej sukni. Czowała żelazisty zapach krwi Truitta na ubraniu, na skórze. Lnianą ściereczką i ciepłą wodą z misy na nocnym stoliku umyła się jak najstaranniej.

Włożyła pozbawioną wdzięku koszulę nocną, którą uszyła przed zaledwie dwoma dniami, i stanęła przed owalnym lustrem, by - jak zwykle - spojrzeć na swoją twarz.

To nie złudzenie, tu, w tym domu, w tej nawałnicy. To nie gra, lecz rzeczywistość. Ogarnęła ją nagle rozpacz i do oczu napłynęły łzy.

„A przecież mogło być inaczej” — pomyślała. Mogła być kobietą huśtającą dziecko na kolanie, pomagającą sąsiadom, których dom nawiedziły choroba, pożar lub śmierć. Mogła szyć marszczone sukienki swoim córkom, czytać im baśnie w wieczory jak ten.

Tworzyć fantastyczne światy w ciemności, gdy ledwie dostrzega się własną dłoń. Nie wiedziała dokładnie, jak miałyby to wszystko osiągnąć, lecz niczym aktorka zastąpiona przez kogoś o mniejszych zdolnościach czuła się pozbawiona roli bardziej wdzięcznej, bardziej odpowiadającej jej prawdziwemu wnętrzu. Prawdziwe wnętrze jednak schowało się głęboko, ukryte pod

grubą warstwą kłamstw, kaprysów i intryg. Podobnie jak klejnoty pogrzebane pod śniegiem, czekało na odwilż. Czy w ogóle jeszcze istniało? Może było jak amputowana ręka drętwiejąca przez lata albo jak złamana kość, która dokucza przed burzą? Zresztą czy kiedykolwiek miała jakieś prawdziwe wnętrze? Lecz jak one to robiły, te inne kobiety, śmiejące się do swoich uroczych lub nieznośnych dzieci w restauracjach, na peronach, wszędzie? I dlaczego ją wykluczono z karuzeli uczuć wirującej wokół co dnia?

Pragnęła chociaż raz znaleźć się na środku sceny. Dlatego gra z Ralphem Truitem miała większe znaczenie, niż wcześniej sądziła. Stojąc bowiem przed lustrem w tym wiejskim domu na pustkowiu, Catherine była wszystkim, czym była.

Była samotną kobietą, która odpowiedziała na ogłoszenie w gazecie, kobietą, która pokonała dziesiątki mil na cudzy koszt. Nie była czuła ani uczuciowa, prosta ani uczciwa. Była zdesperowana i pełna nadziei. Była jak te wszystkie kobiety, których złudzenia wyśmiewała z przyjaciółkami, tylko że teraz patrzyła takiej kobiecie w twarz i nie widziała w niej nic zabawnego.

Zgasła górną lampę, a pokój zatańczył w świetle świecy ustawionej na nocnym stoliku. Zaciągnęła zasłony, odgradzając się od burzy, i weszła do eleganckiego, wygodnego łóżka.

Gdy pochyliła się, by zdmuchnąć świecę, usłyszała natarczywe pukanie do drzwi. W całkowitej ciemności przeszła po zimnej podłodze. Za progiem stała Larsenowa.
- Jest rozpalony - powiedziała.

ROZDZIAŁ PIĄTY

GORĄCZCE PRZYCHODZIŁY DO NIEGO KOBIETY. Wyciągały jego rozdygotane ciało ze zmiętej pościeli i zsuwały do balii z letnią wodą,

nie zdejmując mu koszuli. Wodził dokoła nieprzytomnym spojrzeniem, oddychał spazmatycznie, chrapliwie. Gdy miał dreszcze, mocno trzymały go kobiece dłonie.

Potem pomagały mu wstać, a chłodna woda ściekała strumieniami z koszuli przywierającej do niego jak druga skóra. Rozbierały go, wycierały ręcznikiem, ubierały i pomagały wejść do świeżo zaścielonego łóżka należącego niegdyś do ojca.

Oglądały ciało, którego żadna kobieta nie widziała od blisko dwudziestu lat.

Nawet przez chwilę nie był sam, bez kobiecej dłoni na ramieniu, na czole lub na piersi. Trzymały go za rękę. Okładały kompresami ze śniegu, czekając, aż spadnie gorączka.

Podpierały mu głowę, próbowały wlewać łyżką ciemny bulion w jego zdrętwiałe usta. Słyszał ich ciche gło-

sy z bardzo daleka. Chorował. Nie był już młody, jego ciało straciło powab. Kobiety go dotykały. Przychodziły i odchodziły, lecz nigdy jednocześnie. Zawsze była przy nim jedna z nich i kładła dłoń na jego ciele.

Nie myślał o tym wcześniej. Nie, nieprawda. Nie było czasu, by o tym nie myślał, ani jednej minuty przez te wszystkie lata, ale intensywność myśli zaprzepaściła wszelkie szanse na urzeczywistnienie - tego dotyku, tego dalekiego szmeru kobiecego głosu. A przecież one były rzeczywiste, jedna znana mu, druga nieznana, bez przerwy przy nim. W ciemności. W przyćmionym świetle dnia.

Larsenowa modliła się za niego. Ta druga nie.

Muskały go palcami. Odgarniały mu włosy z oczu, podtrzymywały w pasie, gdy kaszlał w chusteczkę. Słuchały jego jęków.

Przykładały mu woreczki z lodem do czoła, do karku. Grubymi wełnianymi kocami ciasno owijały mu nogi, całe ciało, aż nie mógł drgnąć.

Tak długo w tym domu, tyle osób wokół niego. Matka i ojciec. Brat. Zona - choć nienawidziła tego miejsca tak bardzo, że nawet jej duch nie chciał nawiedzać pokoi. Dzieci zapadłe w nicość głębszą niż śnieżyca.

Był to dom pełen ciemności, gdy bawił się na strychu z bratem, zmarłym dawno temu. Skończył dwanaście lat, nim uświadomił sobie bogactwo ojca, szesnaście, nim pojął bezmiar tego bogactwa, liczbę ludzi, których życie zależało od ojcowskich pieniędzy.

A przecież mieszkali wciąż w tym samym domu, nigdy nie wymieniając żadnego sprzętu na bardziej luksusowy, nigdy nie malując ścian, nie sadząc choćby jednej róży. Żyli jak ludzie ubodzy. Był to kraj imigrantów i żyli jak imigranci.

W domu nie wspomniano o bogactwie ani go nie okazywano. Był jedynie Bóg, surowy i straszliwy, Bóg, o którym matka mówiła dniem i nocą, Bóg karzący, Bóg potępiający, Bóg niepodzielnie władający ścisłym umysłem matki, nawet gdy spała obok męża, w jej oczach podobnego diabłu, myślącego o dotykaniu jej, wchodzeniu w nią i pławieniu się w niej jak łódź w płytkiej wodzie, myślącego o pieniądzach, o ciągłym ich pomnażaniu. Chodzili na nabożeństwa. Do różnych kościołów. Podczas tych długich godzin ojciec drzemał. Matka płonęła jak ogień. Duszę męża uważała za zgubioną.

Modlili się przy śniadaniu i wszystkich innych posiłkach. Modlili się o najrozmaitszych porach dnia, gdy dzieci postąpiły lekkomyślnie, nieuprzejmie lub zarozumiale, modlili się, jakby piekło było tuż za drzwiami, a nie głęboko pod ziemią.

Ojciec nie wierzył. Ojciec mrugał porozumiewawczo. Był potępiony, chociaż najwyraźniej o tym nie wiedział, a przynajmniej się tym nie przejmował. Matka pracowała nad nim wśród ludzi, a jeszcze uporczywiej w samotności, przekonana, że odkąd po raz pierwszy zaczerpnął powietrza, jego dusza jest skazana na zatracenie.

Pewnego dnia szła przy kuchennym stole. „Jak jest w piekle?” - zapytał Ralph, a ona przerwała szycie i powiedziała: „Wyciągnij rękę”. Posłuchał. Czuł żar bijący od pieca, widział bruzdy na stole, który matka szorowała codziennie, ścierając wszelki ślad ludzkiego głodu. Ręka mu nie drżała, jego zaufanie było niezachwiane. Miał sześć lat.

„Jak jest w piekle?”. Patrzył jej w oczy, gdy dłoń matki śmignęła w parnym powietrzu kuchni i wbiła igłę głęboko w miękką nasadę jego kciuka. Ból przeszył mu ramię aż do mózgu, lecz on się nie poruszył, spoglądał tylko w żarliwe, skupione oczy matki. Przekreśliła igłę. Poczował, jak ostrze zgrzyta na kości. Ogień parzył niczym pokrzywa i płynął prosto do serca.

Jej głos był cierpliwy, pełen miłości i smutny, bez gniewu.

„Właśnie tak, mój synu, jest w piekle. Tyle że w piekle to nigdy się nie kończy. Nigdy”.

Wyciągnęła igłę, nie spuszczając wzroku z jego twarzy, i wytarła w fartuch, który zdejmowała tylko przed wyjściem do kościoła.

Spokojnie wróciła do szycia. Nie zapłakał i więcej o tym nie mówili. Nie zwierzył się ojcu, bratu ani nikomu innemu. I nigdy, nawet na moment, nie zapomniał, co zrobiła, ani jej nie wybaczył.

„Ból piekielny nie mija. Nie przestaje palić ani na sekundę. Nigdy się nie kończy”.

Nie zapomniał, bo wiedział, że miała rację. Cokolwiek się stało z jego wiarą, cokolwiek się stało, gdy z rany pociekła żółta ropa, a potem dłoń wydobrzała i ślad po igle zmienił się z fioletowej wybroczyny w bladą kropkę, którą tylko on potrafił zobaczyć — wiedział, że miała rację. I od tamtego wieczoru nigdy, nawet na moment, nie przestał jej nienawidzić.

Dużo później, gdy wyjeżdżał z domu na studia, powiedziała: „Urodziłeś się niegodziwy, tak niegodziwy, że przez pierwszy rok nie chciałam wziąć cię na ręce. I wyrośniesz na niegodziwca. Jaki się urodziłeś, taki umrzesz”. Zatrzasnęła drzwi, pozostawiając go na werandzie z nową skórzaną walizką, a on zadawał sobie pytanie, skąd wiedziała — bo miała rację. Kobiety mijane na ulicy nie przypominały jego matki. Ich wdzięczne szyje wynurzały się z kołnierzy jak fontanny śmietany, ich spódnice pachniały żelazem, naftą i talkiem. Gdy spacerował z ojcem po miasteczku, ujmowały go niekiedy za rękę lub gładziły pod brodą, a wówczas przepływał przez niego prąd, tak podobny do bólu zadanego przez igłę, a zarazem tak odmienny. W tym bólu kryła się jakaś rozkosz, a chociaż Ralph miał dopiero siedem lub osiem lat, był bezsilny, rozpalony, bezradny, i nie rozumiał, skąd to doznanie ani co z nim począć, lecz wiedział, że niczego więcej nie pragnie. Dziewczęta, z którymi czasem pozwalano mu rozmawiać, różniły się od kobiet. Raz dotknął palca córki sąsiadów, starszej od niego, poczuł mrowienie w pachwinie i szybko cofnął dłoń. Dziewczęta w jego wieku miały cerę mleczną, nie śmietankową, a zapach kwiatowy, bez tego metalicznego posmaku, który dopełniał słodycz

cierpkością i sprawiał, że parzyła. Nocą, w łóżku, całował skórę swoich rąk, marząc o przyjaciółkach ojca.

W snach, jak teraz w gorączce, przychodziły do niego kobiety, trzymały go w ramionach. Nigdy nie był sam. Siedząc w kościelnej ławce lub biegając z kolegami po szkolnym dziedzińcu, wiedział zawsze, gdzie są i czy na niego patrzą. Nie rozmawiał o tym z bratem ani z ojcem. Oni i tak wiedzieli. Gdy matka rano i wieczorem czytała im długie fragmenty Biblii, nie wątpił, że ojciec i brat rozumieją równie dobrze jak on, o czym naprawdę są te opowieści.

Były to historie o początku świata: o głodzie kobiety odczuwanym przez mężczyznę, o jadzie węża płynącym w żyłach wszystkich mężczyzn, tak że nie znajdowali zapomnienia w pracy ani we śnie, lecz tylko w kobiecych ramionach.

Żądza. Wszystkie mówiły o żądzy, a on nieustannie grzeszył pożądliwością, był więc skazany na piekło. Maniery miał nienaganne, zachowanie powściągliwe i pełne godności, a pragnienia bolesne ponad wytrzymałość.

Jako piętnastolatek gryzł w ciemności poduszkę i do zdarcia gardła wykrzykiwał w nią tłumione pożądanie. Kilka razy dziennie jego drętwiejące ze zmęczenia dłonie wędrowały do spodni, spodnie zsuwały się do kostek, a wąskie biodra napierały gorączkowo na zaciśniętą pięść. Po wszystkim czuł na ogół ostre dźgnięcie igły, ból tak straszny, że pot występował mu na czoło, a ręce

i plecy wilgotniały, ból, który z pachwiny promieniował na całe ciało, jak wtedy, gdy oparżono go niczym pokrzywą. A im częściej się to zdarzało, tym bardziej nienawidził Boga.

W tamtym czasie nie dotknął żadnej dziewczyny. Był pewien, że każdą zabiłaby gwałtowność jego pragnień, ohyda jego żądz.

Wierzył w to niezachwianie. Czuł, że cierpi na jakąś chorobę, której nie umie nazwać, a która uśmierci jego i innych jak tyfus, jak pchnięcie nożem w serce.

Urodził się niegodziwy. Niegodziwy umrze. Czasem jakaś kobieta dotykała go przypadkowo, siadała obok niego, trącąc go udem w udo, i wiedział, że ta kobieta zginie, odsuwał nogę, odsuwał się jak najdalej, aż zostawał sam w ustronnym pokoju, ze spodniami opuszczonymi do kostek, ogarnięty rozkoszą poprzedzającą ukąszenie węża.

Ojciec był mężczyzną. Ojciec dotknął matki i nie umarł ani nie zabił, a jednak Ralph wiedział swoje.

Wszędzie znajdował dowody, że to, co przydarzy się jemu, dzieje się już z innymi. Kobiety drutami do robótek wypruwały z mężów wnętrzności. Mężczyźni pluli żonom w twarz i umierali na atak serca. Rodzice fotografowali leżące w trumienkach dzieci; w sukienkach z czarnego jedwabiu sztywnych jak martwe ciała. Żądza była grzechem, grzech śmiercią, a Ralph cierpiał i nie miał komu się zwierzyć.

Mylił się oczywiście, lecz pojął to dopiero po latach. Prawie każdy mógłby mu wyjaśnić, że się myli - gdyby

tylko znalazł słowa na opisanie tej grozy, gdyby znalazł powiernika. Wtedy jednak nie miał na nią słów.

Wyrósł na wysokiego, ładnego chłopaka. Był bogaty, co wywnioskował z zaczepek w szkole, a także stąd, że ojcowie wszystkich kolegów pracowali dla jego ojca. Każda z matek w miasteczku sprzedaby Ralphowi córkę za dolara.

Matka modliła się za niego. Ojciec czytał mu *Le Morte D'Arthur*, opowieści o Okrągłym Stole i Graalu. Chciał, żeby syn kształcił się w mieście. Brat, dobroduszny chłopak, nie miał głowy ani serca do interesów, ojciec zaś oczekiwał, że niestrudzenie pomnażany przez niego majątek przetrwa jego śmierć. Ralph zrozumiał, że został wyznaczony na dziedzica. Nie pragnął żyć jak ojciec. Pragnął być Lancelotem z Jeziora, który obudziwszy się ze snu, ujrzał cztery królowe spoglądające na niego spod jedwabnych parasolek. Jego matka, Pani Jeziora, wysyłając Lancelota w świat, by został rycerzem — bo pozwoliła mu odejść, chociaż tak go kochała i lękała się o jego duszę — wytłumaczyła synowi różnicę między cnotami serca a cnotami ciała. Cnoty ciała posiadli ludzie o pięknych twarzach i silnych ramionach, lecz cnoty serca — dobroć, uprzejmość i współczucie — może mieć każdy.

W swojej chłopięcej naiwności Ralph niezachwianie wierzył w te słowa — pomimo przekonania, że nie posiada cnót serca i że nigdy nie będzie wysoki, piękny ani przez kogokolwiek upragniony. Czuł się wygnańcem w duszy i w ciele.

Tak więc Lancelot opuścił matkę i wyruszył w świat, w którym okazał się silny, odważny i bezbronny wobec kobiet. Jego czystość, siła, uroda i odwaga na nic się zdały. Bezradna żądza Lancelota zniszczyła świat i Ralph zrozumiał to wszystko, słuchając opowieści czytanych przez ojca. Zrozumiał i do oczu napłynęły mu gorące łzy.

Żądza i przepych. Los chciał, że cnoty ciała uzyskał bez trudu. Wbrew własnemu przekonaniu był wysoki, przystojny i silny. Cnót serca nie znał, a modlitwy matki nauczyły go, że o czymkolwiek one są, nigdy ich nie zdobędzie. Gdy siadywała na prostej drewnianej ławie w kościele o kamiennych murach, widziała Niebo. On siedział obok niej i myślał tylko o nagich kobietach, jedwabnych parasolkach i eleganckich powozach. O wiecznej rozkoszy.

Miłość do kobiet i strach przed śmiercią przerodziły się w nienawiść. Pożądanie i koszmar były dla niego jednym i tym samym.

Wyjechał do Chicago na studia. Z dala od matki mógł spędzać dni i noce na pogoni za przyjemnościami. Nauka nie sprawiała mu kłopotu. Cieszył się ogólną sympatią. Gardził sobą, gdy był sam, toteż nieustannie szukał towarzystwa innych ludzi.

Zasmakował w szampanie i widoku rozebranych kobiet w pokojach hotelowych. Każdą przyjmował tylko raz, lękając się, że zniszczy ją własnym pożądaniem. Wyśmiałyby go swoim cynicznym, melodyjnym śmiechem, gdyby znały jego myśli. Wydawał uroczyste obiady w restauracjach. Ku-

pował kanapy obite aksamitem i stare obrazy przedstawiające nagich świętych przebitych strzałami. Miał własnego krawca. Był jednym z mężczyzn, którzy zyskują dzięki nieświadomości tego, że są przystojni. W łóżku zachowywał się tak, jakby unikał własnego odbicia w lustrze, używał dłoni i warg, a nie oczu, i kobiety uważały to za ujmujące. Jego głód był niezaspokojony, a usta nienasycone.

Matka nie napisała do niego ani razu, a on ani razu nie odwiedził domu. Grał w karty. Czytał filozofów. Czytał na głos francuską poezję nierozumiejącym ani słowa dziwkom. Bawił się badaniem, jak od pieniędzy można dojść do bogactwa, i sprawdzaniem podczas wyścigów konnych, jak rodowód przeważa szalę na ostatnim furlongu.

Z ojcowskiego konta płynęły pieniądze, niewyczerpane ich strumienie. Przestał słać sprawozdania, miesiącami nie pokazywał się na uczelni, aż któregoś ranka budził się ze smakiem szampana w ustach, stęskniony za spokojem akademickiego życia, zakurzoną biblioteką i głosami profesorów w salach wykładowych. Nadal co miesiąc pojawiała się na jego koncie ta sama suma. Bankierzy potrząsali głowami i patrzyli na niego z zawiścią, lecz nigdy nie odmówiono mu ani centa.

Ojciec tworzył go oto na nowo, znajdując wreszcie sposobność do zemsty na zgorzkniałej, nieprzejednanej żonie. Ralph stał się lekkomyślny i niegodziwy, ojciec zaś, jeśli nawet wiedział, wcale na to nie zważał.

Brat Ralpha, Andrew, był nudny i pobożny. Pozostał w domu. Pracował u ojca, harował jak wół, nigdy się nie skarżył i nie miał najmniejszego talentu do interesów. Biegłość w rachunkach

owszem, lecz nic ponadto. Siedział obok matki w kościele i oczy płonęły im podobnym blaskiem. Ożenił się w wieku osiemnastu lat, zmarł na influencę rok później. Teściowa szalała z niedowierzania, że córka była tak blisko majątku, a wszystko przepadło: nie dała mężowi dziedzica, a więc nie mogła liczyć na nic poza posepnym towarzystwem matki Ralpa, które - rzecz jasna - po pewnym czasie odstraszyło dziewczynę. Lepiej mieszkać z własną, nawet obłąkaną rodziną niż z matką zmarłego męża, której cnotliwość była przytłaczająca.

Ojciec Ralpa został sam z żoną, opuszczał więc dom coraz częściej. Odwiedzał swoje kopalnie, oglądał ogromne stada, jeździł na rozmowy z przedsiębiorcami zaangażowanymi w budowę kolei i po miesiącu lub dwóch wracał bogatszy niż dotąd, promieniejący powodzeniem, do nędznego ciemnego domu, do żony w tej samej lichej sukience. Nigdy nie powiedział ukochanemu starszemu synowi tego, co powiedzieć skrycie pragnął. Wracaj.

Ralph, od pięciu lat poza domem, płał się w rozkoszy i nią gardził. Szukał kobiet o złej reputacji, bo nie musiał dbać o to, czy je skrzywdzi. Jego głód krył w sobie nienawiść, obrzydzenie, a mimo to nie potrafił się z nim rozstać. Wynajmował apartament w hotelu, z łóżem przystrojonym girlandami i złotem, a dyskret-

ni kelnerzy wciąż donosili szampana dla pana Ralpa Truitta i panny Mackenzie lub panny Irons, lub panny Kenny, dla śpiewaczek i tancerek, dziwek i modelek.

Myślał o zmarłym bracie i zazdrościł mu spokoju. Śmierć przynajmniej położyłaby kres nienasyceniu.

Wyjechał do Europy. Podróż taka, przez ojca nazywana *Wanderjahr*, była typową rozrywką młodych ludzi jego czasów. W Europie uczył się być dandysem, choć jego wyrafinowanie polegało głównie na mówieniu po francusku i na zręcznym meldowaniu się w hotelu z kobietą, która nie była jego żoną. Wyruszył w *Grand Tour* przez mgły Londynu i światła Paryża, przez galerie obrazów, tory wyścigów konnych i salony zubożalej arystokracji. Nadskakiwano mu, oferowano spłoszone córki jak zegary z połączanego brązu i szydzono z niego, gdy tylko się odwrócił. Nie dbał o to, dopóki mógł zamówić obiad w każdej restauracji i zapłacić rachunek.

We Florencji wpadł na znajomego z Chicago, Edwarda, który próbował swoich sił w malarstwie. Edward spędzał dni w Galerii Uffizich i Pałacu Pittich, wypełniając szkicownik i walcząc z kacem, a żył w takiej rozwiązłości, że nawet Ralph był wstrząśnięty. Wynajął wówczas dużą rezydencję i ściągnął przyjaciela do siebie. Pili mrożonego szampana i śmiali się, gdy wosk z białych świec kapał na marmurowe posadzki podczas nocnych spotkań karcianych, balów i przyjęć, na których nikt nie miał na sobie ubrania.

Co rano młode pokojówki usuwały wosk z posadzek, a Edward i Ralph spali w pięknych łóżach ze swoimi

tłustymi dziewczynkami. Życie upływało na pogodnej, błogiej dekadencji.

Czasem pośród kościelnych fresków, między które zagłębiał się jakby przypadkiem, Ralph widział Boga -jeśli nie mniej strasznego, to na pewno bardziej majątnego niż Bóg jego dzieciństwa.

Sprawił sobie kucharza, dwóch ogrodników, sześć pawi i elegancki powóz ze stangretem w liberii. Z tyłu powozu jeździł służący, którego funkcja na zawsze miała pozostać dla Ralpa niejasna.

Edward okazał się bywalcem aptek, w których wtajemniczonym sprzedawano szczególne mikstury: proszki sprowadzające długi sen, podczas którego słońce wschodziło, zachodziło i znów wschodziło nad katedrą, proszki wywołujące czterogodzinną erekcję. Obaj kupowali ciemnoniebieskie fiołki z trucizną, która -zażyta w małych dawkach - wywoływała euforię, jakiej Ralph nie doświadczył nigdy przedtem, ekstazę odczuwaną całym ciałem. A pieniądze napływały bez słowa nagany. Groza, jaką odczuwał wobec pożądania, nie mijała. Serce nie uodporniło się na ból, nienawiść nie przestawała w nim pulsować. I wtedy ujrzał Emilię.

Minęła go pewnego dnia powozem: piękna szesnastolatka w białej muślinowej sukni, z kwieciem glicynii wplecionym kunsztownie w czarne włosy. Przestał zaglądać do podejrzanej apteki, grać w karty. Edwarda, dziwki, szulerów i pijaków przeniósł do wielkich ciemnych pokojów po drugiej stronie rzeki. Był zakochany.

Zdumiony, budził się co rano z trzeźwym umysłem w rezydencji równie nieskazitelnej jak poprzedniego wieczoru i próbował tokańskich potraw przynoszonych mu przez dyskretnych ciemnookich służących. Gimnastykował się. Brał lekcje boksu. Codziennie uczył się języka włoskiego, by móc z nią rozmawiać. Jeździł konno, polował i starał się być człowiekiem, który zdoła podbić serce tej dziewczyny.

Garderobę miał w doskonałym guście, maniery nie najgorsze, rodowód nie do sprawdzenia z tak wielkiej odległości. Był Amerykaninem i - jak sądził - to wystarczało. Pomadował włosy, pachniał wodą kolońską z apteki przy Santa Maria Novella i dolarami.

Przedstawiono go ojcu Emilii, potem matce, a następnie niespiesznie wprowadzono do salonu, w którym każdy przedmiot świadczył o wielowiekowej kulturze i przepychu. Wreszcie pozwolono mu porozmawiać z Emilią. W wieku dwudziestu kilku lat był bardziej naiwny niż oni w niemowlęctwie.

Byli to niczym niewyróżniający się ludzie, z pretensjami, bez grosza, przesadnie ambitni w stosunku do pięknej córki, Ralph zaś przecenił ich pozycję społeczną. Nie wziął pod uwagę, że większość włoskich rodzin jest w stanie wyciągnąć taki czy inny tytuł z zakurzonego strychu. Nie zauważył, że nie mają pieniędzy, nie opłacają służby, a rozzłoszczeni krawcy wybiegają z ich domu tylnymi drzwiami, gdy on wchodzi od frontu. Nie zorientował się, że córka to jedyny towar, jaki mogli jeszcze sprzedać.

Widział tylko piękność o głosie jak muzyka i manierach jak poezja. Po tylu korepetycjach jego włoski nadal był językiem dziecka. Emilia mówiła ładnie po francusku, zabawnie po angielsku, i rumieniła się, gdy próbował zajrzeć jej w oczy. Przez całe miesiące była słodka i urocza, na wyciągnięcie ręki, ale poza jego zasięgiem, jak brzoskwinia na czubku drzewa.

Szeptał jej imię, spacerując brzegami Arno. Rozłąka z nią sprawiała mu ból, jakby płonęły w nim wszystkie nerwy. Tylko w jej towarzystwie znosił samego siebie. Palił świece w intencji jej miłości. Modlił się o cud. W końcu zrozumiał albo raczej dano mu do zrozumienia, że Emilia jest na sprzedaż.

Była dla niego czuła i tkliwa, a wiedząc tak mało o miłości, dostrzegał w jej twarzy odzwierciedlenie własnych uczuć i wierzył, że Emilia go kocha. Ojciec panienki martwił się pożegnaniem, lecz ostatecznie nie odmówił im błogosławieństwa, skoro córka kochała Ralpha, a jemu obiecano wynagrodzenie bolesnej straty.

Kupowanie nie sprawiało Ralphowi trudności. Spędził przecież trzy lata wśród kolekcji srebra i na aukcjach obrazów w Europie. Wiedział, że arystokraci niechętnie rozstają się ze swoimi skarbami, koniec końców jednak chodzi im nie o rozłąkę, lecz o cenę.

Napisał znowu do ojca. Poprosił o pieniądze. Ojciec odparł, że spełni jego prośbę, lecz życzy sobie, by syn wrócił do Wisconsin i poprowadził rodzinne interesy. Zawarto układ: żona w zamian za odpowiedzialność, której przez tyle lat bezkarnie unikał. Dla Ralpha była

to korzystna umowa. Wiedział od dawna, że niezależnie od długości smyczy, na której go uwiązano, prędzej czy później poczuje szarpnięcie i zostanie przyciągnięty do domu.

Zawsze miał nadzieję, że kiedyś będzie mógł kogoś pokochać tak głęboko, by odsłonić przed nim swoje lęki i w ten sposób się od nich uwolnić. To właśnie Emilii wyjawiał straszne sekrety, opowiedział o ogniu w żyłach, nienawiści w sercu. Uspokoila go śmiechem i pocałunkiem. „Zobaczysz - szepnęła. - To niemądre. Nikt nie umrze”.

Ledwie rozumiała, co do niej mówił. Jej angielszczyznę tworzyły savoir-vivre, poezja i światło, bez słownictwa potrzebnego do wyobrażenia sobie takiej ciemności. Wiedziała tylko, że wychowano ją na sprzedaż, a Ralph niewątpliwie nie był najgorszym z możliwych nabywców.

Gdy czekano na przysłanie wykwintnej wyprawy ślubnej z Paryża, a potem na jej poprawki oraz poprawki poprawek, gdy ojciec Emilii negocjował posag z tak bezwzględną przedsiębiorczością, że ani jeden jego dłużnik nie został bez zapłaty, nadeszły depesze. „Twój ojciec choruje - zawiadamiała pierwsza - przyjeżdżaj natychmiast”, lecz Ralph nie mógł jeszcze opuścić Florencji. „Twój ojciec umiera” - donosiła druga, lecz Emilia nadal nie była gotowa.

„Twój ojciec nie żyje” - gdy przyszła trzecia depesza, poślubił Emilię w pośpiechu i wsiadł do pociągu, później na statek, później znów do pociągu, aż dotarł

z żoną na farmę w Wisconsin: syn marnotrawny z powrotem w domu.

Emilia była w ciąży, a on cieszył się z dziecka i czuł strach. Pamiętał, jak klęczał u grobu ojca, przy nim żona w sutej perłowszarej sukni z Paryża, połyskującej w promieniach słońca. Jej twarz, we Florencji tak anielska, tu wydawała się jedynie dziwna, zbyt egzotyczna w płaskim pejzażu.

To było tak dawno temu. Nie żyli już wszyscy: ojciec, Emilia, dziewczynka, którą urodziła tamtej pierwszej wiosny w Wisconsin, brat. Nie żyli wszyscy, nawet jego nieustępliwa matka, która nigdy mu nie wybaczyła.

Myślał, że to minie, ale się mylił. Przez dwadzieścia lat ani jedna osoba nie dotknęła go z czułością czy z pożądaniem, a on ze zdumieniem zauważał, że żądza nie utraciła nic ze swojej płomiennej siły. Z roku na rok otaczała mu serce grubszą skorupą i nigdy nie wypuściła go z uścisku.

On tymczasem nadal się odsuwał od łagodnych głosów tych niewielu kobiet, które z nim rozmawiały, wiedząc zaś, że mogłby mieć każdą, nie wybrał żadnej. Wybrał samotność, a może ona go wybrała. Wciąż bowiem, dniem i nocą, myśli Ralpa krążyły natrętnie wokół nocnego życia mężczyzn i kobiet z miasteczka, przez co nie znosił ludzi i zarazem był dla nich opiekuńczy. Jego miłość umarła razem z Emilią i dzieckiem, lecz pożądanie przetrwało na wyjałowionej ziemi.

W gorączce przychodziły do niego kobiety. W gorączce go dotykały. Ich dotyk palił i chłodził.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ŚNIEG SYPAŁ PRZEZ TRZY DNI. Catherine odczuwała taką nudę, że niekiedy lękała się utraty rozumu, a przynajmniej zdrowego rozsądku. W tym krytycznym położeniu nie wolno jej było zapomnieć o planie. Co noc wyjmowała z walizki niebieską fiolkę, obracała w dłoniach i patrzyła przez nią na zamieć. Zupełnie jakby widziała scenę w szklanej kuli pośród wirujących płatków śniegu. Co noc się modliła, by Truitt nie umarł. Gdy nie doglądała Ralpa, krążyła po pokojach, oglądała wszystko, dotykała wszystkiego. Brała do ręki każdy talerz, każde srebro, żeby zobaczyć markę, stempel probierczy. Limoges, France. Tiffany & Co., New York. Wedgewood. Szacowała wartość pojedynczych przedmiotów i całości. Rozmowy, które z rzadka prowadziła z nią Larseno-wa, dotyczyły leczenia Ralpa albo były jak oderwane frazy w ledwie zrozumiałym obcym języku.

- Buty pana tam nigdy nie stoją, koło drzwi. Zawsze przy komodzie. Sprowadza je z Nowego Jorku.

- Zaraz przeniosę.

-Nie. Proszę zostawić. Sama to zrobię. Wiem, co pan lubi. Późnym wieczorem, gdy siedziały u jego boku, Larsenowa mawiała:

-Spi teraz jak niemowlę. Głowa jak arbuz. Nie umrze. Nigdy nie wiedziała, czy oczekuje się od niej odpowiedzi. Nie miała doświadczenia w pogawędkach.

Sypiała na krześle w jego pokoju. Ubrana w czarną suknię, słuchała wiatru za oknem. Pielęgnowała Ralpa czule, z wprawą. Trzy razy dziennie siadała za lśniącym stołem i jadła przynieszone przez Larsenową wykwintne dania. Przejrzystą zupę o barwie rubinu. Bezę z kasztanami. Kaczkę w sosie musztardowym. Potrawy, o jakich nigdy nie słyszała, tak eleganckie, że aż przerażające. Zapytała, czy Larsenową nie zechciałaby dołączyć do niej z mężem lub czy ona nie mogłaby usiąść z nimi w kuchni. Tego jednak najwyraźniej nie przewidziano, dalej więc jadła posiłki samotnie.

Własny apetyt ją oszałamiał. Zasmakowała w ciężkich, bogatych potrawach, tak nie na miejscu w tej posępnej krainie i tak posilnych w surowym klimacie. Głód, podsycany nudą i niepokojem, nie mijał, niezależnie od tego, ile jadła.

Nocą stała godzinami przy oknie, obserwując padający śnieg, stęskniona za tym, co zostawiła za sobą. Za dnia od jaskrawej bieli bolały ją oczy. Rozsuwała zasłony tylko na parę minut. Myślała o ludziach, zwyczajnych ludziach przemierzających ulice miast, i zdumiewała się pospolitością ich życia.

Myślała o swoich poprzednich pokojach - o pokojach, w których budziła się i oddychała, o meblach, o gwarze dobiegającym z ulicy przez otwarte okna, o tym, jak po tych pokojach chodziła, jak płakała. Spoglądała z góry na głupich, bezwolnych ludzi, którzy jednak potrafili zdobyć wszystkie ważne drobiazgi, jakich ona nie miała.

Byli właścicielami talerzy. Wszyscy mieli skarpety. Świat wypełniali ludzie, a ona z szyderstwem myślała o tych niewielu, których poznała.

Lecz choć bezlitośnie kpiała z pustki ich życia, z ich głupoty i nudy, trafiła na koniec do tego domu, tak cichego pośród śniegu, i chętnie zamieniłaby się miejscami z każdym z nich.

W życiu, które zostawiła, paliła papierosy, piła, zażywała opiaty i brała, co się dało, z otaczającego ją morza ludzi. Mężczyźni ślali jej listy. Zauważali ją w teatrze, wysoko w loży, i pisali do niej, a ona odpowiadała. Na godzinę, na lato, na noc znajdowała zapomnienie z tym, którego list ją zainteresował, z mężczyzną o oczach niebieskich, zielonych lub piwnych, z mężczyzną szukającym nie wiedzieć czego. Dreszcz jednak mijał, blakło rozkoszne piękno i była już tylko głupota i odrażające zapachy, i nienawiść jej serca, podpowiadająca, że przy-

jemność, jaką ci ludzie czerpią z tak prostych chwil, na zawsze jest jej odmówiona. I wtedy szła dalej.

Miała ochotę na papierosa. Brnęłaby przez zasy wyższe od niej, byle tylko znaleźć ucieczkę w opium, w morfinie. Od tego wszystkiego jednak dzieliły ją rozległe przestrzenie. Nie wypije nawet kieliszka sherry. Wprowadzi plan w życie i plan się powiedzie — oczywiście jeśli Truitt teraz nie umrze.

— Co z nim, proszę pani?

— Niepokojny. Gorączkuje.

— To silny chłop. Wyliże się, bez dwóch zdań.

„Gdy będę już miała jego pieniądze — myślała — wyjadę daleko.

Wyjadę do kraju, gdzie nie znam nikogo, do kraju o obcym języku. Nigdy więcej nie będę rozmawiać". Ale nie, nie taki był plan. Nie wolno zapominać o planie. Gdy będzie miała jego pieniądze, poślubi swojego bezużytecznego i pięknego kochanka, i będą wieść życie jak z marzeń. O tak, taki właśnie był plan.

W każdym z miast, w których mieszkała, gdy ogarniał ją niepokój i poczucie zawodu — a po jakimś czasie ogarniały ją one wszędzie — szukała biblioteki i spędzała w niej godziny na studiowaniu przewodników. Znała układ ulic Buenos Aires, Saint Louis i Londynu. Wiedziała wszystko o krajach, w których nigdy nie była. Jak pilna uczennica przesiadywała w przyćmionym świetle czytelnicy i chłoneła informacje.

Wyobrażała ich sobie w Wenecji, siebie i swojego bezużytecznego, dziecinnego kochanka. Wysypiali się do popołudnia w pokojach Hotelu Daniela, pośród nad-

gryzionych słodyczy, pustych butelek po szampanie i wytwornej bielizny. W świetle padającym z wysokich bibliotecznych okien przyswajała sobie włoskie słówka.

Wyobrażała sobie, jak się budzi, jak patrzy w jego zmętniałe od morfiny czarne oczy, jak leniwie wstają oboje w jedwabiach i papierosowym dymie, jak sączą chianti w gondoli sunącej po ciemnej wodzie ku światłom Lido, jak gondolier śpiewa o miłości i otwierają się przed nimi wszystkie drzwi, odsłaniając niekończące się komnaty, arystokraci zaś, księżniczki i królowie witają ich pocałunkiem w oba policzki. Nigdy się nie zestarzeją i nigdy nie umrą. Nigdy nie będzie sama. Będzie miała urodę kochanka i własną, będzie miała pieniądze Ralpa, a to z pewnością wystarczy. Taki przynajmniej był plan.

Wyjdzie za Ralpa Truitta, a potem nagle, niemal niezauważalnie, Ralph zacznie się starzeć i umierać. Jeszcze później, lecz niedługo później, Ralph będzie martwy, ona zaś będzie miała wszystko.

— Mogę o coś zapytać?

— Tak, proszę pani.

— Skąd się bierze to jedzenie?

Larsenową parsknęła śmiechem, polewając sosem kaczą pierś.

— Skąd się bierze? Sama przyrzędam. -Ale...

— Myślała pani, że jemy suszone mięso? Peklowaną wołowinę z kapustą, szynkę od października do maja? Jak wieśniacy?

Niektórzy owszem. My nie. Mamy tutaj

lodownię, trzymamy w niej większość rzeczy. Niektóre pan Truitt sprowadza z Chicago. Część przyjechała pociągiem razem z panią.

— Gotuje pani cudownie.

— Nauczyłam się dawno temu, kiedy byłam młoda. W tamtym domu, w innych czasach. Ale muszę powiedzieć, że miło robić to znowu. Robić, jak należy.

— W tamtym domu?

— Tak. Dawno temu.

— A gdzie był tamten dom?

— Nie był, tylko jest. Wciąż jeszcze stoi.

— Ale gdzie?

— Niedaleko. Niecałą milę stąd. Nigdy tam nie chodzimy.

— Jak wygląda?

„Może właśnie z tamtego domu przeniesiono te wszystkie piękne przedmioty z markami wytwórców wytłoczonymi na spodzie?”

— pomyślała.

— Nieważne, nigdy tam nie chodzimy. Śnieg nie przestaje padać. Niedługo się skończy eleganckie jedzenie.

Z tymi słowami Larsenową zostawiła ją samą przy długim stole pełnym lśniącego srebra.

Catherine wiedziała sporo o kuchni — kuchni francuskiej.

Czytała o niej w bibliotece. Sama nigdy nie próbowała gotować, lecz przepisy na sosy znała na pamięć. Starła się jednak nie okazać zbyt ciekawości. Larsenową peszył nadmiar pytań. Zdumiewające, czego człowiek dowiadyuje się w bibliotece. O truciznach na przykład. Całe strony na te-

mat trucizn. Jak książka kucharska. Jeśli tylko umiało się czytać, można było otruć kogoś naprawdę niepostrzeżenie.

W domu Ralpa Truitta nie było książek. Na starym pianinie, nakrytym haftowanym hiszpańskim szalem, Catherine grywała wprawki w przerwach między swoimi obowiązkami pielęgniarki. Na ogół jednak nie wiedziała, co z sobą począć, a nie miała kogo zapytać. Z pewnością nie Larsenowej, pogodnej i szczerzej, która uważała ją za osobę równie pogodną i szczerą, a zatem wszędzie umiejącą znaleźć dla siebie miejsce. Larsenową była gruba i dobrotliwa, niepodobna do drobnego, chudego męża, który śledził podejrzliwie każdy ruch Catherine i traktował ją z ledwie maskowaną pogardą.

- Och, Larsen! - Catherine słyszała czasem łajanie jego żony. - Daj biednej dziewczynie szansę!

Szansę na co? „Gdyby tylko wiedzieli” - myślała. Nie potrafiła usiedzieć na żadnym z krzeseł. Patrzyła przez okno na zamarznięty krajobraz i wyobrażała sobie swoje klejnoty pod śniegiem. Płakała bez powodu.

Któregoś dnia, gdy układały ciężkie ciało Truitta w świeżej białej pościeli, Larsenową oświadczyła ni stąd, ni zowąd:

- Nie zniosłabym tego, proszę pani. Nie zniosłabym, gdyby go znowu skrzywdzono.

- Kto go skrzywdził?

- Wszyscy. Dawno temu. Ale coś takiego nigdy nie mija. To zrujnowało mu życie.

- Bardzo pani na nim zależy.

— Szanuję go. Trzeba szanować takie cierpienie. Ja tam wzięłabym pistolet. Ale ostrzegam: niech no pani go skrzywdzi.

— Nie skrzywdzę.

— O nie, z pewnością nie.

Catherine kłamała tylko po części, bo nie zamierzała krzywdzić Truitta już teraz. Najpierw musiał odzyskać zdrowie. Nie mógł umrzeć i zostawić jej zdanej na własne siły, bez miłości i bez pieniędzy. Nie ścierpiałaby długiej podróży powrotnej z pustymi rękami.

Karmiła go łyżką. Delikatnie ocierała mu pot z czoła, zdejmowała z niego koszulę, gdy był rozpalony. Błagała Larsena, by sprowadził lekarza, mieszkającego dwa miasteczka dalej i odciętego od świata przez śnieg. Sługa jednak, zobaczywszy, jak poradziła sobie z raną Truitta, uznał, że nie ustępuje okolicznym doktorom, a zresztą śniegu przybywało z dnia na dzień.

Poiła Truitta gorącą herbatą. Owijała mu nogi wełnianymi pledami i siedziała przy nim przez noc. Z pomocą Larsenowej podnosiła jego nagie ciało z kąpieli.

Wstawiała w nocy i czuwała przy nim, wstrząsanym gorączką. Kładła się obok i przytulała go, ogrzewając własnym ciałem, aż dreszcze mijały. Jej sutki nabrzmiwały, przyciśnięte do jego drżących pleców.

Była to, jak przypuszczała, zmysłowa magia ludzkiej czułości. Pociecha, którą daje serdeczność. Tak długo nie pamiętała ojej istnieniu.

Przesuwała dłońmi po jego ciele — niczym te wszystkie dłonie błądzące kiedyś po jej ciele, a on był daleki

i obojętny jak wtedy ona. Gdy wreszcie zapadał w spokojny sen, czuwała na krześle do świtu, drżąc z chłodu, który - jak sądziła - nie skończy się nigdy. Patrzyła w ciemność.

Czwartej nocy gorączka spadła i przestał sypać śnieg. Truitt wracał do zdrowia. Ocaliła mu życie.

Godzinami stała przy oknie w ciemnościach, a niebieska fiolka leżała przed nią na parapecie. Śnieg okrywał wszystko i lśnił w blasku księżyca jak baśniowa kraina, o jakiej marzą małe dziewczynki.

Śnieg był nieśmiertelny, nieskończony. Leżał na podwórzu, na dachu stodoły, na okrągłym stawie przy najdalej położonym zagonie. Gdzie okiem sięgnąć, żadnego odcisku buta, żadnej skaży, wszędzie srebrząca się, nieprzenikniona biała połać.

„No proszę - myślała Catherine - a więc prędzej czy później zawsze nadchodzi początek. To się dzieje naprawdę”.

Stała tak całą noc w swojej skromnej sukni, rozkoszując się ciepłem, i czekała na poranną rozmowę z Ralphem Truitem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

GDY WZESZŁO SŁOŃCE, śnieg zapłonął barwą miedzi, powoli wyblakł do różu i nagle przeszedł w olśniewającą biel. Stodoła i zabudowania za-

nurzyły się we mgle oślepiającego światła i Catherine musiała osłonić dłonią oczy.

Ubrała się starannie i poszła przez cichy dom do salonu. Usiadła przy pianinie i zagrała preludium Chopina, jedno z łatwiejszych, bardzo cicho, by nikogo nie zbudzić. Jeszcze nim się odezwał, wyczuła, że stoi za nią w drzwiach, lecz mimo to drgnęła na dźwięk jego głosu.

- To ulubiony utwór mojej żony. Grywała go niemal codziennie. Wyglądał na osłabionego. Był zgarbiony, jak ktoś, kto porusza się o lasce.

— Przepraszam, już nie...

— Ale ja chciałbym posłuchać. Proszę.

Grała więc dalej, nie opuszczając ani jednej nuty, ze słodyczą — miała nadzieję — i prostotą, które dowodziłyby braku arogancji, ale nie biegłości, a później wstała od pianina i usiadła przy kominku naprzeciwko Ralpa. Był bardzo blady i chyba smutny, może z powodu obrazu zmarłej żony, który przywołało preludium Chopina.

— Mój ojciec uważał muzykę za głos Boga — mówiła cicho, jakby uspokajała przestraszone zwierzę. — Był misjonarzem. Podróżowaliśmy po świecie. Afryka, Indie, Chiny, wszędzie tam, gdzie wzywał go Bóg. Zmarł w Chinach, osierocając mnie i moją siostrę. Głosił słowo Pana na ziemiach, gdzie nikt nie włada językiem angielskim. Wierzył, że muzyka łączy cały świat, a Bóg przemawia przez nią do ludzi. Lubił moją grę.

Opisała mu mieszkańców Afryki i Chin, pogan, którzy — poruszeni jej amatorską grą na pianinie i kazaniami ojca — doznali nawrócenia. Ich dusze, jak się wyraziła, uniknęły piekła. Wymyśliła to, oczywiście, wzięła wszystko z książek przeczytanych w bibliotece: zwyczaje afrykańskich plemion, tradycyjny strój dam chińskiego dworu, ich drobne stopy i ptasie głosy. Przedstawiła jednak wszystko bardzo wiernie, każdy szczegół, a on słuchał z uwagą.

Gdy umilkła, przestraszona, że za szybko zużyła całą swoją wiedzę, siedział przez jakiś czas bez słowa, a potem zapytał: — Kim pani jest?

- Catherine Land. Kobieta, która do pana pisała. Nie jestem osobą z fotografii, ale to ja napisałam wszystkie listy.

Wyglądał na siebie ubranie, jakby niezdecydowany, co dalej.

- Pobierzemy się. Kimkolwiek pani jest, kimkolwiek się pani okaże. Ale najpierw powinna pani o czymś usłyszeć.

- Mówił pan... wydawał się niepewny. Nieufny.

- Ocaliła mi pani życie. To wystarczy. Wiem, co pani dla mnie zrobiła. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Wiem o wszystkim. Byłem chory, byłem prawie martwy, ale nie straciłem świadomości. Siedziała z dłońmi złożonymi na podołku. Patrzyła w jego jasne oczy.

- Nie jest pani tą, za którą się podawała. - Ojciec uważał, że moja twarz jest... jest dziełem

Szatana. Stworzona, by wyrządzać zło. Przysłałam panu cudze zdjęcie, należące do mojej kuzynki Indii. Bo pan nie chciał... a w każdym razie tak pisał... mój ojciec... — Urwała bezradnie.

- Wystarczy. Powiedziałem, że się pobierzemy. Patrzyli to na siebie, to w ogień.

- A teraz proszę posłuchać - odezwał się cicho. - Historii mojego życia. - Przez dłuższą chwilę milczał, wpatrzony w płomienie. - Proszę posłuchać historii mojego życia - powtórzył.

Mijały godziny, a on opowiadał jej o wszystkim. O pełnym goryczy dzieciństwie. O matce, jej igle i bo-

lesnym ściskaniu się jego serca podczas każdego niedzielnego kazania. O bezustannie utkwionych w nim oczach matki. Wierzył jej, jak wierzymy ukochanej osobie, gdy tłumaczy nam, kim jesteśmy — bo słowa najbliższej osoby zawsze są dla nas prawdą. Opowiadał Catherine o swoich mrocznych pragnieniach, które matka dostrzegła, jeszcze zanim je poczuł, dostrzegła w małym dziecku, którego nie chciała brać na ręce.

Opowiadał o śmierci brata, o jego ciele w lodowni czekającym w trumnie, aż ziemia odmarznie, by można je było pogrzebać.

Opowiadał o kobietach, o Europie, o odwiedzinach w pałacach i burdelach.

Nie szukał wymówek. Ani razu nie pochylił z egzaltacją głowy, nie przerwał opowiadania, by poszukać jej życzliwości lub współczucia, ona zaś ani razu nie odwróciła wzroku, nie przeszła się po pokoju, nie zmieniła pozycji na krześle, nie poprosiła o szklankę wody. Słuchała. Streszczał jej całe swoje życie, niewolne od błędów, pokiereszowane na skutek pobłażania i ran zadanych samemu sobie, a jednocześnie życie w jej własnym odczuciu odważne.

Zadawał ból, to prawda. A kto go nie zadaje? Sam jednak też cierpiał. Rachunek był wyrównany.

Opowiadał o miłości, która uderzyła w niego jak grom z jasnego nieba. O kremowej cerze Emilii, o kwiatach wplecionych w jej włosy, o perłach rozświetlających jej skórę różanym blaskiem, o tym, jak się rumieniła, gdy mówił swoim żalonym włoskim.

Powiedział, że z miłości do niej zignorował listy i depesze ojca, nie był przy

jego śmierci, a powróciwszy do domu, mógł już tylko klęknąć przy ojcowskim grobie, na zimnie, z ciężarną żoną u boku. Opowiadał o wszystkim. Nigdy przedtem nie mówił o tym nikomu, dopiero teraz Catherine, ponieważ mieli się pobrać. Czuł, że jest jej winien przynajmniej jakiś zarys przeszłości. Nie użalał się nad sobą. Nie oskarżał innych ani siebie, ale też nie uchylał się od odpowiedzialności. Opisywał woń jaśminu w powietrzu, szelest jedwabiu we florenckim *palazzo*, kurz unoszący się wokół starych, zniszczonych kotar, robił to jednak bez poetyzowania, a Catherine przyjmowała tę wiedzę, jakby pochodziła z biblioteki.

- Nie byłem dobrym synem. Żyłem bezmyślnie i marnotrawnie, w sposób, jakiego nie potrafię dzisiaj pojąć. Nie byłem też dobrym mężem i ojcem, chociaż się starałem.

W jego szczerych wyznaniach było coś, co sprawiało, że pragnęła uciec. Nie chciała znać tej historii, nie chciała poznać jej zakończenia. Opowiadając, stawał się zbyt rzeczywisty. Nie chciała postrzegać go jako osoby.

- Zona nienawidziła tego domu. Sama pani rozumie... Przywykła do czegoś innego. Nienawidziła też mojej matki, z wzajemnością, a ponieważ była w ciąży, zbudowałem dla niej drugi dom.

Przez moment błędziła gdzieś myślami, teraz jednak skupiła na nim całą uwagę.

- Długo to trwało. Sprowadzono architekta z Włoch, nie mówił chyba w ogóle po angielsku, za nim zjawił się

cały statek południowców, a później urodziło się dziecko. Franny. Nerwowo poruszył dłońmi. Na chwilę zamilkł. - Francesca. Tak mówiła na nią moja żona. Była piękna jak... Jak woda. Jak mało co na świecie. Wszystkie niemowlęta są takie, oczywiście. Żona zabierała ją co dzień powozem na miejsce, gdzie wznoszono ten... ten pałac, i wszyscy rozmawiali tam po włosku aż do wieczora, a potem Emilia wracała do domu, przynajmniej odrobinę szczęśliwsza, przynajmniej przez jakiś czas.

Wypisywałem czek. Na nieopisane sumy. Pieniądze na schody z marmuru, na porcelanę — musiała pani widzieć niektóre z tych rzeczy - na srebra, na łoża z Włoch należące dawniej do papieża, do jakichś królów, pieniądze na kotary, obrazy. Była szczęśliwa jak mały piesek, który dostał wielką kość.

A potem przenieśliśmy się do nowego domu. Nie wiedziałem, gdzie usiąść. Musiałem zapytać jedną z pokojówek, gdzie jest moja sypialnia. Po przeprowadzce rzadko sypiałem z Emilią. Miała własne pokoje. I tak przez dwa lata.

Franny zapadła na szkarlatynę. Jak to dziecko. Tamtej zimy chorowało wiele dzieci. Pięć dni i było po szkarlatynie, ale także po Franny. Fizycznie wyzdrowiała, umysłowo umarła.

Sprawdziły się moje obawy. Pożądanie jest trucizną, chorobą, która zamordowała mi dziecko. Franny była słodka, prostolinijna, piękna i bezwolna jak woda w jeziorze. Lubiła patrzeć na kolorowe szybki w oknach. Lubiła, gdy krzątały się wokół niej pokojówki i wkładały na nią te cudaczne ubiory. Z Francji

przyjechała krawcowa, która z nami zamieszkała i od wschodu do zachodu słońca szyła stroje dla Emilii i dla mojej dziewczynki.

Po domu zawsze kręcili się cudzoziemcy i Emilia była szczęśliwa. Ani minuty nie spędzała z córką. Czasem sprowadzała ją do salonu, przebraną za królową z bajki, i pokazywała jak małą na łańcuchu.

Catherine widziała samą siebie wędrującą po korytarzach tamtego domu, uśmiechającą się do gości, którzy witają ją ukłonami, do książąt i księżnych, do bogaczy i sławnych aktorek, właścicieli linii kolejowych i koni arabskich trzymany tylko do jazdy wierzchem, tylko dla popisu. Widziała, jak dotyka każdego przedmiotu z niezachwianą pewnością, że to wszystko należy do mej.

Gdzieś w ciemności bezrozumne dziecko, a w świetle delikatne dźwięki muzyki.

- Sprowadziła z Włoch nauczyciela gry na fortepianie, kolejnego Włocha, nawet nie pytałem o jego nazwisko. Nie zorientowałem się, aż było za późno. Mieliśmy drugie dziecko, syna, Andy'ego. Antonia - jak mówiła Emilia. Ciemnooki i ciemnowłose, jak ona, rzecz jasna, jak oni wszyscy. Przypominał egzotycznego ptaka z Amazonii. Chłopiec nie powinien być piękny. Tyle czarnych kędziorów. Śliczny, jeszcze zanim skończył czwarty rok. Spędziliśmy w tamtym domu osiem lat, a ona miała romans, oczywiście. Z nauczycielem gry na fortepianie. Powinienem się był domyślić. Byłem przekonany,

że wiem wszystko, a tego nie wiedziałem. Nie do wiary. Spacery po ogrodzie, rozmowy i szepty, zawsze po włosku, i ten człowiek zasiadający z nami co wieczór do kolacji jak gość. Co tydzień wypisywałem mu czek.

Nie zorientowałem się. Była przecież hrabiną. Widziałem, że jest szczęśliwa, a kosztowało to majątek. Ale moja dziewczuszka, moje słodkie maleństwo, rosła z dnia na dzień, na ślepo wyciągając rączki do światła, szukając drogi.

Odkąd urodził się Andy, żona sypiała osobno, we własnych pokojach. Nie przychodziła do mnie. Nigdy jej nie dotknąłem. Nie kładła się całą noc, grała w karty z głupcami i dziwkami i śmiała się ze mnie. Mijałem ją czasem, idąc na śniadanie, gdy wracała do sypialni, z kieliszkiem szampana w ręce, z papierosem.

Sześć lat to znosiłem. Nigdy jej nie dotknąłem. Wtedy ich zobaczyłem. Moją żonę. Z nauczycielem gry na fortepianie. Wszedłem do jej pokojów. Chciałem o coś zapytać. Nie do wiary. Nawet nie wydawali się zaskoczeni, a nie miałem też wrażenia, że sprawia im to szczególną przyjemność, no, ale zabawiali się tak już długo. Jeszcze zanim urodził się mój syn, wie pani? To była niemal rutyna. Pamiętam, że Włoch wyglądał na tak zadowolonego, jakbym to ja był intruzem, a on znajdował się tam, gdzie powinien, między nogami mojej żony. Wszyscy wiedzieli. Wszyscy oprócz mnie.

Uderzyłem ją, jego prawie zabiłem i wyrzuciłem z domu.

Wypędziłem. Moja dziewczuszka rozłożyła szeroko ręce i patrzyła, jak matka odchodzi. Zwolniłem

służbę - pokojówki, ogrodników, stangretów w płaszczach z galonami. Zatrzymałem Larsenową, która była wtedy młodą dziewczyną. Nie jest taka stara, na jaką pewnie wygląda. W domu niczego nie zmieniałem, nie chciałem, żeby Franny utraciła coś jeszcze, tylko nikt już do nas nie przyjeżdżał, nikogo nie zapraszano.

Znienawidziłem Antonia. Mój syn, a nie mogłem go ścierpieć. Zawsze wolał matkę: widziałem u niego jej twarz, cerę i oczy, przypominał mi o jej intrygach i kłamstwach. To nie w porządku, wiem. Wiem, że nie byłem wobec niego sprawiedliwy. Biłem tego chłopca i wrzeszczałem, aż patrzył na mnie z nienawiścią i nie winię go za to, nie.

Potem moja dziewczuszka umarła. Zapadła na influencę.

Trzymałem ją w ramionach, kiedy konała, a później wyszedłem z domu i zamknąłem za sobą drzwi. Zostawiłem te wszystkie wykwintne śmieci, które ściągałem z całego świata, byle tylko zobaczyć uśmiech na twarzy żony. Nie wróciłem tam nigdy. Ubrania nadal wiszą w szafach. Wziąłem trochę talerzy - widziała je pani - trochę sreber. Drobiazgi. Kosztowne, ale drobiazgi. Oprócz kanapy. Zabawne. Przywykłem do niej, do mebla obitego żółtym jedwabiem. Przywykłem do ciężaru srebrnego widelca w dłoni.

Nie miałem dokąd iść. Przyszedłem tutaj. Matka tylko spojrzała na mnie i wyjechała do Kansas, do siostry. Nie zobaczyłem jej nigdy więcej. Zamieszkałem tu i biłem syna do krwi. Gdy tylko trochę podrosł, uciekł z domu. Pamiętam, jak siedział w tym pokoju, piękny,

już czternastoletni, i grał na pianinie włoskie melodie, które - jak wiedział - doprowadzały mnie do szału. Powiedziałem mu, że matka nie żyje, że spłonęła w pożarze w Chicago. To kłamstwo, ale tak mu powiedziałem, i dodałem, że się cieszę, że na wieść o jej śmierci oddycham swobodnie po raz pierwszy od siedmiu lat. Następnego dnia już go nie było.

Spojrzał na Catherine, jakby dopiero teraz zauważył jej obecność. Jakby potrzebował kilku sekund, by przypomnieć sobie, kim jest kobieta naprzeciwko.

- Przepraszam. Nie można przekazać tego delikatnie. Nigdy nikomu się nie zwierzałem, nikomu. Wszyscy wiedzą, ale nie ode mnie. A ja nie zamierzam o tym mówić nigdy więcej.

Patrzyła mu spokojnie w oczy, trzymając dłonie splecione na kolanach. Nieruchomo. Już wcześniej postanowiła, że będzie tak właśnie siedziała - bez względu na to, co usłyszy — do jego ostatniego słowa, później zaś podejmie decyzję. Serce biło jej gwałtownie. Czuła pulsowanie krwi.

Opowieść, o czym dobrze wiedziała, dobiegała końca.

- Szukałem go przez dwanaście lat. Kładłem kwiaty na grobie mojej córki i szukałem syna. I wreszcie go znalazłem.

Mimo woli drgnęła.

- Żyje? Gdzie?

- W Saint Louis. Gra na pianinie w jakimś burdelu. Myśla, że to on. Detektywi, których wynająłem. Myśleli tak również o innych, ale się mylili. Tym razem się nie mylą. I pragnę go odzyskać.

- Dlaczego?

- Bo jest moim synem. Poza nim nie mam nikogo.

- Ale dlaczego sądzi pan, że ten człowiek jest pańskim synem?

- Usłyszałem, jak pani gra tę muzykę, muzykę jego matki. Zawsze wiedziałem, że pewnego dnia zdarzy się coś szczególnego i opowiem tę historię, i wszystko się ułoży. Opowiadając, przywołałam go z powrotem. Nie jestem człowiekiem zabobonnym, ale w to wierzę.

W zimnych dotąd oczach zabłysły łzy. Nie otarł ich, chyba nawet nie zauważył. Drżącymi palcami złapał jakiś pyłek w powietrzu i zacisnął pięść.

- Staralem się żyć przyzwoicie. Okazywać życzliwość bez względu na to, co się we mnie działo, bez względu na to, jak było ciężko. Nie potrafię tego nawet opisać. I zarobiłem dużo pieniędzy. Pieniądze będą mu potrzebne. Mój syn... ma upodobanie do luksusu. Po matce.

Patrzyła na niego. Nie czuła miłości, bo miłości nie znała.

Doznawała jednak czegoś równie jej obcego, czystego pożądania wywołanego być może widokiem jego cierpienia. Widokiem łez w oczach mężczyzny. Trudno mu było mówić o tym wszystkim, a jego nieporadność pobudziła jej ciało.

- Musi pan być zmęczony.

- Nie tak zmęczony, by nie opowiedzieć do końca tego, o czym powinna pani wiedzieć, jeśli zamierza

mnie poślubić. Ocaliła mi pani życie. I zagrała pani tę melodię, ulubioną melodię mojej żony, melodię, którą grywał mój syn.

- To prosty utwór. Uczą go w każdej żeńskiej szkole.

- Nie jestem naiwny. I dość odpychający ze mnie człowiek. Jeśli jedno kłamstwo czyni z nas kłamców, to jestem kłamcą, bo powiedziałem Andy'emu, że jego matka zginęła w pożarze, a nie zginęła, nie wtedy, zmarła kilka lat później. Wyjdzie pani za mnie, przynajmniej taką mam nadzieję, otworzymy tamten dom, wprowadzimy się do niego i wszystko nabierze blasku, i Andy wróci, wróci do własnego domu, do ojca i do drugiej matki, pod każdym względem lepszej od pierwszej, którą widział zawsze w fałszywym świetle.

Nie mogła się powstrzymać.

- Muszę to powiedzieć. Inaczej czułabym się oszustką. Nie kocham pana.

- Wcale tego nie oczekuję.

- Gorzej. Ja nie mogę pana pokochać.

- Nie wymagam tego od pani.

- Skąd pan wie? Skąd pan wie, że... jak on miał na imię?

- Andy. Antonio.

- Skąd pan wie, że on wróci?

Długo patrzył na nią bez słowa. Przez okna wpadało intensywne światło. Czowała zapach prawie gotowego lunchu. Słyszała tykanie zegara. Widziała przed sobą Ralpa Truitta jakby zagubionego w zamieci.

— Bo pojedzie pani do Saint Louis i go sprowadzi. Światło płynące z okien było jaskrawobiałe. Niemal oślepiające.

ROZDZIAŁ ÓSMY

PRAGNAŁ JEJ DOTKNAĆ. Pragnął widzieć zmysłowe znużenie w każdym jej geście. Pragnął wysunąć szpilki z jej włosów w nagrzanym pokoju i zdjąć z niej nieskazitelną koszulę nocną. Pragnął musnąć dłonią jej gładką skórę.

Nie mówił nic. Nic nie robił.

— Czy śnieg pada tu zawsze? Wydaje się, że nigdy nie przestaje.

— Pada często, owszem. Jesteśmy blisko Kanady. No i, oczywiście, woda... chmury gęstnieją, gdy przechodzą nad wodą.

— A czasem jest zupełnie sucho, przez całe dni. — Odwróciła się od stołu, przy którym jedli śniadanie, i światło zmieniło barwę jej cery z różanej na niemal białą. — Można pomyśleć, że to już koniec, a nazajutrz zaczyna się znowu. Po prostu... jest.

— Nie spodziewała się pani? Przecież to północ. Kanada leży po drugiej stronie jeziora.

— Naturalnie...

Każde z nią spotkanie sprawiało, że czuł się jak głupiec, sprawiało, że prostował plecy, przyglądał włosy, a pragnął jedynie widzieć ją nagą na podłodze. Bez brutalności, bez szorstkości, w zachwycie. Pragnął kochać, lecz wiedział, że miłość jest czymś, co zdarza się innym.

— I przestanie kiedyś padać na dobre?

— W kwietniu. W kwietniu albo w maju.

Głupiec. Idiota. Robił wrażenie zimnego, beznamiętnego, zlodowaciałego jak świat dokoła, a pragnął powiedzieć: nieprawda, dałbym wszystko, by widzieć cię wijącą się tu, na podłodze. Wciąż jednak nic nie mówił. Nie wykonał żadnego gestu, który można by interpretować jako przejaw zainteresowania.

Mógł powiedzieć cokolwiek. Ze żal wypalił go doszczętnie, zmieniając jego grzechy w popiół. Ze gdy igła zgrzytała na kości, matka wskazała mu drogę, jedyną drogę do dobroci: cierpienie. Mógł powiedzieć, że żal pozostawił w nim jedynie dobro. Ale nic nie mówił. Co ją obchodził jego żal, jego grzechy? Podróżowała po świecie. Praca misyjna, napisała, i widząc jej powściągliwy sposób bycia, jej pruderyjny spokój, nie miał powodu, by wątpić. Wiele podróżowała. Nasłuchiwała się o grzechu.

— Tak mało mam do roboty. Chciałabym się czymś zająć. Gdy pan chorował, czułam się potrzebna. Czułam, że robię coś ważnego.

Dotknął szkarłatnej blizny na czole.

— Wracam już do zdrowia.

- Mogłabym pomagać w kuchni, ale Larsenowej to się nie podoba. Mogłabym sprzątać. Odwiedzać chorych w domach

pańskich pracowników. Mogłabym jeździć do miasteczka i pomagać panu w kancelarii.

- Zatrudniam do tego ludzi. Proszę po prostu miło spędzać czas. Odpoczywać. Czytać.

- Czytać bardzo lubię.

- No to załatwione. Zamówię, co pani zechce. Przesyłka będzie tu w ciągu dwóch dni. Powieści, gazety. Co pani chce.

- Zrobię listę. Czy mogę?

- Oczywiście.

Czuł dławienie w krtani.

- Nie przyjechała pani z tak daleka, by czuć się u mnie źle.

Miałem nadzieję, mam ją nadal, że będzie pani szczęśliwa. A przynajmniej zadowolona.

- Sprowadził mnie pan z własnych powodów.

- Przyjechała pani jednak.

- I nie żałuję. Nie będę żałować.

Pragnął słyszeć zduszony dźwięk wydobywający się z gardła Catherine, gdy zabraknie jej tchu z pożądania. Pragnął ją osiąść na wszelkie sposoby, jakich odmawiała mu jego zimna i oficjalna żona, osiąść głęboko i prawdziwie, jak w młodości. Pragnął czuć ją w krwiobiegu jak narkotyk, przez cały dzień w biurze czuć rozkoszne pulsowanie krwi.

Pragnął mówić z nią o swoim pożądaniu, o pożądaniu jej, pożądaniu zapierającym dech. Pragnął stanąć przed nią nagi.

Odzywał się rzadko. Nie dotykał jej nigdy, nawet mimochodem. Nie był głupcem. A ona nie była tym, kim się wydawała. Prawda kryła się tuż pod ubraniem.

Dręczyła go samotność. Czasem miał wrażenie, że jakaś złośliwa niewidzialna siła ciągnie go za włosy. Pragnął dotknąć Catherine, a nie dotykał. Ból trawił go niczym gorączka.

Pragnął ją rozebrać. Pragnął rozpiąć długi szereg guzików jej surowej czarnej sukni i zsunąć materiał z szyi, obnażyć białe ramiona. Pragnął upuścić suknię na podłogę, patrzeć, jak rozpościera się wokół jej stóp niczym plama oleju; patrzeć na nią wychodzącą z tej plamy, stojącą przed nim w samej halce, szczupłą kobietę w cienkiej bawełnianej halce, w ciemnych pończochach, pończochach z bawełny, które będzie zwijał cał po calu, aż odsłoni jej piękne nogi. Odwróci ją od siebie, by wyjąć z pętelek perłowe guziki halki, jeden po drugim, i patrzeć, jak lekki materiał, zaledwie muskając biodra, spływa w czarną otchłań u jej stóp. Ujrzy ją wtedy po raz pierwszy, ujrzy ją naga, od tyłu, z kosmykami włosów na karku jarzącymi się jak płomienie świec w ciemnym, zimnym pokoju. Pragnął wędrować językiem wzdłuż linii jej białych pleców, lśniących w świetle księżyca odbitym na śniegu i sączącym się przez kotary, ona zaś nie drgnie, nie poruszy się z własnej woli, więc on chwyci ją za ramiona, obróci ku sobie i pocałuje. Słodycz skóry. Miękki dotyk warg. Chwila, nim wszystko się zacznie. Pożądanie czyste i dobre.

Pocałuje ją lekko, jej sutki musną jego koszulę, a jej wargi - jego wargi, niecałowane od tylu lat, że nie potrafił ich zliczyć.

Językiem dotknie jej języka. Ujmie dłońmi jej twarz i będzie całował delikatnie, tkliwie.

Jak mógł bez tego spędzić życie? Czemu pozwolił, by minęła młodość, a ciało zwiędło, niedotykane, niepodziwiane, niekochane? Tężyzna pomału go opuszczała. Za dziesięć lat będzie stary.

Pragnął wszystkiego. Nie robił nic.

Pewnego wieczoru, tydzień po tym, gdy opowiedział jej historię swojego życia, siedzieli znowu razem przy stole.

- Pomyślałem, że weźmiemy ślub w Święto Dziękczynienia. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

- Nie, to dobry pomysł. Kto przyjdzie?

- A ktoś powinien przyjść?

- Goście. Na pewno ma pan przyjaciół. Chociaż nikogo jeszcze nie poznałam.

- Wydawało się niewłaściwe, aby jeździła pani do miasteczka.

Ludzie i tak plotkują. A pogoda...

- Muszą być jacyś znajomi.

- Może kilku.

- A więc zaprosimy gości? Będzie przyjęcie, może uroczysta kolacja. Wesele.

Kobieta, którą pragnął rozebrać, ujrzyć naga, była obca. Obco brzmiały jej słowa, pytania. Od tak dawna nikt go o nic nie prosił.

- Nie jestem... Nie jestem czysta. Powinien pan to wiedzieć.

Przyglądał się jej w milczeniu.

-Byłam dzieckiem. Znajomy mojego ojca z misji w Afryce przyszedł do mnie którejs nocy i... Nie jestem niewinna. Cięży na mnie grzech cudzołóstwa. Ojciec zabił tego mężczyznę.

Powinien pan wiedzieć.

Poczuł litość. Ujął jej dłoń, tylko na moment.

- Tamto życie minęło. To było dawno temu. Niczym pani nie zawiniła. Proszę więcej o tym nie myśleć.

Wydawała się taka daleka.

- Dla mnie to bez znaczenia. Nikt nie jest czysty. Moja córeczka, Franny, była czysta, ale poza nią nikt.

Mijał ją w korytarzu, siadali razem przy stole, była piękna i nieznajoma. Pragnął zaprowadzić ją do swojej sypialni, do odziedziczonego po ojcu wielkiego łóża z wiśniowego drewna, z masywnym rzeźbionym wezgłowiem i wykrochmaloną, świeżo wyprasowaną pościelą. Pragnął ułożyć ją delikatnie na chłodnej, sterylnej bieli lnianego prześcieradła, takiego, jakie maszyny w jego fabrykach tkwały codziennie od brzasku do zmroku. Pragnął stanąć przed nią i zsunąć szelki, błyskawicznie rozpiąć guziki i paski ubrania. Ciężki srebrny zegarek po ojcu zostawi na nocnym stoliku. Położy się obok niej w jednoczęściowej bieliźnie, pranej przez Larsenową, zmienianej co dnia, zapinanej do szyi.

Wszystkie ubrania miał czyste. Kąpał się codziennie przed świtem, woda była gorąca, powietrze jak w łaźni tureckiej, gęste od kłębow aromatycznej pary. Stanie przed nią i nie będzie myślał o tym, jak silne, prężne

było kiedyś jego ciało. Nie będzie myśleć o tym, jak marnował czas z dziewczynkami.

Wzdychały z zachwytem, widząc go nagiego. Podziwiały siłę i wdzięk jego ciała — siłę i wdzięk, które sam dostrzegał, patrząc na siebie w wysokim lustrze. Chichotały radośnie i mówiły po włosku coś, co ledwie potrafił zrozumieć. Dawno temu.

Patrzył na Catherine. Wyobrażał ją sobie w łóżku. W swoim łóżku.

Pragnął objąć dłońmi jej twarz, aby wreszcie spojrziała na niego. Pragnął spoglądać jej w oczy i dowiedzieć się, kim jest ta kobieta, kim jest naprawdę. Pragnął całować, nie wypuszczając jej z rąk. Pragnął, by odpowiedziała na pocałunek. Pragnął poczuć, jak wsuwa mu dłoń pod bawełnianą koszulę i po raz pierwszy dotyka włosów na jego piersi, dotyka jego skóry. Pragnął, by chciała tego, by się lękała i by uległa.

Jego samotność była jak podskórny ogień. Rozważał niekiedy, czy nie wziąć brzytwy i nie ciąć własnego ciała, skóry, która nie przestawała płonąć.

Wiedział jednak, że to się nie zdarzy, nie zdarzy się jemu. Nigdy.
-Jest coś, czego bym pragnęła.

Patrzyła w ogień. Było to jej pierwsze życzenie.

— Słucham.

— Suknia ślubna. Posłałabym do Chicago po materiał i uszyłabym ją sama. Pragnę też zaręczynowego pierścionka. Prostego, niewymyślnego. Ojciec powtarzał,

że nigdy czegoś takiego nie dostanę, i właśnie dlatego chciałabym go mieć. Nie na przekór ojcu, ale na dowód, że marzenia się spełniają bez względu na to, co mówią nam ludzie.

- Sprowadzę wszystko. Tak jak obiecałem.

- Proszę się nie martwić. Nie oczekuję wiele. Łączy nas umowa, nieprawdaż? Nie dziecinna namiętność. Każde z nas ma swoje powody.

Uśmiechnęła się do niego po raz pierwszy, a ten uśmiech obudził w nim tęsknotę, być może za przeszłością, tęsknotę, która doprowadziła go niemal do łez.

- Zastanawiałam się nad kolorem. Jasnoszary. Jedwab, jeśli...

Mogłabym nosić ją także po ślubie. A później podarować córce, gdybyśmy mieli dzieci.

- Proszę zrobić listę. Kupię wszystko, czegokolwiek pani zapragnie. Jutro zadepeszuję do Chicago.

Myślał o niej stojącej w tym domu w sukni ślubnej, którą sama uszyje. Myślał o grzechach śmiertelnych krążących w jego żyłach. Myślał, że pożądanie w nim zgniło. Myślał, że jego pragnienia ją zniszczą. Myślał, że owszem, będą mieli dziecko i okaże się ono kolejnym potworem.

Nie pragnął kobiety ze zdjęcia schowanego w szufladzie wraz z listem, który Catherine może napisała, a może nie. Pragnął kobiety, którą codziennie mijał w korytarzu, która siedziała naprzeciw niego przy stole, która jadła z taką wytwornością i gracją, odgryzając kęsy lśniącymi drobnymi zębami, która nigdy nie omieszka-

ła zapytać Larsenowej o ten czy inny sos lub potrawę, przez niego potraktowane z całkowitą obojętnością.

Pragnął, by zostawiła ślady zębów na jego plecach, nogach.

Pragnął dławić się jej włosami. Pragnął usłyszeć, że jego dotyk jej nie zabije.

Pragnął rozciąć jej ciało i leżeć w ciepłe jej krwi.

Nie pił alkoholu. Nie palił. Nie jeździł do Chicago - jak wielu uczyniłoby na jego miejscu - by współżyć z kobietami, których nie znał. Tak już kiedyś postępował. Nie miało to żadnego sensu.

W niczym nie pomagało.

Pragnął wreszcie położyć się przy niej nagi, skóra przy skórze, gdy jej dłonie będą unosiły się nad jego ramionami jak białe ptaki w mroźnej nocy, a palce gorączkowo nawlekać niewidoczne igły.

Pragnął wiedzieć, że jego pożądanie jest życiem, czystym, nieukształtowa-nym i nienaruszonym. Życiem równie dobrym jak życie kogokolwiek innego. Czystym jak tylko to możliwe.

To taka prosta rzecz.

W jego marzeniach nigdy nie nadchodził poranek; nie budzili się nigdy, by spojrzeć na siebie nieśmiało lub gorzko w oślepiającym świetle. Jutro nie istniało. Była tylko terażniejszość, jej dłoń pierwszy raz wsuwająca się między jego bieliznę a skórę, on wsuwający się w jej najbardziej intymne miejsca, tak że zespalało ich nie samo pożądanie, lecz niezatarte wspomnienie smaku i woni ciała.

Pamiętał wszystkie kobiety, jakich kiedykolwiek dotykał.

Myślał, że zapomni, podobnie jak zapominał na-

zwiska, stopnie otrzymane na studiach, twarze ludzi, z którymi pił i którym zdradzał sekrety. Sceny z życia erotycznego powracały jednak do niego coraz częściej, powracały imiona, widok jedwabnych sukien, brylantów w uszach, nazwy firm jubilerskich, w których kupował świecidełka dla swoich kochanek.

Leżał nocą w łóżku i widział samego siebie, jak uprawia miłość z lady Lucy, Angielką. Współlokator patrzył na nich z drugiego końca pokoju, zbyt pijany, by się poruszyć lub choćby podniecić. Widział paznokcie Lucy. Czuł jej język na swoich stopach. Widział rozkoszne wygięcie jej ust, gdy wsuwała sobie jego męskość do gardła.

Widział, jak w chicagowskim pokoju hotelowym stoi przy umywalce za rudowłosą Sarah myjącą się pod pachami i w kroczu, jak okrywa pocałunkami jej znużone, chude plecy. Pamiętał wdowę z sąsiedniego stanu, gdzie często bywał w interesach, nieatrakcyjną kobietę, która oddała mu się bez słowa, wygięła namiętnie, rozłożyła nogi i otworzyła przed nim całe ciało. Wsunęła mu język w usta, potem pieściła go wargami, po wszystkim zaś leżeli splątani, a żal po tym, co oboje ofiarowali i utracili, otulał jak kołdra ich stygnący pot. Dygotali w ciemności. Odchodząc, nawet nie życzył jej dobrej nocy, a ona nawet nie uniosła głowy, mocząc łzami wygniecioną poduszkę i swoje potargane włosy. Zostawił u niej czerwony szalik przerzucony przez oparcie zielonego krzesła.

Nigdy po niego nie wrócił. Nigdy więcej nie trafił do jej domu ani też żadne z nich na to nie liczyło. Miłość niewarta choćby szalika. Pamiętał swoje szalone podróże do Chicago po odjeździe Emilii, poszukiwania żony i jej występnego kochanka. Wiedział wtedy, że nie Emilię chce widzieć, nie przyjąłby jej z powrotem, choćby błagała, czołgając się nago po ulicy. Rozglądał się po prostu, naprawdę szukając jednego: szczeliny między jej nogami, czarnych sutek w ciemności. Jej skóry jak oleista ziemia. Mijał Catherine w korytarzu. Obserwował ją z okna na piętrze, gdy wędrowała drogą, grzebiąc patykiem w brudnym śniegu, czasem gniewnie, czasem ze smutną bezradnością dziecka.

- Co pani robi na spacerach?

- Rozglądam się.

- Coś pani zgubiła?

- To nic ważnego. Rozglądam się po prostu.

Kim była? O czym myślała cały dzień, gdy on siedział w biurze, ciemnym biurze w odlewni żeliwa, przemieszczał towary po kraju, drążył ziemię, by wydrzeć jej bogactwa? Dokąd szła, gdy po lunchu wychodziła z domu, o czym wiedział od Larsenowej? Pragnął jej dotykać, zedrzeć z niej ubranie. Zamiast tego przynosił prezenty. Posłał do Chicago po róże, krwistoczerwone róże w wazonach, nazwane na cześć niegdysiejszych sław: francuskich poetów, angielskich książąt. Kwiaty, zmuszone do kwitnienia pod szkłem, nie pachniały.

Posłał po czekoladki, marcepan w kształcie kwiatów i zwierząt, cukierki, w których nie gustowała, ukradkiem podsuwane przez Larsenową lubiącemu słodycze mężowi. Posłał po czepki, których nie miała gdzie nosić. Posłał po pozytywki i błyszczące kolczyki, dla niej zbyt ozdobne. Posłał po powieści, aby mogła czytać o przygodach hulaków o połowę młodszych od niego, o rozpaczach angielskich dziewcząt bląkających się po wrzosowisku w poszukiwaniu zmarłych kochanków. Posłał po ptaszka, który śpiewał jej do snu i któremu pozwalała latać po pokoju, jego sypialni z dzieciństwa.

Nie wypuszczał Catherine poza teren posiadłości. Ani razu nie odwiedziła miasteczka. Dawał jej zamiast tego piękne drobiazgi. Miał upodobanie, długo tłumione, do luksusu, potrafił wybrać wino, broszkę, jedwab. Umiejętność ta jak wspomnienie przechowała się w jego ciele. Przepych. Oszołomienie. Codziennie przyjeżdżał do domu z jakimś kosztownym podarkiem, który przyjmowała nieśmiało, jakby zdziwiona. Brakowało jej miejsca — wiedział - gdzie mogłaby nosić te rzeczy, gdzie mogłaby je trzymać.

Właśnie tak jej dotykał. Wszystkie te wstążki, błahostki, kupowane poza sezonem, niedostępne, na wyłączność bogatych dekadentów, trafiały codziennie w dłonie Catherine.

— Och — mówiła bez tchu. — Och, proszę pana, jakie to piękne. Czuł, jak prostota jego życia zanika - był jak alkoholik, od dawna trzeźwy, który za chwilę znów napije się brandy.

Miłość prowadziła do szaleństwa. Widział to codziennie. Co tydzień czytał o tym w gazetach. O płonących domach, o zażywanym arszeniku, o dzieciach topionych w studni, by

utrzymać ich imiona w tajemnicy, by utrzymać ojców z dala od nich, by utrzymać je z dala od wiedzy o szaleństwie miłości. By odesłać je do Boga, do domu. Wieczorami, po kolacji, czytał prasę Catherine, a ona układała historie o tych smutnych kobietach i obłąkanych mężczyznach. Powtarzała głośno ich imiona, raz po raz, aż i one stawały się rodzajem obłąkania.

- Dlaczego to robią, jak pan sądzi? Co ich tak przygnębia?

- Długie zimy. Religia.

- Więc nam też się to zdarzy? -Nie.

Chciała pojechać do miasteczka, oczywiście, każdy chciałby na jej miejscu. Pochodzić po ulicach, zobaczyć zwyczajną kobietę, która za tydzień może utopi swoje dzieci, zobaczyć znużonego rolnika, który może zatłucze w nocy czterdzieści sztuk bydła we własnej zagrodzie. Nie wypuszczał jej poza teren posiadłości, choć wszyscy już wiedzieli, że zamieszkała u niego. „Nareszcie” — mówili.

Jeśli miłość prowadzi do szaleństwa, to czym się skończy jej brak? „Albo raczej czym się skończył - my-

ślał Ralph Truitt — bo mnie brak miłości już ukształtował". Catherine opowiadała swoje wymyślone historie, a jego dłoń wędrowała do kieszeni spodni. Wciąż jednak jej nie dotykał. Odsuwał pożądanie, jakie czuł wobec niej, jakie czuł wobec każdej kobiety, uciekał od cielesności. Trzymał się na dystans. Nie wiedział, jak kochać ani jak pożądać prawdziwie. Odwykł od romansów.

Ale gdy leżał w łóżku, w czystej pościeli pachnącej zimowymi nocami, myślał o niej, odległej o kilka jardów. Wyobrażał sobie ukryte partie jej ciała — jak na pornograficznych rycinach. Nie dotykał się. Byłoby to nie do zniesienia. Dojrzały mężczyzna, mężczyzna niemal w podeszłym wieku, niedorzeczność, i to przy kobiecie znajdującej się tak blisko.

Jego grzechy nie polegały na akrobatycznych wizjach penetracji i upokorzeń. Jego perwersją było milczenie. Milczenie i dystans. Leżał, wyprostowany i trzeźwy, i myślał o lady Lucy Berridge przed trzydziestu laty we Florencji, o jej arystokratycznych kaprysach i podnietach. Prędzej czy później twarz Lucy, Serafiny lub nawet Emilii zmieniała się w ciemności w twarz Catherine. Catherine, która śmiała się z niego.

Rozważał w ciemności, czy ona z kolei myśli o nim, znajdującym się tak blisko, tak bogatym i wspaniałomyślnym, nieskazitelnym i troskliwym. Ale nie, nie myślała. Myśli miała zaprzątnięte kimś zupełnie innym.

Leżała w swojej prostej koszuli nocnej, z oczami utkwionymi w jasnym księżycu i w płatkach śniegu, i marzyła o papierosach. Marzyła o papierosach i o ciele bezużytecznego mężczyzny leżącego obok jakiejś innej kobiety w innym łóżku, w wymiętej pościeli, w podłym mieście odległym o dziesiątki mil.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

DAŁ JEJ PIERŚCIONEK Z BRYLANTEM, dużym i Żółtym w otoczeniu mniejszych brylantów, podobny do skrzącej się margerytki. Pocałował ją w rękę.

Dał jej krzyżyk ze złota na delikatnym złotym łańcuszku.

Odsunął kosmyki jej włosów i zapiął łańcuszek na karku.

Myślała o swoich żalonych świecidełkach pogrzebanych pod śniegiem, o swoim bilecie do wolności, teraz tak nieważnym.

„Mężczyźni dają nam to, co dają - myślała, patrząc na biały bezkres za oknem - gdy wiedzą, że nie mogą dać nam tego, czego pragniemy”.

A pragnęła, oczywiście, natychmiastowego ślubu z Ralphem Truitem, poprzedzającego jego bezbolesną śmierć. Pragnęła zarówno miłości, jak i pieniędzy, jedno i drugie zaś mogła mieć tylko dzięki Ralphowi, a ściślej, po nim. Pragnęła władzy nad własnym życiem,

odzyskania błahych klejnocików, czegoś, co należało do niej, odbłasku przeszłości, przespania się znowu z niewiernym kochankiem. Spędziła lata pośród zepsucia, nikczemności i żądz. W głębi serca pragnęła, ku swojemu zaskoczeniu, wiosny tak bujnej i zmysłowej, jak beznamiętna i blada była zima. Światło drażniło jej oczy i wywoływało straszny ból głowy, przez który cierpiała całymi dniami. Oczy miała piękne, po ojcu.

— Potrzebne mi ciemne okulary. Przeciwno słońcu.

— Czy to nie trochę dziwaczne?

— Światło mnie razi.

— Proszę nie patrzeć przez okna.

— Nie mam przecież innego zajęcia.

Przywiózł przydymione szkła, a ona nosiła je po domu. Jak niewidoma wpatrywała się w biel. Widziała króliki zamarznęte w śniegu. Wrony zlatujące do padliny. Larsena, który ją obserwował. W okularach dostrzegała więcej szczegółów, a dzięki ciemnym szkłom nie można było zauważyć błysku w jej oczach.

Z Chicago dotarła zamówiona przesyłka. Dwanaście jardów surowego jedwabiu w gołębiej barwie i wykrój z papieru. Ralph dał jej również ów kunsztowny brylantowy pierścionek i krzyżyk, niebędące - jak zapewniał - własnością jego pierwszej żony. A poza tym pozwolił jej zobaczyć tamten dom. Prawdziwy dom.

Oczywiście wcześniej dostawała wiele prezentów. Jarmarczną biżuterię, świecidełka, które przynosili chłopcy, nawet gdy wiedzieli, że będą jej towarzyszyć

nie dalej niż do bram wesołego miasteczka. Ale to było coś innego. Właściwie nie prezent, bo Ralph jedynie pokazał jej pałac, aby zrozumiała, że istotnie znajdzie tu dom, gdy zrobi to, o co prosił: poślubi go i sprowadzi zaginionego syna.

„A jednak jest to prezent” - myślała, patrząc, jak budynek wynurza się z monotonnego pejzażu, jak nabiera kształtów. Ralph odsłaniał przed nią swoją największą nadzieję, szaleństwo i porażkę. Wzniósł ten dom, wierząc, że robi to dla miłości, lecz zawiódł się gorzko, okrył się wstydem, doznał upokorzenia. A jednak przywiózł Catherine tutaj, wiedząc, że równocześnie się przed nią odsłania. Był to prezent, którego nie dostała dotąd od nikogo.

Przecięli pole, las i wjechali na długie zbocze. Dom był wspaniały. Mocny, złocisty, masywny i piękny. I Cathrine nigdy przedtem nie widziała czegoś podobnego, tak samotnego pośród rozległych pustkowi, tak królewskiego w pospolitym krajobrazie. Z trudem zachowywała spokój, siedziała z dłońmi złożonymi na ciężkim wełnianym pledzie, czekała, aż koń się zatrzyma, a ona będzie mogła opuścić sanie. Czuła zachwyt, po raz pierwszy od lat.

Wspięli się po szerokich schodach prowadzących do potężnych podwójnych drzwi. Truitt wskazał jej malowidło, przedstawiające - jak się domyśliła - posiadłość w lecie, pośród sadów, ogrodów, sadzawek i wielkich trawników opadających ku stawowi i rzece.

Drzwi, niezamknięte na klucz, otworzyły się gładko i weszli do ogromnego hallu. Catherine nie zdołała stłumić okrzyku. Hall był prawdziwym cudem mimo swoich rozmiarów. Freski na sklepieniu ukazywały śliczne skrzydlate dzieci z kwiatami we włosach. Mrok rozpraszały dwa żyrandole z barwionego szkła, zawieszane na sznurach z żółtego aksamitu, a każdy pryzmat był innym klejnotem, każdy promień - innym stonowanym kolorem. „To wyrób z Wenecji” - wyjaśnił Truitt. Opuszczono je i zapalono specjalnie dla niej, rozświetlono na ich przybycie: kwiaty z kryształu unoszące się w powietrzu.

Ściany były pokryte różowym jedwabiem. Z góry spoglądały na nich portrety. Na marmurowej posadzce leżały wzorzyste dywany. Kanapy miały pozłacane oparcia. Niegdyś po tej podłodze chodziły hrabiny. Na tych kanapach książęta czytali wiersze. Hall tonął w świetle sączącym się ze strzelistych okien. Truitt oprowadzał ją po wnętrzach z niezmiennym, niespiesznym brakiem zainteresowania. Sala balowa, pokój muzyczny, biblioteka, jadalnia, gdzie do stołu mogło zasiąść trzydzieści osób, oranżeria, niegdyś chroniąca egzotyczne rośliny: orchidee i palmy. Salony w przeróżnych kolorach, pełne stylowych mebli: salon bladeżółty jak masło, turkusowy, zielony, salon z namalowanymi winoroślami i kwiatami wspinającymi się po kratownicy. Wszystkie okna wychodziły na tę samą bezkresną biel, a wewnątrz było złociście i ciepło.

- Dom zawsze jest ogrzewany. Larsenowa go sprząta. Nie byłem tu od lat.

Truitt wydawał się obojętny. Był tylko przewodnikiem, przystawał przy tym czy innym obrazie lub meblu, przedmiotach, które mimo wszystko wciąż miały dla niego znaczenie.

Na piętrze dziewięć przestronnych sypialni, każda innej barwy, każda zbytkowna ponad wyobrażenie. Na łóżach pod baldachimami ciężkimi od fałd i kokard idealnie wygładzona pościel jakby czekała na przybycie gości.

-To jej pokój.

Okazały szafirowy buduar z dołączoną bawialnią i garderobą. Grzebień i szczotka Emilii wciąż leżały na toalecie obok flakonika z kryształu pełnego bursztynowych perfum.

- A to pokój Franny.

Zatrzymał się w progu. Patrzyli z daleka na łóżeczko godne księżniczki, na dziecięce meble, na zasłony z wesołym wzorem. Przy jednym z wysokich okien stał konik na biegunach.

- Huśtała się na nim godzinami. W przód i w tył, w przód i w tył, roześmiana. Boże, jaka była cudowna. - Tylko zachrypnięty głos zdradzał emocje Truitta. - Umarła w tym łóżeczku. Siedziałem przy niej dniem i nocą.

Miało się wrażenie, że dziewczynka za moment wbiegnie do pokoju i chwyci jedną z lalek ułożonych

na łóżku, lalek z utrwalonym na twarzyczkach wyrazem naiwnego szczęścia. Catherine wzięłaby którąś do ręki, nie weszła jednak do środka, nie mogła. Z nadal wyczuwalnym zapachem dziecka mieszała się tu ostra woń śmierci i żałoby, tak dobrze jej znana. Koniec dzieciństwa. Kres niewinności.

Obejrzeni wszystko. Sypialnię Antonia, pokoje gościnne, część wydzieloną dla służby, kuchnię z dziesiątkami miedzianych rondli lśniących na kamiennych ścianach.

Na tyłach domu był ogród widoczny z okna pokoju Emilii i z korytarza.

— Jej tajemny ogród, *giardino segreto*. Nonsens. Zamierzała hodować kwiaty. Róże i tym podobne. Powtarzała, że we Włoszech taki ogród jest przy każdym domu. Sprowadziła stamtąd ogrodników. Kazała sadzić drzewa splatające się gałęziami, białe kwiaty, które nocą pachną jak perfumy. Pod dachem, o tam, rosły cytryny i pomarańcze. Tyle że nic z tego nie wyszło. Lato trwa tutaj za krótko i nie mogła uprawiać ogrodu jak należy. Orodnicy do niczego, przyzwyczajeni do innego klimatu. Drzewka cytrynowe uschły, kwiaty nigdy się nie rozwinęły. Posłała po rośliny z cieplarni i zasadziła w ziemi, w której przemarzły. Włosi na nic się zdali. Ot, taka idea. Nic z niej nie wyszło.

Gdy zobaczyli wszystko (Catherine nadal udawała powściągliwość i obojętność), wrócili do domu. Tego zwykłego, nijakiego, z porozrzucanymi tu i ówdzie okruchami fantastycznego imperium.

Nie mogła przestać myśleć o tamtym miejscu. Widziała się, przemierzając przestronne korytarze, zstępującą po marmurowych schodach w sukni z jedwabiu i koronek. Widziała siebie jako panią domu.

Zaczęła tam zaglądać co kilka dni. Gdy Larsenowa jechała posprzątać, a Truitt zajmował się interesami, przesiadywała w pokojach, grała na niestrojonym od dawna fortepianie w sali balowej, zaglądała do szuflad i szaf. Całymi popołudniami wpatrywała się w ogrodzoną biel tajemnego ogrodu i wyobrażała go sobie w sierpniowym słońcu, pełnego aromatu cytryn i lilii. Miejsce na ukradkowe szepty kochanków. Miejsce w świetle, ale poza światem. Jak serce.

Tak jak powiedział Truitt, wszystko pozostało nietknięte. W pokoju Franceski otworzyła szafę, by zobaczyć sukienki.

Dotknęła jednej z nich i poczuła w dłoniach szeleszczący jedwab.

- Matka kazała uszyć dla niej kopie wszystkich swoich strojów. I maleńkie kopie - dla lalek. Wydają się teraz staroświeckie, ale wciąż można poznać podobieństwo. Głupota! - Larsenowa była oburzona. - Proszę spojrzeć. Czy to są ubrania dla dziecka? Dla dziecka, które nie potrafi samo się ubrać, samo jeść ani robić niczego poza patrzeniem wokół z uśmiechem? Niech pani spojrzysz na to.

Zdjęła z wieszaka białą koszulkę nocną, prostą i ujmującą. Z przodu wyszyto słowa w obcym języku.

- Nie potrafiła nawet odmówić pacierza. Więc matka kazała to uszyć i wyhaftować modlitwę po włosku.

„Będzie spała sobie z Bogiem”. Właśnie tak powiedziała. Franny była dla niej jak lalka, jak bezmyślna lalka. A ona miała uczucia. Kochała swojego konika na biegunach, kochała piosenki, kochała być przytulana. Nie miała rozumu, jaki Bóg daje małemu dziecku, ale była osobą. Panu pękło serce, kiedy umarła. Pękło mu serce, kiedy żyła. Jakby to była jego wina.

- Z pewnością niczym nie zawinił.

- Wszystko przez tę kobietę. Gdybym była na jego miejscu, wyrzuciłabym te suknie i zrobiła z nich ognisko. Nic nie zmieni tego, że Franny nie żyje. Wszyscy oni już nie żyją.

— Oprócz syna.

— Moim zdaniem Antonio też umarł. Nie żyje lub jest nic niewart jak jego matka. Całe te poszukiwania nie mają sensu.

Catherine nie wspominała Truittowi o swoich wizytach w tamtym domu. Nie powiedziała mu, że nosi perły jego żony, jej diademy wysadzone brylantami. Nie powiedziała, że przymierza staroświeckie suknie, chociaż są na nią za małe, i przechadza się po pokrytych dywanami posadzkach pośród upajającego szmeru jedwabnych falban. Nie powiedziała, że popołudnia spędza w bibliotece, nad romansami, dramataми i poezją. Larsenowa zapewne dochowywała sekretu, bo życie toczyło się jak przedtem. Bo pragnęła szczęścia Truitta.

Jadali razem obiady. Czytał jej doniesienia o obłędzie i o zbrodniach popełnionych przez znanych mu ludzi. Ona czytała wiersze jego ulubionego Walta Whitmana,

chyba jedyne go poety, jakiego znał, rozciągała przed nim Whitmanowską panoramę Ameryki, rozległą, pulsującą, pełną nadziei i rozpacz, Whitmanowską. namiętność do wszystkiego, co żyje.

„Nie traćcie otuchy - czytała - uczucie rozwiąże kwestię wolności. Ci, co miłują się wzajem, staną się niezwyciężeni”.

Nie kochała Truitta. Co wieczór wyjmowała niebieską fiolkę z walizki i trzymając ją w palcach, podsycala w sobie gniew. Z niej czerpała siłę, wytrwałość: fiolka była rozwiązaniem, jedynym, najprostszym. Dom będzie należeć do niej. Jej będą perły, książki i obrazy, wschodnie dywany, a także sam Truitt. Nie będzie jednak uczucia, wspólnego podążania ku starości. Jedna kropla.

Dwie krople. Oto przyszłość.

Przechadzała się po pokojach, po tajemnym ogrodzie, brodząc po kolana w śniegu pomiędzy zaspami sięgającymi ponad jej głowę, podczas gdy Larsenowa szorowała miedziane rondle i wytrzepywała kurz z ciężkich brokatowych kotar. Catherine nie zapomniała ani na moment. Ani na moment nie słabł jej gniew. Niebieska fiolka była jej obroną, furtką do przepychu, do sennej wspaniałości tego domu.

Szyła suknię z jasnoszarego jedwabiu, wzorując się na skromnym wykroju z poradnika dla pań. Patrząc w lustro, czuła się śmiesznie, jakby nie pamiętała, dlaczego tak się stroi. Dni mijały niespiesznie jeden za drugim. Śnieg nie przestawał padać.

Ślubu udzielił im sędzia w salonie starego domu. W kominku płonął ogień. Przejaśniło się nieco i na podwórzu czekały powozy. Dwie pary małżeńskie patrzyły w milczeniu, jak wypowiadają słowa przysięgi, i podpisami w księdze poświadczają prawomocność związku. Odjechały po wspólnym lunchu. Równie dobrze świadkami mogli być obcy ludzie. Ralph Truitt nawet na nią nie spojrział. Była tylko pierwszym krokiem do celu, sama w sobie nieważna, bez znaczenia. Jej wygląd mógł być zaletą, ale i przeszkodą. Chciał przede wszystkim odzyskać syna.

Popołudnie ciągnęło się w nieskończoność. Nie rozmawiali. Czuli się niezręcznie. Catherine próbowała grać na pianinie, lecz ze znużenia ledwie poruszała palcami. Od czasu do czasu zerknęła na żółty brylant, swój pierwszy łup. Ralph czytał przy kominku, skrepowany ślubnym garniturem. W domu panował chłód. Promienie słońca odbijały się od śniegu. W zapadającym zmroku patrzyli na pejzaż za oknem. Zaledwie spróbowali kolacji, podanej przez milczącą Larsenową. Potem poszli do sypialni. — Będziesz musiał mi pomóc. Nie jestem...

Nie słyszał, nie mógł usłyszeć. Leżała zupełnie nieruchomo w łóżu jego ojca, a on w nią wszedł i niemal wierzył w jej niewinność.

Była teraz jego. Cesarstwo zapachów, gładkich powierzchni, cichych dźwięków.

Była jego żoną. Dotykał jej dłońmi, językiem, a ona poruszała się pod nim delikatna jak woda, ciepła jak ką-

piel. Gdy po raz pierwszy musnął jej nagą skórę, wstrzymał oddech, zdumiony tym wszystkim, co tak dobrze pamiętał, a czego odmawiał sobie od lat.

W każdym momencie pytał, czy może posunąć się dalej, a ona szeptała: „Tak”. Zapomniał, naprawdę zapomniał o sile i kunszcie własnej namiętności, która ogarnęła go teraz łagodnie i ciepło.

Catherine walczyła z własnym pożądaniem. Pamiętała o odgrywanej roli i grała ją dobrze. Umiała być kobietą, jakiej pragnie mężczyzna, Ralph zaś - wiedziała - pragnął zacząć na nowo, pragnął kobiety naiwnej, nieśmiałej, odwzajemniającej się pomalutku i dyskretnie, wcieliła się więc w nią umiejętnie, tak umiejętnie, że uwierzyła we własne kłamstwo. Nie był pierwszym mężczyzną, dla którego ważne były przede wszystkim własne wyobrażenia. Stała się tym, czego pragnął, i zaskoczona odkryła, że w jakimś sensie ona pragnie tego samego. Podniecało ją jego wyrafinowanie. Chociaż opowiadał o swoich przygodach w młodości, spodziewała się nudy. Tymczasem tekstury jego ciała były bogate, urozmaicone.

Rozumiała, że Ralpha pociąga jej udawana prostota. Dzięki niej miał wrażenie, że wraca do niego młodość, cała słodycz i urok ślepego uczucia.

Dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Był bardziej namiętny i łagodny, niż się spodziewała, i poczuła nagle, że traci oparcie, traci orientację w ciemności pod jego dotykiem. Musiała pamiętać. Zmagała się z niepamięcią.

Zmagala się z pragnieniem, by ująć go za rękę i całować wewnątrz dłoni, by językiem wędrować po jego ciele.

Kochali się co noc. Już nie wyjmowała niebieskiej fiolki z walizki, by trzymać ją w palcach, by patrzeć na płyn połyskujący w kobaltowym szkle. Nie, nie zapomniła. Zwlekała.

Dni dłużyły się w nieskończoność, obiady były torturą dobrych manier i tłumionego apetytu. Larsenowa unikała ich wzroku. Po posiłku udawali się na górę. Przychodziła ze swojej sypialni naga i kładła się w łóżu jego ojca. Co noc tworzyli ruch i pragnienie z niczego - niczego oprócz potrzeb ciała. Szukał warg Catherine, całował, aż nie pamiętała własnego imienia, lub po pocałunku zasypiał z głową na jej ramieniu.

Już nie mówił o swoich smutkach. W ogóle rzadko mówił, jakby nie potrzebowali rozmowy. Próbowala opowiedzieć mu zmyśloną historię własnego dzieciństwa. Próbowala opisać grozę molestowania, szczegóły życia misyjnego na różnych kontynentach — szczegóły wyczytane w bibliotece. Współczuł, lecz kładł łagodnie dłoń na jej ustach.

Pragnął dziecka. Wnuków, które huśtałyby na kolanie.

Powoli, dzięki niedostrzegalnym manipulacjom, zyskala głębszą znajomość jego upodobań. Czasem w nocy, gdy spał, a ona patrzyła w ciemność, zastanawiała się, czy nie zdobyła już tego, co zamierzała zdobyć: miłości i majątku mężczyzny, który nie wyrzuci jej krzywdy. Mężczyzny, w którym nie umiała znaleźć nic do wyśmiania.

Najwyraźniej ją kochał. A jeśli nie kochał, był nią oczarowany. Nie odmówiłby jej niczego. Catherine dostrzegała w sobie wahanie, jakby otwierał się przed nią nowy pejzaż. Niebieska fiolka nadal spoczywała w walizce, a ona nieraz pragnęła usunąć ją z pamięci.

Jeździła do miasteczka. Było ono podobne do innych: kawałek niebrukowanej drogi pomiędzy sklepami z pasmanterią i towarami żelaznymi, pomiędzy salonami fryzjerskimi i masarniami. Za brudnymi szybami leżało wyschnięte mięso. Mieszkańcy kłaniali się jej z ciekawością i ledwie skrywanym lekceważeniem. Nie upinała włosów w kok, pozwalała, by wdzięcznie okalały jej twarz. Poznała Swensonów, Carllsonów, Magnusso-nów. Szukała szaleństwa, o którym czytała w gazetach, ale bez skutku. Szukała piękna, lecz znalazła je tylko w dzieciach. Szukała wyrafinowanych rozkoszy, a znalazła mało nawet prostych rozrywek. Nie nudziła się jednak. Nie była niespokojna. Codziennie czekała na nadejście wieczoru. Na powrót Ralpa do domu.

Była olśniona jego nagim ciałem. Oczarowana tym, że kochając się z nią, cały czas gładził dłonią jej policzek, pieszcząc ją, jakby uspokajał dziką klacz.

Zapomnieli o rozmowach. Grała na pianinie jego ulubione melodie, których mógł słuchać bez końca. Czytała mu Whitmana, wiersze o zranionym, płodnym, elektrycznym kraju rozciągającym się przed nimi, o sprężystości pragnienia. Był to zawsze wstęp do tego, co działo się w ciemności, przy świecach, w łóżu jego ojca.

W Nowy Rok wsiadła ponownie — w sukni ślubnej z jasnoszarego jedwabiu i ciemnych okularach — do pociągu. Niebieska fiolka leżała w walizce, przyczajona jak wąż. Zaspy sięgały ramion wysokiego mężczyzny. Ralph Truitt szukał za szybą spojrzenia jej zasłoniętych oczu. Nie machał na pożegnanie, gdy pociąg ruszył z peronu.

Część druga

SAINT LOUIS. ZIMA 1908.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

MIASTO WTARGNĘŁO w NIĄ jak muzyka, jak symfonia. Pociąg zatrzymał się na Union Station, tym olbrzymim, krzykliwym *château*, a ona wyszła z prywatnego wagonu Truitta na największą stację kolejową świata, czując podskórny ogień. Perony pachniały piwem i farbą drukarską, piwem i żelazem. Zbyt dużo czasu spędziła na białych pustkowiach prowincji. Pragnęła teraz przygód, ludzi, potraw i napojów, różnorodności obiecywanej przez duże miasto. Przyjeżdżało się tutaj, by popełniać niegodziwości. Przyjeżdżało się tutaj, by robić rzeczy niemożliwe w domu. Palić papierosy. Uprawiać miłość. Rzucać wyzwanie światu.

Miała jej towarzyszyć Larsenowa, lecz poprzedniego dnia mąż gospodyni dotkliwie poparzył sobie rękę.

Catherine przyjechała do Saint Louis z listem kredytowym dla banku. Czekał na nią apartament w Planter's Hotel: eleganckie pokoje na piątym piętrze, surowa sy-

pialnia i nieduży salon z meblami pokrytymi moherem w ciemnych barwach, z małym kominkiem i aksamitnymi zasłonami ułożonymi w misterne fałdy. Wytworne pokoje. Nie te najbardziej luksusowe - Truitt nigdy nie zarezerwowałby czegoś podobnego — po prostu odpowiednie. Wyobrażała sobie apartamenty na samej górze, z tapetami o wytłaczanym wzorze, z żyrandolami i ogromnymi roślinami w donicach z chińskiej porcelany. Potentaci rolni, magnaci przemysłowi i królowie browarów, majątni mężczyźni, którzy na miejskie kobiety patrzyli w szczególny sposób, pragnęli zakazanych przyjemności i byli skłonni za nie zapłacić. Gdyby chciała, mogłaby przenieść się teraz do tych pokoi z marmurową łazienką i prawdziwymi malowidłami, zamierzała jednak odegrać swoją rolę, i to odegrać ją dobrze, toteż czekała cierpliwie na panów Malloya i Fiska, detektywów z agencji Pinkertona zatrudnionych przez Truitta, by odnaleźli jego rozrzutnego, rozwiązłego, krnąbrnego syna. Poza tym czuła się obserwowana; być może ktoś miał powiadomić Truitta, kim naprawdę jest ta Catherine Land, gdy przebywa z daleka od białych pustkowi. Miała się na baczności, choć nie była pewna, czy rzeczywiście ktoś ją śledzi. Uśmiechnięty dyrektor banku niezwłocznie spełniał wszystkie jej życzenia. Pytał o zdrowie pana Truitta. Proponował herbatę. Nigdy nie poprosiła o sumę, która wzbudziłaby wątpliwości. Pojechała na zakupy, by upodobnić się do dam, które w hotelowym hallu rozmawiały przy podwieczorku cichymi, podobnymi do ptasich gło-

sami. Z pieniędzmi Truitta weszła do salonu Scruggsa, Vandervoorta i Barneya, największego i najwytworniejszego sklepu w Saint Louis, z nowoczesnymi, absurdalnie eleganckimi pasażami. Miała poczucie władzy, jakiego nie zaznała nigdy przedtem. Wystarczyło położyć dłoń z żółtym brylantem na którymś z kontuarów, a już zjawiał się grzeczny subiekt i cała zawartość gablot mogła należeć do niej, wszystko, co przyciągnęło jej wzrok choćby na chwilę. Powstrzymywała jednak zadawniony głód i kupowała tylko rzeczy potrzebne do odegrania tak obcej jej roli.

Zaopatrzyła się w miejskie suknie, małe kapelusiki, wytworne i kosztowne, lecz niewyzywające, a także czarne karakułowe futro z kołnierzem z norek, ekstrawaganckie na prowincji, ale w Saint Louis zupełnie zwyczajne. Na ulicy nosiła rękawiczki z czarnej giemzy, w hotelu - z białej bawełny, jak damy od podwieczorków. Obserwowała kobiety w sali jadalnej i próbowała ubierać się, zachowywać i uśmiechać jak one. Rozsiewając spokój i blask.

W swoich niewyszukanych sukniach i karakułowym futrze spacerowała we wczesnie zapadającym zmroku po Broadwayu pod aureolami lamp gazowych, mijając pośród prószącego śniegu portrety prezydentów. Patrzyła na tramwaje i konie, na wozy załadowane beczkami piwa, automobile tak liczne, że dumny uśmiech Truitta zamarłby mu na ustach. W Saint Louis jej mąż byłby zaledwie jednym z setek podobnych do niego mężczyzn. Bogatych mężczyzn.

Mijała targowiska pełne kolorowych warzyw, sprzedawczynie w chustkach na głowach i w rękawiczkach bez palców, zachwalające towar krzykliwymi głosami o niemieckim lub włoskim akcencie. Handlarkom pomagały dzieci ubrane - w środku zimy - w bawełniane sukienki po starszych siostrach. Szła bez współczucia przez to morze ubóstwa.

Na prowincji było prawdziwe szaleństwo: pożary i podpalenia, morderstwa i gwałty, niewyobrażalne okrucieństwo popełniane zwykle na krewnych lub znajomych. Tutaj zewsząd dobiegał bezduszny, bezimienny turkot posępnej nowoczesnej maszynierii, trybów i kół zębatych, zimnego żelaza z odlewni Truitta. Bieda i ciemnota. Dzieciom dawała drobniaki. Na matki nie mogła patrzeć.

Spacerowała pośród budynków i pomników wzniesionych z okazji Wystawy Światowej. Była w muzeum. Oglądała japońską ekspozycję pełną delikatnych bibelotów, kimon podobnych do haftowanych szlafroków, ciężkich i bogato zdobionych.

Poszła do Odeonu na koncert, siedziała samotnie w łoży i nie przykuwała niczyjej uwagi. Nie знаła kompozytorów, po prostu cieszyła się powagą dźwięku. Cieszyła się spoglądaniem z góry na widzów. Nie miała na sobie biżuterii, nie miała wachlarza. Nie czyniła niczego, by wzbudzić zainteresowanie.

Spacerowała wieczorami po mieście, słyszała muzykę dobiegającą z piwiarni, gdy otwierały się drzwi, swawolne walce i polki grane na rozklekotanych pianinach, widziała roześmianych mężczyzn i kobiety — spieszących na zabawę, wracających z zabawy. Nie zaglądała do środka. Nie planowała

kupna innych sukien, bardziej krzykliwych i wulgarnych, nie chciała dołączyć do wesołych tłumów, do roześmianych kobiet. Brakowało jej zgubionych świecidełek, które mogłaby tu nosić — na szyi, na nadgarstkach, w uszach. Skropiłaby się wówczas perfumami, napełniła ich wonią powietrze. Wyobrażała sobie smak piwa, lecz odkryła, że wcale za nim nie tęskni. Myślała o papierosach, lecz ta myśl wydawała się obca, pozbawiona powabu. Wyobrażała sobie spojrzenia spod przymkniętych powiek w barze, słuchanie podrzędnego murzyńskiego muzyka śpiewającego sprośne piosenki przy akompaniamencie pianina. Chodziła ulicami tak dyskretnie jak każda majątna mężatka i radowała się swoją niewidzialnością.

Jadła w hotelu, z wdziękiem znosząc samotność, i czytała Jane Austen, czekając na podanie do stołu. Potrawy nie dorównywały dziełom Larsenowej, były jednak bogate i obfite, przyprawiające o senność i zawrót głowy. Próbowwała ostryg, befsztyków, warzyw i wielkich bladych ryb sprowadzanych z Chicago, a nawet z Nowego Jorku. Zamawiała dania o francuskich nazwach, których nie potrafiła wymówić ani zrozumieć, tak że kelner musiał stać przy niej i cierpliwie tłumaczyć, jak przyrządza się każde z nich.

Rano spędzała całe godziny na toalecie, wybierając suknię i układając fryzurę — nie niepozorną, ale i nie pretensjonalną. Przypominała aktorkę szykującą się do

wyjścia na scenę, żaden szczegół nie uchodził jej uwadze. Nawykła do obserwowania otoczenia i wiernie naśladowała zachowanie innych hotelowych gości. Starannie usuwała włosy ze szczotki. Ścisłym, przyjaznym tonem rozmawiała z pokojówkami, które przychodziły sprzątać pokoje. Myślała też o mężu, o jego prostoduszności i zaufaniu. I - co dziwne - o spędzanych razem nocach. Ciało miał niemłode, lecz o niedających się zapomnieć woniach i teksturach. Potężne, ale niezagrażające. Nigdy nie sprawił jej bólu. Nie wiedziała, czy czuła przyjemność, nie wiedziała, czy potrafi jeszcze odczuwać przyjemność, rozumiała jednak, że dla Truitta te noce były czymś ważnym, wyzwoleniem, otwarciem okna zamkniętego zbyt długo, powrotem do domu. I była zadowolona, że dostarczała rozkoszy - jak zawsze, gdy mogła jej dostarczyć. Wiedziała, jak trudno na tym świecie znaleźć pocieszenie. Truitt był tylko środkiem do osiągnięcia celu, dobrze jednak, że nie okazał się gruby, odpychający, okrutny, despotyczny czy po prostu prymitywny jak niemal wszyscy spotkani przez nią mężczyźni. Nie wiedziała, co powinna do niego czuć ani nawet co powinna zrobić. Ona była jego prawowitą żoną, a on - bardzo bogatym człowiekiem. Znała zakończenie tej opowieści. Truitt w nim nie występował. Coraz gorzej natomiast pamiętała, jak dotrzeć do zakończenia i do swojej nagrody. Czasem zapominała, że ma określony plan, którego szczegóły powinny być dla niej jasne.

Odnosiła wrażenie, że wreszcie żyje jak inni: przechodząc od zdarzenia do zdarzenia jakby w półświadomości, spokojnie. Zdumiewające, jak łatwo przyjęła tę postawę i jaką przyniosło jej to ulgę.

Popołudnia spędzała w miejskiej bibliotece, przy bladym zimowym świetle padającym ukośnie z wysokich okien na długie stoły, przy których mężczyźni i kobiety - mężczyźni na ogół młodzi i przystojni, o lśniących włosach i rumianych policzkach - odpoczywali nad powieściami i prasą albo prowadzili poważne studia, pochłonięci mapami, biografiami i słownikami. Lubiła tych ludzi. Siedziała obok, nieznana im tak, jak oni nie znali siebie nawzajem, i była szczęśliwa.

Czytała o roślinach. O wychwalanej przez Edith Wharton zieleni ogrodów we Włoszech. „Sporo można się nauczyć, oglądając stare włoskie ogrody, a pierwsza nauka jest taka, że jeśli mają one prawdziwie nas inspirować, powinniśmy, wzorując się na nich, przestrzegać ich ducha, me litery”. Czytała o grających fontannach Villa Gamberaia, o wielkiej loggii La Petraia, o rozległych trawnikach Villa Mansi i Villa I Tati, o uliczkach Florencji i Lukki. Czytała o rzeźbach ogrodowych, o grotesce i mitologii.

Wyobrażała sobie ów tajemny ogród, drzewka cytrynowe pod dachem, i widziała, jak zielenią się na nowo, jak napełniają wieczory oszałamiającą wonią, a dni - intensywną barwą owoców i liści. Czytała o ciemermku, który obsypuje się kwiatami wśród późnozimowych śniegów, o naparstnicy i ostróżce, i starej róży bur-

bońskiej. Czytała o heliotropie, szarłacie i lili. Czytała o cieniulubnych funkiach, o wietlicy japońskiej z delikatnymi liśćmi, jakby obramowanymi pociągnięciami pędzla, o obwódkach w kolorze indygo. Wielokrotnie powtarzała ich nazwy, katalogowała: *calendula*, *coleus*, *coreopsis*.

Czytała o przygotowywaniu ogrodu, o trzykrotnym przekopywaniu ziemi, aż stanie się drobna i ziarnista jak piasek, o wzbogacaniu gleby nawozem i mierzwą. Nie było to równie poetyckie jak opis kwiatów, lecz jeszcze bardziej ekscytujące. Fascynowały ją szczegóły.

Była po prostu zwyczajną mężatką czytającą o ogrodnictwie. Czarne giemzowe rękawiczki i torebka leżały przy niej na długim dębowym stole, a światło z wysokich okien i mosiężnych lampek padało na kartki.

Bibliotekarze przynosili jej wielkie atlasy botaniczne z ręcznie malowanymi ilustracjami. Zapamiętywała wszystko: pręciki, słupki, płatki i liście. W głowie powoli kształtowała jej się idea. Idea radosna i prosta: odtworzyć tajemny ogród, patrzeć, jak się rozwija, uczynić go własnym. Uczynić go miejscem, w którym będzie bezpieczna, odgradzona od świata. „*Mój giardino segreto*” — powtarzała raz po raz. Lubiła tajemnice.

Rozgorączkowana, wracała wieczorem do hotelu, leżała na wąskim łóżku w białej pościeli i widziała to wszystko: widziała wyraźnie, co nastąpi, gdy już nauczy się tworzyć ogród nie tylko w wyobraźni. Pokochała coś po raz pierwszy od niepamiętnego czasu. Po raz pierwszy od tamtego dnia w powozie, od przejażdżki z matką

i młodymi żołnierzami, i tęczę. Ujrzała nareszcie złoto obiecane jej dawno temu i zamierzała je zdobyć, cokolwiek się wydarzy. Prawie zapomniała o zapowiedzianych odwiedzinach panów Malloya i Fiska.

I wtedy właśnie przyszli. Pewnego popołudnia, które spędzała w apartamencie, portier przyniósł ich wizytówki. Już po chwili Malloy i Fisk siedzieli w jej niedużym salonie z brązowymi kapeluszami na kolanach. Byli prawie równego wzrostu i wyglądali jak bracia. Fisk był rumiany, Malloy blady, lecz obaj patrzyli przenikliwie niebieskimi oczami i obaj mieli na sobie nijakie brązowe garnitury.

Zaproponowała kawę. Herbatę. Odmówili. Chciała już podać piwo, co chyba przypadłoby im do gustu - w Saint Louis wszyscy bez przerwy je pili - czuła jednak, że byłoby to nie na miejscu i że mogliby przekazać tę informację Truittowi.

Otworzyli identyczne notesy i złożyli drobiazgowe sprawozdanie. Przedstawiał się jako Tony Moretti. Żaloszny pseudonim, bowiem nazwisko kochanka matki brzmiało oczywiście Moretti, a na chrzcie otrzymał imię Antonio. Truitt prawie na pewno nie był jego ojcem. Tony Moretti opowiadał, że jest synem sławnego włoskiego pianisty. Kruczoczarne włosy. Oliwkowa cera. Ponad sześć stóp wzrostu. Rozmiar buta. Ulubiony krój koszuli. Upodobania muzyczne. Fatalna słabość do kobiet - tu prawie zamilkli z zakłopotania. Alkohol. Opium. Rozrzutne wydawanie małych sum, jakie posiadał. Nie przeoczyli niczego.

Grywał na pianinie w teatrzyku rewiiowym odwiedzanym przez kobiety lekkich obyczajów — z półświatka — i nałogowych hazardzistów. Może w jednym z tych teatrzyków, które mijają wieczorami. Wybierał niezbyt ambitną klasykę i popularne melodie, ponadto śpiewał modne sentymentalne piosenki, czasem po włosku - w języku, którego chyba nie znał. Nie śpiewał ponoć dobrze. Nie był Carusem.

Podróżował. Jeździł po kraju, od San Francisco do Nowego Jorku, niekiedy pod zmienionym nazwiskiem, grał na pianinie, marnotrawił noce w burdelach, w palarniach opium. Po jakimś czasie brzydło mu każde miasto, a że i każdemu miastu brzydł w końcu Tony Moretti, ruszał dalej.

Dlatego trudno im było go znaleźć. Dlatego często zatrzymywali niewłaściwą osobę. Za każdym razem słyszeli, że pan Moretti właśnie zwolnił pokój, pozostawiając za sobą jedynie przypominający go cień.

— Jak długo trwały poszukiwania? Jeździli za nim panowie od miasta do miasta?

— Pan Fisk i ja szukaliśmy go tylko przez dwa miesiące i tylko w Saint Louis. Ale poza nami byli też inni agenci.

Agenci, czyli szarzy panowie podobni do Malloya i Fiska.

Odnaleziony w Saint Louis mężczyzna może był, a może nie był tym samym, którego obserwowano wcześniej w San Francisco, Nowym Jorku czy Austin.

— To nie jest porządny człowiek, proszę pani. — Fisk trzymał przed sobą otwarty notes, jakby zapisał w nim

punkty do omówienia, by nie trwonić słów. - Nie ma w nim nic ujmującego, nie jest szczególnie utalentowany, za to leniwy i rozwiązy. Syn z nieprawego łoża.

- Być może mają panowie wysokie wymagania moralne. W dzisiejszym świecie...

- Obawiam się, że nie ma pani racji. - Malloy patrzył na nią z powagą, w której me dostrzegła nawet cienia poczucia humoru. - Jest bezwartościowy. Jak lalka. Jak zabawka.

Starła się zachowywać powściągliwie, nie okazywać zaskoczenia tym katalogiem okropnych zarzutów.

- Jest synem mojego męża.

-Jeśli nim jest, proszę pani. To mało prawdopodobne.

Poczula się, jakby i ona była zhańbiona, brudna. Spojrzała na niego z zamierzoną pogardą. Fisk znowu utkwiał wzrok w notesie.

- Niekiedy, proszę pani - powiedział Malloy po dłuższym milczeniu, ważąc słowa - bardzo nam na czymś zależy, pracujemy ciężko, by uzyskać coś, co uważamy za konieczne do szczęścia. A potem przekonujemy się, że nie było warto się trudzić.

- Mój mąż wyraził jasno swoje życzenie. Chce odzyskać syna.

Czy panowie są pewni, że to ten człowiek?

- Tak - potwierdził Fisk. - A w każdym razie Tony Moretti jest synem żony Ralpha Truitta.

- Chcę go zobaczyć.

- I zobaczy pani. Złożymy mu wizytę.

— Chcę go zobaczyć wcześniej. Przyjrzeć mu się niepostrzeżenie w jakimś lokalu lub na ulicy. Chcę porównać syna z ojcem.

— Teatrzyk rewiowy, w którym gra na pianinie, nie byłby stosowny.

Nie pomyślała o tym.

— Naturalnie.

— Ale jest pewna restauracja... dość przyzwoita. Nie poczułaby się pani zakłopotana. On przychodzi tam wieczorem, przed pracą — jeśli można to nazwać pracą - na ostrygi i szampana. Chyba nic innego nie jada.

— Dobrze.

Panowie Malloy i Fisk czekali, jakby należało jeszcze coś dodać. Salon, w którym się znajdowali, był nieskazitelny. Elegancki, choć nie luksusowy. Pokój, w którym Catherine mogłaby serwować kawę i herbatę, przebierać się do obiadu lub do opery, w którym mogłaby trzymać kanarka, gdyby tutaj mieszkała, lecz nie mieszkała i żaden ptak nie śpiewał.

Panowie Fisk i Malloy czekali.

— Pójdziemy tam jutro wieczorem.

ROZDZIAŁ DRUGI

HIACYNT, SZYBKO PRZEKWITAJĄCY, O wyczuwalnej pieprzowej woni. Żonkil. Dzwonek. Goździk. Czosnek - cebula francuska z fioletowym kwiatem, nadzwyczaj ciężkim. Bez o upajającym zapachu i fiołki, przynoszone dziewczętom przez kawalerów. I zioła ozdobne: rozmaryn, szałwia.

Tulipany, których piękno niegdyś przyprawiało ludzi o szaleństwo, kwiaty delikatne, o krótkim życiu. Czytała o pewnym sułtanie ze Stambułu, który hodował ponad sto tysięcy tulipanów, sprowadzonych jako dary z dzikich stepów Wschodu. Wiosną sułtan zapraszał gości, by pochwalić się swoim ogrodem.

Tulipany - czytała - pachną tylko nocą. Na grzbietach żółwi mocowano świece, zwierzęta chodziły między kwiatami, a dworzanie przechadzali się w klejnotach i olśniewających strojach pośród piękna i subtelnego zapachu, nikłej woni ze Wschodu. W wyobraźni widziała blask szlachetnych kamieni, szaty z cienkiego jedwabiu, słyszała ciche melodyjne głosy, gdy spacerowali pośród migoczących świec, sącząc chłodne soki owocowe z miętą.

Trzeba siedmiu lat, by z nasion rozwinęły się cebulki. Rozważała, czy żółwiom noszącym świece nie działa się żadna krzywda.

Hortensje, hodowane we Włoszech w olbrzymich terakotowych donicach, zmieniające kolor w zależności od składu chemicznego podłoża. Na kwaśnej glebie kwiaty przyjmowały odcień pruskiego błękitu. Z zasadowej wyrastały kwiaty o barwie różowej, bogatej i złożonej jak zachód słońca.

Każdy może zdobywać wiedzę. Czytać. Problem polega na czym innym: jak wiedzę przekuć w czyn. W wyprawę do Afryki, otrucie wroga, założenie ogrodu. Czekała na panów Malloya i Fiska, wypełniała godziny wiedzą, poszerzała horyzonty i doskonaliła plan, choć już nie do końca go rozumiała. Syn. Jego syn. Najwyraźniej potomek ładaczniczy i nauczyciela gry na fortepianie. Truitt — nie wątpiła — wiedział o tym od początku. To niezwykle życzenie, by sprowadzić rzekomego syna do domu i uczynić dziedzicem majątku. A jeśli się ono spełni? Niebieska fiołka spoczywała w ukryciu, migocząc w jej myślach przejrzystym kobaltem. Catherine czekała, aż plan znowu stanie się jasny — jasny i obiecujący.

Włożyła sztywną czarną spódnicę i krótki czarny żakiet.

Przygotowała kapelusz z woalką. Nie było wprawdzie powodu, by się ukrywać, ale potrzebowała jakiegoś muru między sobą a mężczyzną, którego miała zobaczyć. Pełna obaw, była rozdarta między własnymi pragnieniami a marzeniem Truitta, by odtworzyć sen, którego przecież, bez względu na wszystko, nigdy nie

udałoby się scalić na nowo z potrzaskanych kawałków. Przed przybyciem panów Malloya i Fiska wypła szybko sherry, chłonąc z błogością ciepło rozchodzące się po ciele. Poczowała znany, niemal zmysłowy dreszcz i zapragnęła więcej, umyła jednak kieliszek i wypłukała starannie usta, czekając na zachód słońca.

Spóźniali się. Dziwne. Krążyła po pokojach, przymierzała kapelusz, muskała dłońmi swoje wytworne suknie. Zawsze była pewna tego, czego mogła dotknąć - pewna, że z tej strony nie grozi jej zdrada. Czekwała. Poradniki ogrodnicze, dostarczone w brązowym papierze z księgarni, leżały otwarte na stoliku przy oknie. Czerpała otuchę z ich ilustracji, z marzenia o włoskich ogrodach.

Zjawili się o zmroku, zakłopotani i czujni. Włożyła kapelusz i powędrowała ze swoimi dwoma przewodnikami przez Saint Louis do restauracji z wystawionymi w witrynie befsztykami i świeżymi ostrygami, rozjarzonej od wewnątrz ciepłym światłem lamp gazowych, o wysypanej trocinami podłodze, z tęgimi kelnerami w długich fartuchach związanych tasiemkami w pasie. Usiedli i zamówili nieduże steki. Malloy i Fisk zrezygnowali z napojów. Notesy trzymali przed sobą.

Przyszedł o siódmej, machając laską, elegancki, swobodny i pewny siebie. Wydawał się bardzo opanowany, co wywarło na niej ogromne wrażenie. Bez wahania skierował się do jednego ze stolików, a kelnerzy przynieśli mu ostrygi i szampana, gdy tylko usiadł.

Jadł ostrygi ze skupieniem, jakby każda z nich była szczególnym, niepowtarzalnym momentem. Jego wy-

gląd budził rozkosz — nie potrafiła określić tego inaczej. Obserwowała go przez woalkę, patrząc, jak długie czarne włosy opadają mu na kołnierz, gdy odchyła głowę, jak pijąc, przemyka powieki o niewiarygodnie długich, kobiecych rzęsach. Pełnym gracji ruchem odrzucił z oczu niesforny kosmyk. Koszula lśniła pod krawatem z ciemnego jedwabiu; wydawał się artystycznie niedbały, a zarazem staroświecko wytworny. Był przystojny w sposób, jakiego Malloy i Fisk nigdy nie zdołaliby opisać w swoich notesach, przystojny tak, że kobietom trudno było powstrzymać westchnienie. Piękny, ale nie zniewieściały. Jego długie silne ręce unosiły się nad stołem jak wielkie ptaki. Nie przypominał ojca. Lecz oczywiście jego ojcem niemal na pewno nie był Truitt, typowy Amerykanin, przystojny w sposób niewywołujący zdumienia ani lęku, solidny i mocny. Syn był Europejczykiem o orlim nosie, wysokich kościach policzkowych, ciemnym zaroście, lśniących ostrych zębach i przepastnych oczach. Jego szczupła sylwetka zginęłaby w ciele ojca. Oczy miał czarne jak lód na rzece Wisconsin i równie zimne. Sprawiał wrażenie, że żyje wyłącznie dla siebie, dla tego wycinka czasu, w którym je ostrygi i sący szampana, świadomy, że przykuwa wzrok wszystkich kobiet, chłonących każdy szczegół jego twarzy i ciała, tak jak on chłonie alkohol. Mężczyźni spoglądali na niego z pobłażaniem niczym na lalkę. Nie był osobą. Był obiektem podziwu.

Zjadł trzy tuziny ostryg. Gdy skończył, jeden z tęgich kelnerów szepnął mu coś na ucho. Tony Moretti z uśmiechem skinął głową. Wstał leniwie jak kot i podszedł do pianina. Nie odezwał się ani nie odwrócił, po prostu usiadł przy instrumencie i patrzył na klawiaturę. W sali zaległa cisza. Panie odłożyły widelce.

Widziany przez woalkę, wydawał się plamą czerni i bieli, jak fotografia: ziarnisty mrok i jarzące się światło. Wreszcie uniósł ręce i zaczął grać.

Zagrał modną piosenkę, jednak powoli i rzewnie, jakby nie wykonywano jej nigdy przedtem. Dźwięki - tak lekkie i błahe - nabrały znaczenia i głębi, całkowicie nowych, jego własnych.

Była to miniatura, lecz miniatura doskonała, klejnot, miłosna inwencja. Grał tak, jakby można było dotknąć każdej nuty, trzymać ją w dłoni jak rtęć, zarazem uchwytną i nieuchwytną.

Grę nagrodziły brawa, lecz nie podziękował za uznanie. Wziął laskę i wstał od instrumentu, a na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania, ćwiczony zapewne setki razy przed lustrem.

Musnął krawat, spojrzął pod nogi, na podłogę. Nie podnosząc wzroku, ruszył ku drzwiom. Goście restauracji wrócili do swoich potraw, panie rzucały jeszcze znad talerzy zachwycone

spojrzenia. Najwyraźniej nikt nie oczekiwał, że zapłaci rachunek. Jadał na kredyt lub tym krótkim występem uregulował należność.

Gdy doszedł do stolika Catherine, zatrzymał się, przykucnął i szturchnął trociny srebrnym końcem laski.

Wpadła w panikę. Malloy i Fisk z udawaną obojętnością spoglądali w inną stronę, dyskretnie wsunawszy notesy do kieszeni.

- Czy... coś się stało?

Brakowało jej tchu, zdołała jednak przemówić zduszonym, schrypniętym głosem.

- Zgubiłem szpilkę. Do krawata. Szpilkę z brylantem podarowaną mi przez osobę, którą kochałem. Wydawało mi się, że tu właśnie ją widzę. Może zwróciła pani uwagę?

-Nie.

- Trudno, przepadła. Jest pani w żałobie?

Zdumiewała się jego bezczelnością. Nerwowo zerknęła na Malloya i Fiska. Wpatrywali się we własne dłonie.

- Nie. Przeciwnie, niedawno wyszłam za mąż.

- Szczęśliwy związek, mam nadzieję. Wyglądała pani, jakby kogoś straciła, podobnie jak ja straciłem swoją szpilkę. Cieszę się, że byłem w błędzie.

- Przykro mi z powodu pańskiej szpilki.

- To drobiazg. Głupstwo. Dostałem go od pewnej dziewczyny, która nic już dla mnie nie znaczy. Po prostu nie lubię ponosić strat.

Wstał, skłonił się lekko i zniknął za drzwiami. Był jak biała kalia kojarząca się z samotnością i śmiercią.

- Nigdy nie uwierzę, że to syn Ralphi Truitta - powiedziała do Malloya i Fiska.

— No cóż, pan Truitt szuka właśnie jego. To kłamca i hulaka, ale jest synem Ralpa Truitta, a raczej kimś, kogo Truitt nazywa swoim synem. Beznadziejna sprawa. — Fisk spojrział na nią ze smutkiem.

Malloy równie smutno pokiwał głową.

— I nie wróci do domu. Pan Truitt wyrzucił pieniądze w błoto.

— Skąd panowie wiedzą, że nie wróci?

— Musiałyby zrezygnować ze zbyt wielu przyjemności. We wszystkim wdał się w matkę. Wydelikacony. Niemoralny. Pusty. Truittowi się nie spodoba, po pięciu minutach zbrzydnie mu jego towarzystwo. Nie mają sobie nic do powiedzenia, nigdy się nie rozumieją.

— Szczerze mówiąc, proszę pani, on nie spodobałby się nikomu.

— Mimo to... — serce jej waliło, czuła muzykę w żyłach, rozgrzewającą jej krew jak alkohol — ...mojemu mężowi brakuje syna. A my jesteśmy tutaj, by jego marzenie urzeczywistnić. Starala się nie okazywać nadmiernych emocji. Była tylko kobietą, której zlecono przeprowadzenie pewnej skomplikowanej transakcji.

— Zadbamy o to, proszę pani.

— Jak się z nim rozmówimy? Ważne, by go nie przestraszyć.

Musi wysłuchać prośby ojca. Może bardzo na niej skorzystać.

Bardziej, niż wyda mu się na początku.

— Pójdziemy do niego w niedzielę.

ROZDZIAŁ TRZECI

KRAŻYŁA PO POKOJACH. Nie poszła do biblioteki. Zapomniała o ogrodnictwie i manierach. Myślała o Tonym Morettim, wyobrażała sobie jego ciało w łóżku, widziała siebie w łóżku z Tonym Morettim i pożądanie odurzało ją jak opium. Młodszy od niej. Ostatnia przygoda jej własnej młodości. Płoneła na myśl o Tonym Morettim jedzącym ostrygi, o jego przepastnych oczach, długich palcach grających łzawą, trywialną melodię, o jego spojrzeniu, gdy pytał o swoją głupią szpilkę. Próbowwała znaleźć sobie jakieś miejsce, jakąś lekturę, ale czuła się nieswojo, gdziekolwiek usiadła. W restauracji, przy otwartej i zlekceważonej książce, miała wrażenie, że wszyscy na nią patrzą, jakby dostrzegali jej pragnienia. A w pragnieniach leżała naga i wyuzdana przy Tonym Morettim, synu swojego męża. Ujrzawszy go, poczuła zmysłowy puls miasta. Zastanawiała się - o różnych porach dnia i nocy - ilu ludzi w tej chwili uprawia miłość. Kochankowie byli za każ-

dym oknem: biedacy robili to jak zwierzęta, bogacze oddawali się wyrafinowanym perwersjom.

Nie mogła spać. Miała wrażenie, że Truitt ją obserwuje. Ze zawsze wiedział, co nastąpi.

Wreszcie nadeszła niedziela. Była jasna i zimna, zanosilo się na śnieg. Powiedzieli: o drugiej. Do tego czasu muzyk wytrzeźwieje i zapewne pozbędzie się towarzystwa. Była gotowa. Włożyła swoją jasnoszarą suknię ślubną, na palec wsunęła pierścienek zaręczynowy z brylantem, narzuciła niedawno kupione długie futro. Jakby te rzeczy mogły ją chronić. Jakby była matroną wybierającą się z wizytą do dalekiego krewnego.

Panowie Malloy i Fisk prowadzili ją w milczeniu przez lśniąco, śliskie ulice, coraz dalej od hotelu i od nowoczesności, potem przez bardziej pępne okolice, gdzie w niedziele panowała cisza. Oddalali się od eleganckich sklepów, zmierzając ku niskim kamienicom z piaskowca, z wolna popadającym w ruinę, bez podwórzy, nawet bez skrzynek na kwiaty, z obskurnymi gankami. Wyobrażała sobie wnętrza schowane za brudnymi szybami, wnętrza, w jakich sama kiedyś mieszkała, niskie, ciasne, zapuszczone. Meble stare i niewygodne, niezamiecione podłogi, w powietrzu woń smażonej cebuli i tanich cygar, okna zawsze zamknięte, jeden pokój dla matki i ojca, drugi dla dzieci, bez względu na to, ile ich było, i jedna lub dwie pamiątki rodzinne przywiezione z prowincji. Życie smutne i ciężkie, bez miłości, bez czasu poza czasem terażniejszym, którym się nie cieszą, lecz który próbowano przetrzymać. Rytm wy-

znaczało nieprzerwane turkotanie maszyn w fabrykach, noc zaś wypełniały sny o porzuconym miasteczku, o wschodach i zachodach słońca, o zmianach pór roku, o roślinach sadzonych, uprawianych, pielęgnowanych i owocujących.

Po przebudzeniu mieszkańcy tych domów nie pamiętali, o czym śnili, a gdy stali przy swoich turkoczających maszynach, serca bolały ich od nieokreślonej tęsknoty.

Twarze były równie zniszczone jak meble, niekochane i grubo ciosane. Czasem, wieczorami, oczy kobiet robiły się rzewne i matki znajdowały życzliwe słowa dla córek. Ojcowie byli pijani, ponurzy lub jedno i drugie, a niekiedy brutalni, dzieci nierozgarnięte, gnuśne i zaniedbane - z wyjątkiem tych rzadkich chwil, gdy matki potrafiły zapomnieć o trudzie życia. To nie były ulice ambitnej, energicznej, muskularnej Ameryki, lecz ulice ludzi znużonych, zagubionych i brudnych.

Catherine czuła się odległa od nich o mile, gdy tak szła w ciepłym futrze i jasnoszarej jedwabnej sukni, wlokącej się po śniegu, choć unosiła ją dłońmi w giem-zowych rękawiczkach. Na prowincji śnieg był czysty jak świeża pościel. Tu budził wstręt. Mimo wełnianych pończoch marzły jej stopy i nogi. Nie miała z tym światem nic wspólnego. Zawsze była jak kameleon, teraz jednak odnosiła wrażenie, że zmieniła barwę na zawsze i nie potrafi już wrócić do dawnej postaci.

Serce biło jej szybko. Szumiało w uszach. Miała wreszcie stanąć przed Tonym Morettim.

Zagłębili się w jeszcze bardziej przygnębiające zaułki. Nie było tu chodników ani bruku, tylko zabłocone drogi między drewnianymi domkami, na ogół niepomalowanymi, niekiedy bez szyb w oknach, z postrzępionymi, brudnymi zasłonami zwisającymi smętnie w bezlitosnym świetle. Linden Street, ulica, na której powinny rosnać lipy, lecz bez ani jednego drzewa. Malloy i Fisk zerkali na Catherine jakby przepaszająco, lecz patrzyła przed siebie, unikając ich wzroku, zabłąkana we własnej przeszłości. Jej historia odsłaniała się z każdym krokiem. Przystanęli przed jednym z dwupiętrowych domów, pomalowanym na brudnoczerwono, jakby ktoś próbował — dawno temu i bezskutecznie — nadać mu bardziej wyrafinowany wygląd. Malloy zajrzał do notesu.

— Numer osiemnasty. To tutaj.

Poczula chłód i mocniej przycisnęła kołnierz do szyi. Fisk i Malloy wahali się, mimo długich przygotowań niepewni, jak postąpić.

— Panowie, zimno mi, wejdźmy. — Catherine przerwała milczenie. — Jesteśmy na miejscu. Pora rozstrzygnąć sprawę. Nie zwlekajmy dłużej.

Nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Uchyliła je, odsłaniając ciemne wnętrze.

— Drugie piętro, proszę pani. Nie ma tu światła. Przykro mi.

— To nie pana wina.

Poszła za nimi po schodach. Zapukali do jakichś drzwi. Głuchy odgłos rozrywał jej nerw po nerwie, lecz

wreszcie drzwi się otworzyły i stanął przed nimi Antonio Moretti. Wydawał się spustoszony, a jednocześnie niewinny. Bił od niego blask, jak od świętych. Był w czerwonym jedwabnym szlafroku rozchylonym na piersi. To, że nie miał nic pod spodem, najwyraźniej go nie peszyło.

- Proszę pana, jest z nami dama.

- Istotnie. Zawsze zapraszam damy do środka. Malloy wyjął z kieszeni notes, jakby spodziewał się znaleźć w nim wskazówki.

- Przyszliśmy, by zabrać pana do domu. Pański ojciec, Ralph Truitt...

Grymas wzburzenia pojawił się na twarzy chłopaka i zniknął w ułamku sekundy.

- Kto? Nie znam nikogo takiego. Nazywam się Tony Moretti.

- Ralph Truitt z Wisconsin, gdzie się pan urodził. -Może państwo wejda? Mam trochę brandy. Na schodach jest przeciąg.

Nie zamierzali przekraczać progu, lecz jego spojrzenie w jakiś niewytłumaczalny sposób pociągnęło ich naprzód, do salonu.

Pokój był zaskakująco wytworny w tak obskurnym otoczeniu: ze stylowymi francuskimi i włoskimi meblami. Z sufitu, zakrytego pomarańczowym jedwabiem udrapowanym jak namiot, zwieszały się marokańskie latarnie z migoczącymi świecami zapalonymi zapewne jeszcze wieczorem. W głębi widać było pogrążoną w chaosie sypialnię pełną brokatowych draperii, jak pałac porzucony przed rewolucją.

Po salonie poniewierały się ubrania. Beztróska podniósł kilka z nich, jakby robiąc miejsce dla gości. Nikt nie usiadł.

— Jak brzmiało to nazwisko? — zwrócił się z uśmiechem do Catherine.

Brak tchu znowu niemal odebrał jej zdolność mówienia.

— Truitt. Ralph Truitt.

— A pani jest... ?

— Panią Truitt. Żoną.

— Mam nadzieję, że będzie pani szczęśliwa w małżeństwie.

— Dziękuję.

— Nazwisko jest mi zupełnie nieznane. Malloy odchrząknął.

— Chodzi o pańskiego ojca. Moretti parsknął śmiechem.

— Moim ojcem jest Piętro Moretti, a matką jego żona Angelina.

Ojciec grał na akordeonie w Neapolu. Tam się urodziłem. Gdy

skończyłem trzy lata, przenieśliśmy się do włoskiej dzielnicy

Filadelfii. Ojciec został właścicielem restauracji. Mój kuzyn

Vittorio pracuje u niego jako kucharz, świetnie gotuje, swoją

drogą. Tata gra na akordeonie, a mama przyjmuje pieniądze.

— Urodził się pan w Wisconsin — przerwał mu Malloy. —

Pańskim ojcem jest Ralph Truitt.

— A z pana co za jeden? Fisk wysunął się naprzód.

- Zatrudnił nas pański ojciec, byśmy pana znaleźli.
- Śledziliście mnie?
- Przez kilka miesięcy.
- Nie jestem tym zachwycony.

Malloy i Fisk spuścili wzrok. Antonio zwrócił się znowu do Catherine:

- Chodziłem do konserwatorium w Filadelfii. Byłem jednym z tych nieszczęsnych, zasmarkanych, biednych dzieciaków, które dostają szansę edukacji, bo zamożne społeczeństwo odkryło, że to nic nie kosztuje, a lepiej sypia się w nocy. Miałem coś w rodzaju talentu. Od tamtej pory grywam w restauracjach. No, może me każdy nazwałby je restauracjami. Nie jestem wystarczająco uzdolniony, by występować na koncertach, a zbyt uzdolniony, by udzielać lekcji fortepianu. Zresztą nie znoszę dzieci. Wolę towarzystwo dorosłych, przynajmniej na ogół. Proszę, oto mój życiorys. Nie znam żadnego Truitta. Nigdy nie byłem w Wisconsin, choć może warto się wybrać. To daleko stąd.
- Dobrze. Przedstawił nam pan swoje wymysły. My jednak znamy fakty.
- Proszę sprawdzić. Mam dokumenty. Książeczkę czekową. Nie budzi może zazdrości, ale proszę, wszystko jest do obejrzenia. Ojciec nadal mieszka w Filadelfii. Matka nadal ma na imię Angelina i nadal przyjmuje pieniądze. Brandy? Nalał sobie i zakręcił kieliszkiem w przyćmionym świetle.

- Pańską matką była hrabina Emilia Truitt. Spłodził pana Andrea Moretti. Nauczyciel muzyki opłacany przez męża pańskiej matki, Ralpa.

- Hrabina. Nadzwyczajne. Owszem, chętnie zamieniłbym życie restauracyjnego pianisty na tytuł szlachecki, obawiam się jednak, że taki tytuł mi nie przysługuje. Mogę przeczytać państwu listy od matki. Prosi, bym wrócił do domu i znalazł sobie jakąś dobrą dziewczynę. Kogoś, jak sędzę, w typie nowej pani Truitt. A w ogóle to czemu pan Truitt pragnie mnie widzieć, skoro nie jest moim rodzonym ojcem?

- Żałuje tego, co zaszło.

- Tego, że się ożenił z wiarołomną dziwką? Malloy spojrzał z ukosa na Catherine.

- Bo był... ze względu na okoliczności... bo uważa, że był wobec pana nieżyczliwy i pragnie to teraz naprawić.

- I naprawi to, ściągając mnie z Saint Louis do Wisconsin? Niezbyt kuszące.

-Jest pańskim ojcem. Uważa pana za rodzzonego syna.

Czoło Tony'ego Morettiego przecięła gniewna zmarszczka.

- Uważa mnie za rodzzonego syna. Pokazać wam fotografie? Nie mam żadnych. Moje rzeczy z dzieciństwa? Są w Filadelfii. Łatwo udowodnić, kim się jest. Trudniej dowieść, kim się nie jest. Ja nie jestem synem tego człowieka, choćby nie wiem, jak tego pragnął. Przykro mi, że pan Truitt się smuci. Na ogół lubię pomagać lu-

dziom. Jemu, niestety, nie mogę pomóc. Wam też nie, bo mam do zaproponowania tylko brandy, wy brandy nie chcecie, a ja sobie życzę, żebyście stąd wyszli.

Catherine usiadła na krześle, z którego gospodarz uprzętała stertę ubrań, między innymi dwie damskie pończochy.

- To panią widziałem, prawda? Przy stoliku w restauracji. W czerni. W żałobie.

- Tak. - Dłonie jej zadrżały. - Jak powiedziałam, nie jestem w żałobie. Pięknie pan gra.

Wyobrażała go sobie w łóżku. Wyobrażała go sobie nagiego, podnieconego, pośród jedwabnych poduszek. Czekał na nią. Roztaczał woń rozgrzanej pościeli i zwietrzałej wody kolońskiej. Odgadywała, gdzie był i co robił. Wyczuwała zapach kobiety, która niedawno opuściła mieszkanie.

Mówiła jasno, spokojnie, a on słuchał jej słów z uwaga.- Pan cierpiał. On jest tego świadomy. Jest świadomy, że czuje pan gniew. Sam też cierpiał. Serce go boli od tego cierpienia. Wie, że pana skrzywdził, że źle pana traktował. Pragnie to naprawić.

Sprowadzić pana do pięknej posiadłości, w której się pan urodził, pragnie przywrócić mu życie. Nie twierdzą, że pana kocha.

Jeszcze nie. Ale tego chce. Wybaczania... wybaczania wszystkiego. Proszę.

- A pani, nowa pani Truitt, co pani gotowa jest zrobić, by spełniły się te śmieszne rojenia?

- Pański ojciec jest osobą zamożną. A ja... zrobiłabym wszystko.
- Niech mi pani odda swój pierścionek.
- Słucham?
- Straciłem szpilkę do krawata. Pamięta pani? Lubię brylanty.
Niech mi pani odda swój pierścionek. Podaruję go dziewczynie.
A może sam będę nosił, ot tak, dla kaprysu. Albo przerobię na
nową szpilkę. Będzie przyciągał uwagę podczas moich
występów, tak błyszczący. A może wrzucę go do Missisipi. Może
połknę. Niech mi go pani odda.
- Proszę pani... - zaczął Fisk, szczerze zaniepokojony.
Wahała się przez chwilę, a potem zdjęła pierścionek
zareczynowy z żółtym brylantem i położyła na wyciągniętej dłoni
Tony'ego Morettiiego.
- Proszę, jest pański. Mąż polecił mi zrobić wszystko. Obiecałam.
Z chęcią oddaję panu ten brylant. Tylko proszę wrócić do domu.
- Gdyby to był mój dom, gdyby miał jakikolwiek związek ze
mną, wróciłbym bez namysłu, wróciłbym dla pani i nie trzeba by
ściągać pierścionka z tak ślicznej dłoni. - Wsunął go sobie na
mały palec. - Mały, ale ładniutki.
Brylant zamigotał w blasku świec dogasających nad ich głowami.
- A teraz proszę się stąd wynosić. Zostawić mnie w spokoju.
Myślicie, że moje życie jest usłane różami? Nie jest. Myślicie, że
zawsząd otacza mnie miłość? Nie

otacza. Ale mam dostatecznie wiele, bym nie musiał brać udziału w waszej farsie. - Zwrócił Catherine pierścionek. - Nie potrzebuję też tego wiejskiego brylancika. Wynoście się stąd wszyscy do diabła! Malloy nie ustępował.

- My nie popełniamy błędów, panie Truitt. Moretti odwrócił się z furją.

- Jeszcze raz usłyszę to nazwisko, a pożałujesz pan, ostrzegam. Nazywam się Moretti. Dzisiaj mam dzień wolny. W dni wolne przez godzinę bywam uprzejmy dla obcych i ta godzina właśnie minęła. Donieście swojemu kmiotkowi, kimkolwiek jest, jak fatalnie się pomyliliście. A jeszcze lepiej jedźcie do Filadelfii. Zapytajcie o Morettich. Spytajcie, gdzie jest ich syn. Nie podoba im się moje zajęcie. Uważają, że fortepian to coś dla dziewczyn. Oni też chcą mnie ściągnąć z powrotem. Jeśli już miałbym dokądś wracać, to wolałbym dom, w którym kogoś znam. Ale mój dom jest tutaj. A teraz wynocha.

Otworzył butelkę i znów sobie nalał. Catherine poczuła ciepło brandy rozchodzące się jak ogień po jej ciele.

- My tutaj jeszcze wrócimy - powiedział Fisk. W jego głosie prawie nie dało się usłyszeć groźby.

- Naprawdę? Uważam, że szkoda czasu.

Antonio usiadł na krześle obitym niebieskim aksamitem, a szlafrok rozchylił mu się na piersi, odsłaniając tors.

Nic nie mogli wskórać. Wyszli. Potykając się w ciemności na schodach, słyszeli jego śmiech. Dwaj upokorzeni agenci Pinkertona. Catherine wsunęła pierścionek na palec. Czowała, jak rozpierają radość.

W drodze powrotnej, przecinając targ, pośród tanich sukien, cienkich płaszczy, blaszanych pierścionków, zmarzniętej kapusty i miedzianych rondli, minęła sprzedawcę ptaszków. Żółtych, niebieskich i czerwonych kanarków. Wydawały się bardzo zziębnięte, lecz kupiła jednego, a także misterną Mateczkę. Grzejąc ciepłym oddechem drżące ciało ptaszka, niosła go przez lodowate świąteczne ulice Saint Louis.

ROZDZIAŁ CZWARTY

AMIERZAŁA CZEKAĆ PIĘĆ DNI. Płonęła, lecz zamierzała poczekać. Dłużej jednak czekać nie mogła.

Tymczasem napisała do Truitta. Zanim przekazała mu wieści o Antoniu, opowiedziała o swoich planach ogrodowych. O popołudniach spędzonych w bibliotece, o wysokich oknach i pogrążonych w ciszy stołach, o padającym ukośnie świetle.

Opowiedziała o ogrodzie, o tym, że być może przywróci go do życia. Okazała Ralphowi czułość, chociaż nie nadmierną.

Przecież zaledwie się znali.

Zapytała, czy pozwoli jej kupić nasiona i zamówić trochę roślin na wiosnę, by powitać Antonia w domu. Wiedziała, jaka będzie odpowiedź: że może mieć, cokolwiek zechce. Uśmiechnęła się, świadoma, że tak jest w istocie.

Godzinami stała w Ogrodzie Botanicznym Missouri, podziwiając orchidee, białe i eleganckie jak Tony Mo-

retti. Czy mogłyby rozwinąć się w oranżerii? Czekwała przy kontuarze, podczas gdy znawcy sprawdzali, co wyrośnie, a co nie wyrośnie w opisywanym przez nią klimacie. Jak długo trwa tam wiosna? Czy lato bywa upalne? Nie wiedziała. Zgadywała. Kupowała ostrożnie, lecz z nadzieją. Płaciła gotówką i wracała do banku po więcej. Ustaliła termin dostawy. Sprawiała sobie małe srebrne pióro i notes z czerwono-białą okładką. Z godłem Florencji. Notowała w nim nazwę i cechy każdej zamawianej rośliny.

Myślała o swoim ogrodzie. Myślała o swoim życiu zszytym jak kapa z niepotrzebnych skrawków: doświadczenia, wiedzy, przewidywania przyszłości. Nie dostrzegała w jego wzorze żadnego sensu.

Nie знаła dobra. Nie wiedziała, co jest dobre, właściwe, a co nie, i nie znajdowała pola, na którym mogłaby rozegrać bitwę toczącą się w jej wnętrzu.

W ogrodzie przynajmniej panował ład. Ogród porządkował nieposkromioną, dziką przyrodę. Właśnie w tym pokładała nadzieję. Trzymając na palcu kanarka, z nadzieją wypatrywała porządku na swoim tajemnym, ogrodzonym kwadracie ziemi, wypatrywała tego, co właściwe. Czekanie jej nie służyło — jak dobrze wiedziała — i tak samo rozmyślania. Sprawiały, że wracała przeszłość — a jej za wszelką cenę pragnęła uniknąć. Tony Moretti był do niej podobny. Był też podobny do tajemnego ogrodu. Wierzył we własne kłamstwa. Nie zawahał się, nie popełnił błędu. I wygrał.

Napisała ponownie do Truitta, proponując, że odwiedzi Morettiego bez panów Malloya i Fiska. Dała do zrozumienia, że łagodniejsze podejście może okazać się przekonujące. Agenci Pinkertona niewątpliwie mieli rację: człowiek, który nazywa siebie Morettim, to Antonio Truitt. Zauważyła u niego wyraz oczu, grymas ust świadczące, że nie należy wierzyć słowom chłopaka. Oczywiście żywił urazę. Był rozżalony. Maskował prawdę protekcyjnym wdziękiem i bezczelnością, lecz nie umiał ukryć jej przed Catherine.

Opowiedziała Truittowi o gnuśnym, zbyt kownym życiu Morettiego, o meblach pokrytych aksamitem, o jedwabnym szlafroku. Opowiedziała o grze na pianinie. Opowiedziała o ciemnym mieszkaniu, pokojach dowodzących egzotycznej elegancji, ekscentrycznego gustu.

Zapytała, czy jest pewny, absolutnie pewny, że pragnie widzieć swojego domniemanego syna. Są przecież obszary przeszłości, których należy się wyrzec, obszary nieodwracalnie stracone.

Napisała, że poczeka na jego odpowiedź.

Odpowiedział, że niczego innego nie pragnie. Prosił, by uczyniła wszystko, co konieczne. Odwiedziła Antonia w jego mieszkaniu. Chodziła za nim po ulicach. Dała mu pieniądze, niezależnie, o ile poprosi.

Była tylko narzędziem. Nie napisał tego wprost, domyśliła się sama, gdy po raz pierwszy oznajmił, że zamierza wysłać ją do Saint Louis. Była przynętą i bronią jednocześnie. Nieodzowną, by urzeczywistnić jego pragnienie. Pragnienie niedorzeczne.

I teraz zyskała pewność, że Truitt jest sentymentalnym głupcem, że nigdy nie odgadłby jej własnych sekretnych pragnień.

A więc jest bezpieczna. Nie wzbudzi podejrzeń detektywów, nawet jeśli Malloy i Fisk będą ją śledzić.

Zachwycała się i zdumiewała własnym sprytem. Nie było sytuacji, której nie potrafiłaby wykorzystać. Na początku nie była pewna, kim jest dla Truitta. Teraz wiedziała, że ma go w garści.

Wyszła na ulicę o zmierzchu, przyciskając do szyi kołnierz karakułowego futra, ukrywając twarz za wo-alką. Upewniła się, czy nikt jej nie śledzi, chociaż, po przyzwoleniu męża, nie miało to już żadnego znaczenia. Mineła kamienice, drewniane rudery i stanęła przed rdzawoczerwonym domem.

Zapewne przygotowywał się do wyjścia. Rozgrzany po kąpieli, oglądał ubrania rozłożone na łóżku. Usłyszy pukanie do drzwi i pospiesznie schowa fajkę do opium, strzykawkę lub jakiś inny środek sprzyjający rozluźnieniu uwagi i wyostrzeniu wyobraźni. Usłyszy pukanie i odgadnie, kto przyszedł.

Zapukała. Otworzył. Patrzył na nią przez chwilę — i nagle już był przy niej, z językiem w jej ustach, śliskim i słonym jak ostryga. Wciągnął ją do mieszkania, kopnięciem zamknął drzwi i zaczął całować Catherine z tak znajomą gwałtownością.

Wsunął palce pod kołnierz futra, tuż nad suknią, i położył na żyłę pulsującej na jej szyi. Zrywała z niego ubrania, narzucone byle jak, pragnąc czym prędzej do-

tknąć gładkiej skóry na jego piersi, na mocnym płaskim brzuchu. A on całował, miażdżył jej wargi, czuła jego język w swoich ustach, na zębach, swój język w jego ustach, na jego języku, ślizgający się po podniebieniu, smakujący szaleństwa poprzedniej nocy, szampana, cygara, nieświeży oddech, smakujący jego, i o niczym już nie myślała, nie pamiętała niczego, płonęła, zatracala się całkowicie. Czas nie istniał, nie istniały gorąco ani zimno, przeszłość ani przyszłość. Było tylko to: jej dłonie na nim, na skórze, za paskiem jego spodni, jego palce na żyłę pulsującej na jej szyi.

Nie była już sobą. Nikim nie była. Znalazła się w królestwie dotyku.

Kochali się tak, jakby ktoś ich obserwował. Nieosłonięci, świadomi własnych poruszeń, własnych pieszczot, jak gdyby pieścili się dla cudzych oczu, pokazując, jak bez wysiłku tworzyć cielesne rozkosze. Leżała naga na łóżku, ubrania poniewierały się na podłodze, rozpływała się z rozkoszy, on, także nagi, nad nią, na niej i przy niej, językiem doprowadzał ją do orgazmu tak zręcznie, że wiła się, ciepła i rozmarzona, gdy potem wchodził w nią i szczytował z okrzykiem, a był to jedyny dźwięk, jaki dotąd wydał. Nie ona go pobudzała, lecz jego zachwyty nad własną biegłością, własna przyjemność, czułość, brutalność drażące ją jakby po raz pierwszy.

Kochał się z nią, aż wargi obrzmiały jej od pocałunków, ciało miała pokryte śladami, wewnątrz podrażnione, obolałe. Była pełna. Znow stała się całością.

- Truitt — powiedziała głosem, który zabrzmiał obco nawet w jej uszach.

Poznała tylu mężczyzn. Nie pamiętała ich twarzy. On poznał tyle kobiet. Ich imiona - wiedziała - miał na końcu języka. Nieważne, że leżała obok.

Zmysłowość między nimi nie była jak pokarm. Nie krzepiła. Była jak ogień i zostawiała po sobie zgliszcza.

Drzemiała, całkowicie bezbronna. Unosiła się na ciepłych wodach dalekiego morza, nie znając własnego imienia, o nic się nie troszcząc, niczego nie pamiętając.

- Moje kochanie. - Jego słowa dochodziły z daleka, były wiatrem z lasów deszczowych. - Moje maleństwo. Moja słodczy.

Zaśmiała się cicho. Wtulona w niego, wiedziała, że w nikim tak się nie zatraci. Jej środki obrony wobec niego nic nie znaczyły.

Intelekt, elokwencja nie miały znaczenia. Cała była doznawaniem i głodem następnych doznań.

- Moja muzyko. Mów do mnie.

Otworzyła oczy. Leżała w dobrze jej znanej sypialni, pod namiotem z błękitnego jedwabiu, pod francuskim żyrandolem, w ramionach jedyne kochanka, który władał jej marzeniami.

„Jakie to nędzne - pomyślała. -Jakie to żałosne”.

- Co chciałbyś usłyszeć?

- To, dlaczego jeszcze nie jest martwy.

Zmroził ją ton jego głosu. Okryła się szalem rzuconym niedbale na łóżko, swoim pięknym haftowanym

szalem, który tu zostawiła, wyjeżdżając na północ, przemieniając się dla Ralpa Truitta.

- Na razie nie... nie było... kiedy miałam to zrobić? Jak? Czego ty chcesz?

-Dobrze wiesz, czego chcę. Wiesz, co uzgodniliśmy. Tego chcę. I chcę podzielić się wszystkim z tobą.

- Tak. Ale skąd mogłam wiedzieć, że będzie cię szukał? Że cię znajdzie? Tego me było w planie. Zresztą nie może umrzeć od razu. Trzeba poczekać. Musi zachorować, stracić siły i umrzeć. Umrze, ale jeszcze nie zaraz.

Chwyił jej rękę, położył na swoim penisie i przytrzymał. Czują, jak członek kochanka rusza się pod jej dłonią, miękki teraz, giętki jak ryba, wznoszący się i opadający jak oddech.

- Obiecuj mi to.

- Obiecuję.

Wstał, wziął ręcznik i wytarł się starannie. Na łóżku widniała plama wilgoci. Nigdy me szczytował wewnątrz mej. Grozę budziła w nim myśl, że mógłby spłodzić dziecko.

Podniósł swoje ubrania z podłogi, rzucił w kąt i wyjął z szafy inne, równie eleganckie.

- Jakby obietnice dziwki miały jakąś wartość. Muszę iść do pracy. Zaczęła płakać. Nigdy przedtem nie nazwał jej dziewczynką i to nagłe okrucieństwo bardzo zabolowało. Przysięgała sobie kiedyś, że me pozwoli, by zobaczył ją we łzach

- bo nikt jej nigdy we łzach me widział - ale nie potrafiła powstrzymać płaczu.

- Czego ty chcesz?

- Chcę, żeby umarł. Chcę jego pieniędzy. I nie chcę patrzeć na jego twarz. Chcę wiedzieć, jak wyglądał umierając, ale nie chcę na niego patrzeć. Chcę, żeby mu zamarły wnętrzności, żeby zgniły mu zęby. Chcę zamieszkać w domu mojej matki i mieć wszystkie te cudowne rzeczy. Wiesz, czego chcę.

- I dostaniesz to. Wszystko dostaniesz. Tylko musisz poczekać, żeby nikt nie odgadł, co zrobiliśmy - mówiła cicho. - Tak właśnie działa arszenik. Pomału i niewidocznie. Na tym polega jego siła. Patrzyła z zachwytem, jak się ubiera, wytworny i zmysłowy niczym kobieta, jak pod kolejnymi warstwami ubrań ukrywa chłopięce ciało, jej tajemna wiedzę jej jedyna własność, nawet jeśli inna kobieta widziała je i obejmowała zaledwie przed kilkoma godzinami podczas gdy ona spała w swoim staropameńskim łóżku w Planter's Hotel. Nikt me znał Antonia jak ona Antonio nikogo nie kochał jak jej, nawet jeśli tego nie mówił, nawet jeśli kochał ja tylko dlatego, że mogła mu dać życie, na które czekał.

Nie związał się z nikim innym, bo jedynie ona mogła zdobyć to, czego pragnął. Obmyślili plan razem, jak fabułę melodramatu, fabułę wstrząsającą, lecz możliwą do urzeczywistnienia, jeśli okażą się przebiegli. A Catherine nigdy me wątpiła w swoją przebiegłość.

- Uda się. Wiesz o tym. Wszystko się uda.

— Opowiedz mi, jak to będzie. Opowiedz jeszcze raz.

— Poczuj tęsknotę za czymś nieokreślonym. Tęsknota zatruje mu umysł i będą go dręczyły koszmary. Krew mu się rozrzedzi, stale będzie mu zimno. Nie rozgrzeje go żaden koc. Zaczną wypadać mu włosy. A później straci siły i umrze.

Słuchał urzeczony jak dziecko.

— Nie ciekawi cię ani trochę, jakim jest człowiekiem? Nie kłamałam. On chce, żebyś wrócił. Pragnie stworzyć dla ciebie dom piękniejszy niż wszystko, co dotąd widziałeś... co widziałam. Ale ty przecież znasz tamten dom.

— Codziennie wspominam każdy jego szczegół. Dla Truitta nie ma tam miejsca.

— Kocha cię... pragnie cię kochać.

Odwrócił się nagle, złapał ją za ramiona i potrząsnął nią jak lalką. Patrzyła na jego ubranie w nieładzie, na odsłonięte ciało i nawet teraz czuła rozkosz.

— Katował mnie. Zabił moją matkę. -Ale...

— Złapał moją piękną matkę i bił ją, aż po podłodze potoczyły się jej zakrwawione zęby. Widziałem to. Zabrał mnie do Chicago i zmusił, żebym się przyglądał. Jest silny. A przynajmniej był.

Chwycił matkę, zacisnął obrzydliwe łapska na jej szyi i dusił ją, aż umarła. Miałem trzynaście lat i widziałem to wszystko. —

Pchnął ją z powrotem na łóżko. — Na co mi jego miłość? Chcę, żeby zdechł.

Słyszała te słowa setki razy i nigdy nie wierzyła w nie do końca. Przyjęli je za prawdę, były one głównym powodem tego, co się działo, a ona próbowała uwierzyć. Ale teraz, gdy poznała Truitta, gdy została jego żoną, nie dowierzała Antoniowi już wcale. Wiedziała, że takie historie się zdarzają. Wyobrażała je sobie w scenerii ponurych kamienic i obskurnych czynszówek.

Wyobrażała sobie ich bohaterów. Nie potrafiła jednak sobie wyobrazić tak straszliwej utraty rozsądku i równowagi u Ralpa Truitta. Próbowała zobaczyć Antonia, młodego Antonia z pierwszą mgiełką zarostu na twarzy, przyglądającego się temu zdarzeniu, lecz nie. Obraz się nie pojawiał.

Wybuch furii był nie do pomyślenia u Ralpa Truitta - Truitta, który przestał pić alkohol w dniu, gdy oczy jego córki wypełniły się pustką. Truitta, który zobaczył nauczyciela muzyki między nogami swojej żony i nie sięgnął po broń.

Antonio pocałował ją lekko. Suche wargi chłopaka były jak muśnięcie piór na policzku.

- To nasza przyszłość. Nasza przyszłość. Podniosła się z gniewem.

- A ty nic nie zrobisz? Pijesz, zadajesz się z dziwkami, odurzasz opium i trwonisz pieniądze u krawców, którzy aż napraszają się z kredytem, bylebyś raczył pokazać się w strojach z ich pracowni, a ja muszę radzić sobie sama!

- Zadaję się z dziwkami? Niezwykły zarzut w twoich ustach.

- Kocham cię. Zrobię dla ciebie wszystko.
- I naprawdę uważasz, że to coś niesłychanego? Za to ci płacą.
- Nie mam nic więcej do ofiarowania.
- Masz. Dasz mi ojca, zaskoczysz mnie jego śmiercią, a twoja miłość stanie się drogocenna.
- Zrobię to. Obiecałam i zrobię.
- Tylko nie zwlekaj zbyt długo.

Ubrał się. Leżała naga i zbędna w zimnym, wilgotnym łóżku. Jego odejście było dla niej jak śmierć. Spojrzał na nią i oczy mu się zaszklily.

- Szkoda, że jej nie poznałaś. Mojej matki. Była śliczna, miała łagodny głos, kruche dłonie. Brała mnie na kolana, gdy grała na fortepianie i śpiewała stare włoskie piosenki. Była taka młoda. Usiadł na krześle przy oknie, za którym zapadał zmrok.

- Po jej wygnaniu i po śmierci mojej siostry wymykałem się do tamtego domu i szedłem do jej pokoju. Otwierałem szafę i zanurzałem twarz w ubraniach, wdychałem zapach mojej matki. Pachniała jak daleka kraina, jak kraina, w której wiecznie trwają muzyka i taniec. Kraina pogrążona w blasku świec. Była młodą dziewczyną. Zakochała się, trudno. Nie zrobiła nic złego. Może moim ojcem jest Truitt, może nie. Nie wiem. Ale zapłaci za to, jak ją potraktował, jak traktował mnie po jej odejściu. Dorastałem w nienawiści, nienawidziłem go całe życie. Jestem już zmęczony. Nie będę żył naprawdę, dopóki on nie zniknie. Zrób dla mnie tylko

to jedno. Przypominałaś ją, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Kochałaś mnie, kochasz, wiem. Pomału otwierasz moje zaciśnięte, twarde serce. Zrób dla mnie to jedno. Mówią, że jestem złym człowiekiem. Pustym, nic niewartym. Może mają rację, a może nie. Może jestem po prostu dziesięcioletnim chłopcem stojącym w ciemnym pokoju, wdychającym zapach ubrań matki. Może jestem zły, może dobry. Dowiem się, kiedy on umrze.

Wstał. Było prawie ciemno. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Krążyła po mieszkaniu. Zajrzała do szafy i dotknęła swoich sukien przystrojonych paciorkami i piórami, swoich kapeluszy z wyszytymi ptakami, ozdobionych klejnotami, delikatnych butów z czerwonej, zielonej i złotej marokańskiej skóry, na zgrabnych wysokich obcasach, z błyszczącymi guzikami i klamrami, i nagle zapragnęła zacząć od nowa. Widok i zapach ubrań, nadal wyczuwalna woń perfum przywołały dawne czasy. Zapragnęła wylegiwać się do południa, zapragnęła śmiechu, sprośnych żartów i piosenek, zapragnęła przygodnej miłości, brzęku monet w jedwabnej torebce, upojenia szampanem, mdlącej słodyczy, gdy już ulecą bąbelki, gorzkiego smaku w ustach nad ranem, zapragnęła szampana i opium, nocy wśród kobiet w fantazyjnej bieliźnie, ich leniwych pieszczot i beztroskich, spokojnych rozmów o tym, co się zdarzy, i nie tak beztroskich o tym, co się zdarzyło, rozmów, dzięki którym wszystko stawało się znośne. Zapragnęła leżeć w łóżku

w niedzielny poranek, szydzić z prasowych ogłoszeń i nie znaleźć anonsu Ralph Truitta, nie rozpoznać nazwiska i nie odczytać Antoniowi, nie ujrzeć błysku w jego oczach, gdy wyrwał jej gazetę, nie poświęcić tamtego dnia na rozważania. Ralph Truitt. Zwykle imię i nazwisko, zakończenie starej opowieści.

Nie mogła cofnąć czasu. A gdyby mogła, do czego by wróciła? Do powozu, do przejażdżki ze swoją śliczną matką i z kadetami podczas letniej burzy? Do niewinnych oczu małej siostrzyczki? Do chwil, nim to wszystko się zdarzyło?

Zamknęła szafę. Zaczęła się myć wodą z kamionkowego dzbana. Zmywała jego pieśczoć z podrażnionego ciała, rozkoszując się wszystkim, nie żałując niczego.

Włożyła swoje eleganckie przebranie, przeszła bez lęku ciemnymi zaułkami Saint Louis, w które nikt nie zapuszczał się bez potrzeby, i zasnęła jak niewinna dziewczyna na wąskim łóżku w Planter's Hotel. Słyszała przez sen ptasi śpiew. Niósł ją między anioły.

ROZDZIAŁ PIĄTY

NIE MOGŁA SIĘ POWSTRZYMAĆ. To było jak narkotyk, którego odmawiała sobie zbyt długo. Napisała do Truitta, że robi postępy — lecz postępy powolne. I obiecała mu, że Andy (tak nazywała kochanka w listach) wróci do domu.

Chodziła do Antonia codziennie. Nie obawiała się już Fiska i Malloya. Nie zauważyła ich ani razu. Przypuszczała, że czają się gdzieś w mroku, ale była jak odurzona i przestała zachowywać ostrożność.

Kochali się. Czasem przez dziesięć burzliwych minut, czasem tak długo, aż mrok zmienił się w jasność, a jasność znowu przeszła w mrok. Potem wybierała którąś z sukien wiszących w jego szafie i wychodzili razem na miasto. Jedli ostrygi, pili szampana.

Jeśli pominąć obsesję na punkcie Truitta, Antonio miał wdzięk żywego i spontanicznego dziecka. Sprawiał, że czuła się jak nastoletnia dziewczyna, dla której wszystko jest pierwsze i możliwe. Opowiadał o swoich

podróżach, o dziwactwach ludzi spotkanych po drodze, a jego opowieści wciąż wydawały się nowe i niewinne: przygody chłopca, który nigdy nie dojrzał. Jego śmiech był jak przejrzysta woda w słońcu, woda pluskająca wśród kamieni.

Rozśmieszał ją. Truitt miał wiele zalet, lecz przy nim nie śmiała się nigdy.

Wiedziała też - bo Antonio niekiedy mówił o tym w nocy, gdy nagi i wreszcie bezbronny leżał w jej ramionach - że tak naprawdę czas upływa mu na samotnej szarpaninie o następnego dolara lub następną kobietę. Był zgorzkniałym człowiekiem bez matki, bez ojca, bez domu, do którego mógłby wrócić. Gdy jednak siedział z nią przy ostrygach i szampanie, sprawiał wrażenie, jakby jego życie składało się ze słońca i czystej pościeli.

Mówił o jej piękności, o tym, że nigdy się nią nie nasyci, i wierzyła w jego słowa.

Bywała w prostackiej piwiarni, gdzie grał na pianinie, i na jego oczach flirtowała z innymi mężczyznami, pewna, że będzie patrzył obojętnie. Czasem zdarzały się bójki, odświętnie ubrani robotnicy fabryczni tracili nad sobą panowanie, a ona nawet nie wstawiała od stolika.

Później odwiedzali palarnie, gdzie Chinki rozbierały ich, spowijały w jedwabie, nacierały wonnymi olejkami i karmiły czarnymi, miękkimi kulkami opium. Przychodzili do mieszkania o świcie, wkładała swoje wytworne ubranie - ubranie, w którym zjawiała się u niego - i wracała do Planter's Hotel. Niekiedy nie była w stanie wsu-

nać klucza do zamka i musiała prosić o pomoc wyrwanego ze snu portiera. Spała do południa i budziła się przy śpiewie kanarka. Piła mocną czarną kawę i prawie nic nie jadła: jedynie przyrumienione na złoto grzanki z konfiturami. Wystarczało jej kilka godzin snu. Popołudniami prawie osuwała się z głodu na dębowy stół w bibliotece, obok stosu książek i swoich giemzowych rękawiczek.

Czytała o hodowli róż. Niemal czuła na skórze ich kolce, krople krwi na grzbiecie dłoni. Nie była osobą, za jaką uważał ją Ralph Truitt, i nie była też osobą znaną Tonyemu Morettiemu, lecz nigdy nie zastanawiała się nad tym, która z jej osobowości jest fałszywa.

Widywała starych znajomych: Hattie Reno, Annie McCrae, Margaret, Louise, Hope, Joego LAmour, Teddiego Klondike'a. Wszędzie szukała swojej siostry Alice, która mieszkała w Saint Louis i niekiedy pokazywała się w tych samych kręgach. Alice, którą niegdyś zabierała do cyrku i opery. Siostra jednak zniknęła i nikt nie wiedział, gdzie się podziewa.

Kupowała jej niegdyś książki, których Alice nie chciała czytać. Kupowała biżuterię, którą Alice gubiła lub oddawała. Próbowwała za wszelką cenę dać siostrze szczęście, zdobyć jej przyjaźń, ale nawet tu poniosła klęskę.

Pragnęła odnaleźć siostrę, wziąć ją do Wisconsin, owinać białym bandażem odległej prowincji, póki Alice nie dojdzie do siebie.

Pragnęła ubierać ją w piękne stroje Emilii i patrzeć, jak zstępuje po długich schodach pa-

łacu do przestronnego, pokrytego freskami hallu. Alice byłaby jak dziecko w stworzonym przez nią arcydziele. Catherine nadal wierzyła, że może ją ocalić.

- Daj spokój - radziła Hattie Reno. - Nie widziano jej tutaj od miesięcy. A kiedy pokazała się po raz ostatni, wyglądała okropnie. Nikt z nią nie rozmawiał, a ona miała to w nosie. Było mi za nią wstyd.

— Jest moją siostrą.

— Jest też podła, bezwzględna i chora. To dziewczyna, która nie chce mieć dachu nad głową. Zdziczała. Już nawet nie podoba się mężczyznom.

- Nigdy nie miała dachu nad głową.

- A ty jej go ofiarujesz, naturalnie. Zanim umrze. Ty i kto jeszcze? Kto za to zapłaci?

Catherine nie wspominała o Wisconsin. Nikt nie znał powodu jej długiej nieobecności. Przypuszczano, że była w Chicago. Szukać świeżej krwi. Nowych mężczyzn z nowymi pieniędzmi.

— Tak. Zanim umrze.

Wiedziała, że Antonio jej potrzebuje, choć nie zdradza się z uczuciami, i brała to poważnie. Niesłusznie. Jego przywiązanie było potrzebą, przyzwyczajeniem, nałogiem, lecz nie miłością, nieważne, jak często o niej mówił.

Czasem, siedząc wczesnym popołudniem - wciąż w koszuli nocnej - w zaciszu hotelowego pokoju, trzymając na palcu szkarłatnego ptaszka, który dziobał podsuwane mu okruchy bułki, boleśnie to sobie uświadamiała. Antonio jednak był bardziej skomplikowany.

W przeciwieństwie do innych kobiet nie przestawała go pociągać, bowiem całkowite oddanie czyniło ją bezradną i bezbronną. Mógł z nią robić wszystko: kochać ją, bić, całować po stopach. Zrobiłaby wszystko, o cokolwiek by poprosił. Była od niego starsza. Traciła młodość, co go fascynowało, jak ostatni, najśłodszy łyk wina. Obiecała zabić jego ojca. Zrobiłaby wszystko. Zrobi i to. Obietnica morderstwa stała się jego wędzidłem, zwycięskim układem kart w pokerze. Był gotów czekać, ale niezbyt długo.

Zasypiał z palcami w jej pochwie, a po przebudzeniu zlizywał śluz o zapachu piżma. Kochał się z nią, gdy krwawiła, gdy była pijana lub spała. Jego apetyt dorównywał jej pragnieniu rozkoszy: oboje byli nienasyчени. Podniecały go skromne suknie, w jakich do niego przychodziła, jakby uprawiał miłość z nieznajomą.

Żyła jak we śnie. Z trudem przypominała sobie, gdzie jest. Codziennie pisała do Ralpa, kłamiąc o tym, co robi w Saint Louis, odmalowując nawet najdrobniejsze szczegóły. Chciała uświadamiać Truittowi swoją władzę nad nim, władzę położenia kresu jego samotności, sprowadzenia syna do domu, ożywienia ogrodu.

- Opowiedz mi o nim - zażądał Antonio któregoś wieczoru.

Opierał głowę na jej piersiach, łaskoczając ją włosami. Gdyby zamknęła oczy i spróbowała przywołać jego twarz, nie pojawiłby się żaden obraz, chociaż pamiętała dokładnie twarze ludzi, których zaledwie znała.

— Chcę wiedzieć wszystko. Opowiedz mi jeszcze raz.

— Jest wysoki. Mocno zbudowany.

— Gruby?

— Nie. Potężny.

Musiała być ostrożna. Pragnęła mówić Antoniowi jedynie to, co chciał usłyszeć. Pragnęła sprawiać przyjemność. Na tym polegał jej zawód.

— Ma chyba ogromny majątek. Na pewno. Wiele przedsiębiorstw, głównie z żelazem, w które zaopatruje kolej, maszynownie. Pracują dla niego tłumy ludzi. Mnóstwo pieniędzy, nie wiem ile, ale mnóstwo. Wagon kolejowy. Automobil. Myśli, że automobil to coś wyjątkowego. I ma tamten dom. Pałac. Dużo milczy. Lubi wiersze. Czytałam mu wieczorami. Jest smutny. Wyobraź sobie nasze życie, gdy zamieszkamy w tamtym domu. Wyobraź sobie przyjęcia. Przyjęcia wyobrażał sobie doskonale, nie musiała mu ich opisywać. Były takie jak wszystkie, tylko z większą liczbą gości, większą ilością pieniędzy i większą ilością szampana, z większą ilością wszystkiego, co mogło dać mu zadowolenie. Służące będą podnosiły z podłogi i czyściły jego stroje. Ojciec zostanie pochowany niedaleko siostry. A on napluje mu na grób. Gości będą przywozili prywatnym wagonem z Chicago, z Saint Louis: niekończący się pochód ludzi, którzy zrobiliby dla niego wszystko, ponieważ on będzie mógł zrobić wszystko dla nich, jeśli tylko zechce. Na oczach Catherine będzie się kochał z inną kobietą. Bę-

dzie się golił przed pozłacanym francuskim lustrem. Będzie spał w antycznym łożu, które matka sprowadziła z Włoch. Będą zażywali morfinę z Chicago, spacerowali środkiem ulicy w miasteczku, śmiejąc się bez powodu, i nikt nie zdoła im przeszkodzić. A pieniądze nie przestaną napływać strumieniami.

- Nadal są tam twoje zabawki. Sukienki twojej siostry wiszą w szafie. I suknie twojej matki. Piękne.

- Będziesz je nosiła.

- Przymierzałam, są za małe. Pasowałyby na Alice. I niemodne, jak z muzeum. Szkatułka z biżuterią wciąż stoi na toaletce. Perły, szmaragdy, rubiny. Brylantowe diademy. Zegarek wysadzany diamentami. Rzeczy, o których zapomniała lub których nie mogła zabrać.

- Pobił ją. Pobił moją śliczną matkę do krwi. Nie wiedziała, co robi. Opuściła dom, jak stała, w jednej sukni.

- Wszystko nadal tam jest.

- W każdym razie nie chcę w domu Alice. Nie chcę mieć jej w pobliżu.

Nużyło ją opowiadanie. Nużyło pocieszanie Antonia. Wciąż był chłopcem, małym chłopcem tkwiącym uparcie w dzieciństwie, którego przecież nie mógł odzyskać. Wiedziała o tym. Wiedziała, że śmierć ojca i brylantowe diademy, i pożądliva zimna pogarda nie przywrócą Antoniowi tego, co utracił, bo utracił czas, a pozostała mu wściekłość.

On także wiedział. Próbował sobie przypomnieć. Próbował przypomnieć sobie siostrę i matkę, i nic nie

przychodziło mu do głowy. Tylko gniew. Nieruchome, rozżarzone ostrze, na które nabite było jego życie.

- Naprawdę za tobą tęskni. Żałuje tego, co zrobił. Jego ból jest bezgraniczny..

- A mój ból? Myślisz, że podoba mi się żalosne życie, jakie wiodę?

Musiała być ostrożna, pilnować się na każdym kroku niczym tancerka na linie.

Nie sypiał po nocach. Serce mu waliło, krew pulsowała w skroniach. Przewracał się z boku na bok, aż światło za oknem było zbyt jasne, żeby leżeć w łóżku. Gdy nie mógł znieść tego dłużej, wybierał nieświadomość, morfinę, opium, wino, lecz wtedy budził się zmęczony.

Miał wrażenie, że wszyscy dostrzegają jego nienawiść. Widział oczami wyobraźni, jak pęka mu skóra i ropa wściekłości spływa po policzkach.

Jadł tylko po to, by utrzymać się przy życiu, i wyłącznie wyrafinowane potrawy. Ostrygi z szampanem. Przepiórki i kawior. Melony poza sezonem sprowadzane rzeką z Ameryki Południowej. Szynek parmeńską. Potrawy mające zastąpić tkliwość dawno zmarłej kobiety, która — jak sobie wyobrażał — kochała go jako małego chłopca.

Sypiał z kobietami, ponieważ był piękny. Piękno musi być ofiarowywane. Robił to, bo uprawiając miłość, zapominał, kim jest, zapominał o wszystkim, o ojcu, matce, niedorozwiniętej siostrze, zapominał o biciu i przekleństwach z dzieciństwa. Zapominał Ralpa trzeźwego i zimnego jak lód, miotającego obelgi, posyłającego go

do diabła-jego, ośmioletnie dziecko. Kochając się, nie myślał, stawał się samym istnieniem, ruchem, rozkoszą i biegłością. Żył w erotycznej gorączce, bo później - niekiedy - mógł zasnąć na godzinę lub dwie.

- Nie mów mi o nim więcej. Nie mów.

- Dobrze.

Catherine była wyjątkiem, kobietą, do której wracał. Esencją tego, co wiedział o miłości. Życie jej nie oszczędziło, ale twarz miała nadal piękną, ciało nietknięte przez chorobę. Rozumiała, na co się decyduje: zajrzała w niego i ogień jej nie spalił.

Jej siostra też miała w sobie coś niezwykłego. Pewnej nocy, gdy Catherine była daleko, u boku jego ojca, upił się i wracając chwiejnie do domu, dostrzegł Alice. Stała na rogu ciemnej ulicy jak skamieniała. Podszedł do niej i ją zagadnął. Ich stosunek trwał krócej niż pierwsza część *Sonaty księżycowej*. Milczeli, jakby on był znudzony, a ona niema.

-Wiem, gdzie ona jest.

-Kto?

- Alice. Jest w Kocim Przesmyku.

Catherine ukryła twarz w dłoniach. Tony Moretti się uśmiechał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ALICE.

Gdy Catherine Land miała osiem lat, jej matka już nie żyła, a ojciec odchodził od zmysłów. Nie mógł ścierpieć słonecznego światła, nie mógł ścierpieć dotyku ubrania na skórze, nie mógł ścierpieć smaku śliny w ustach, jeśli nie przepalił jej tanim alkoholem. Stracił pracę, stracił przyjaciół.

Pewnego dnia nie mieli już pieniędzy. Pewnego dnia nie mieli już domu. Ich meble, meble matki, leżały bezładnie w śniegu na ulicy.

Agonia ojca trwała sześć lat. Catherine nie poszła do szkoły, bo nigdzie nie zagrzewali miejsca, a poza tym ktoś musiał zająć się dzieckiem.

Ojciec oczywiście zapił się na śmierć. Catherine jednak wiedziała, że tak naprawdę pękło mu serce. Zdarzają się takie rzeczy. Obserwowała jego umieranie, a nie było ono ładne, romantyczne ani melancholijne. Było żalosne i niezdarne jak koń wlokący wóz przez błoto.

I wtedy nie miały już nikogo. Nie miały miejsca dla siebie. Catherine właśnie skończyła czternaście lat, Alice siedem. Trafiły do przytułku w dokach. Zaprowadziła siostrę do posepnego magazynu skrywającego najuboższych przed oczami mniej ubogich. Alice chodziła do małej szkółki dobroczynnej i uczyła siostrę czytać, Catherine zaś wykonywała najróżniejsze prace, prała ubrania, na czworakach szorowała podłogi. Szyła też i zdobyła biegłość w tej dziedzinie: pierwsze osiągnięcie, z którego mogła być dumna.

Gdy Alice była w szkole, Catherine spędzała niekiedy czas w niewielkim parku nad zatoką i obserwowała wodę mieniącą się w bladych promieniach słońca. Przesiadywała tam, wpatrzona w fale, aż pewnego dnia podszedł jakiś mężczyzna, usiadł obok, dotknął jej ręki i zaprosił do swojego pokoju w marnym hoteliku. Zrozumiała wtedy, co ma począć ze swoim życiem, co się z nią stanie i jak może ocalić Alice.

Nie wiedziała, co robi. Nie wiedziała, dlaczego on przysiadł się do niej ani dlaczego spełniła jego prośbę. Nic to dla niej nie znaczyło.

Zrozumiała, że jej ciało jest kontem bankowym, źródłem dochodów, wszystkim, czego w przyszłości będzie potrzebowała. Pracowała, uczyła się czytać, a wieczorami, zanim zamknięto bramę, wędrowała po dokach i zarabiała na życie, uprawiając miłość w korytarzach, w wielkich

skrzyniach przewozowych, na stercie płaszczy na zapleczu baru. Niekiedy spędzała całą noc poza przytułkiem, przechodząc z rąk do rąk. Wracała o świcie, gdy odsuwano rygle z potężnych podwójnych drzwi, obolała, jakby od wieczoru szorowała podłogi.

Alice uczyła się liter i cyfr, Catherine natomiast kosztowała władzy, władzy nad mężczyznami, nad ich pożądaniem, nad ocaleniem siostry. Zrozumiała, że może zapewnić Alice bezpieczeństwo, może zabrać ją od szczurów, wszy i nierozgarniętych porzuconych dzieci. One dwie przynajmniej zaznały miłości, dawno temu, w miejscu, które wydawało się teraz snem.

Leżała na cudzych łóżkach i wyobrażała sobie dom, w którym zamieszka z Alice, gdy zdobędą już pieniądze. Znajdą tam szczęście. Dom zawsze będzie czysty, słoneczny nawet w zimie. Skończyła szesnaście lat. Po zarobieniu wystarczającej ilości pieniędzy przeniosła się z Alice do Filadelfii. Wynajęły obskurny pokój nad rzeką Schuylkill. Catherine wracała późno do domu i spała w jednym łóżku z siostrą. Rano zawsze była przy niej, by obudzić ją pocałunkiem. Nie powodziło im się lepiej niż w Baltimore, lecz Alice chodziła do prawdziwej szkoły, charytatywnej szkoły katolickiej o surowych regułach i brudnych oknach. Nienawidziła lekcji, ale co wieczór, przed wyjściem, Catherine pomagała jej w zadaniach domowych i w ten sposób sama powoli zdobywała wiedzę.

Alice nosiła porządne ubrania, uszyte dla niej przez siostrę. Miała ciepły płaszcz na zimę. Catherine odwiedzała targi i przyglądała się tkaninom, dotykała każdej z nich. Kiedyś przypomniała sobie słowa matki: biblioteka mieści całą potrzebną w życiu wiedzę, wszystko na temat historii, sztuki i przyrody.

Z początku była przerażona. Podczas pierwszych odwiedzin w bibliotece jedynie się rozglądała, niepewna, do kogo przemówić. W końcu poprosiła o książkę o szyciu i zaczęła ją czytać przy stole, robiąc notatki ołówkiem, który ukradła ze straganu.

Zdobywanie wiedzy stało się jej pasją. Uwielbiała zapach książek z bibliotecznych półek, druk na ich stronicach, poczucie, że świat jest nieskończony, lecz poznawalny. Każda informacja prowadziła do następnego pytania, a każde pytanie znajdowało odpowiedź w następnych książkach. Nauczyła się korzystać z katalogu. Nigdy nie przyswajała sobie więcej wiedzy, niż potrzebowała.

Czytała romanse i wyobrażała sobie, że ich bohaterami są mężczyźni i kobiety przy sąsiednich stołach. Wspaniałe cudze życie, pełne namiętności i takie proste. Czytała Jane Austen, Thackeraya, Dickensa, historie, w których los zsyłał w końcu szczęście obdartym biedakom.

Czytała o stolicach krajów, o katedrach i minaretach, o rozległych perspektywach, o zmiennym i rozszerzającym się świecie nauki.

W wieku osiemnastu lat została utrzymanką żonatego mężczyzny. Już dorosła, Alice zaś nadal była dzieckiem. Mieszkały przy Rittenhouse Square - na prawdziwej ulicy, w pokojach z prawdziwego zdarzenia, o jakich marzyła kiedyś w hotelikach. Nauczyła się, jak poza łóżkiem sprawiać przyjemność mężczyźnie: siadywać mu na kolanach, prowadzić kulturalne rozmowy, przycinać cygara. Uświadomiła sobie, że jest inteligentna. Dzięki książkom potrafiła dyskutować ze swobodą i wdziękiem. Mężczyznom to się podobało. Była jak gejsze, o których czytała w bibliotece, kochanki sławnych ludzi. Ubierała się gustownie, nosiła jedwabne suknie, które sama szyła, oraz suknie z Paryża kupowane przez kochanka i dostarczane w paczkach przewiązanych taśmą z rypsu ze sklepów z upominkami na Broad Street. Zabawiała gości podczas jego przyjęć karcianych, opowiadała zajmujące historyjki, nalewała wina, śmiała się z ordynarnych żartów. To było zdumiewająco proste. Przychodził w niedzielne popołudnia, zawsze z jakimś drobnym prezentem, dowodem wdzięczności za to, że taka śliczna dziewczyna pozwala mu się dotykać, pozwala kłaść dłoń na swoich piersiach. Później wracał do żony i dzieci, do innych pokoi, nieprzeznaczonych dla jej oczu. Alice nie miała cierpliwości ani uzdolnień do nauki. Była niemiłym dzieckiem, pełnym urazy, krnąbrnym i samolubnym - bez uzasadnienia. Zapewniono jej wszystko, co tylko możliwe. Catherine przesiadywała

z nią godzinami, próbując pomóc w odrabianiu zadań domowych, lecz Alice była samym uczuciem, istotą pozbawioną rozsądku. W końcu odmówiła chodzenia do szkoły. Uwielbiała natomiast spacerować po mieście w wytwornych strojach kupowanych przez opiekuna Catherine, uwielbiała też jego samego - rumianego wujka Skipa, jak go nazywała. Po roku Catherine zastała ich w łóżku. Alice miała wtedy dwanaście lat.

Dla Catherine nie było to wstrząsem. Nie dziwiła się, że wujek Skip, sprawiwszy sobie dwie kobiety, chce nacieszyć się obiema. Zapłonęła jednak niepowstrzymanym gniewem. Z eleganckich pokojów przy Ritten-house Square wykradła i sprzedała, co mogła, a później wsiadły obie do pociągu i pojechały do Nowego Jorku.

Było to nowe miasto, rozległe i pełne możliwości, miasto jak czyste płótno malarskie. Wszystko jednak potoczyło się po staremu. Catherine szyła, uprawiała miłość za pieniądze i spędzała dni w bibliotece, Alice zaś wyglądała jak mała księżniczka i tęskniła do wolności. Lubiała przyciągać męskie spojrzenia, a potem odwracać się z pogardliwym śmiechem. Oznajmiła siostrze, że jej nienawidzi. Oznajmiła, że zawsze czuła się jak w klatce. Oznajmiła, że gdy tylko znajdzie sobie jakieś inne miejsce, odejdzie bez żalu. Catherine się nie dziwiła. Skończyła dwadzieścia dwa lata, a była tak zmęczona, jakby miała sto.

Potem Alice zniknęła. Któregoś dnia zobaczyła ją w Gramercy Park: spacerowała z białym pieskiem — piętnastoletnia dziewczyna wsparta na ramieniu czterdzie-

stoletniego mężczyzny. Wtedy Catherine się poddała. Nic nie mogła już zrobić.

Alice stała się tym, przed czym siostra pragnęła ją uchronić: drugą Catherine, tylko gorszą, bo przecież nie musiała zarabiać na życie ciałem. Chciała jednak pustego zainteresowania głupich, samotnych mężczyzn. Było to nie do pojęcia.

Catherine opuściła Nowy Jork i przeniosła się do Chicago, gdzie mieszkała przez lata, nie mając żadnych wiadomości o młodszej siostrze.

Gdy w gazetach pojawiły się informacje o Wystawie Światowej organizowanej w Saint Louis, postanowiła tam pojechać, ponieważ wiedziała, że spotka wielu mężczyzn, robotników z Włoch i Niemiec, którzy zostawili rodziny w ojczyźnie. W sercu nie miała już dobroci.

I wtedy ją zobaczyła.

- Co ty tu robisz, Alice? - spytała łagodnie. Zdumienie siostry momentalnie zmieniło się w urazę.

- To samo, co ty. Wystawa, mężczyźni, pieniądze -odparła Alice szyderczo.

- A co z Nowym Jorkiem? Z Gramercy Park?

-Pies zdechł. William mnie bił. No więc przyjechałam tutaj. Dawno temu, nawet nie pamiętam kiedy. W końcu to Złoty Zachód.

-Ale...

Znienacka Alice uderzyła ją w twarz. Zostawiła czerwony ślad na jej policzku i odbiegła ze śmiechem.

Catherine nie próbowała szukać siostry. Ale teraz miała pieniądze. Miała dom. Pragnęła ją ocalić. Nie

z dobroci, lecz z rozpaczliwej, twardej, nieustępliwej potrzeby wyprowadzenia jakiegoś porządku z chaosu przeszłości. W białym Wisconsin Alice mogła znaleźć spokój. Oślepiająco biały śnieg mógł zmyć z niej okrucieństwo i zgorzknienie.

Koci Przesmyk był złym miejscem. Miejscem, do którego się trafiało na sam koniec, gdy wszystkie inne drzwi zostały zamknięte. Zamieszkały przez szczury i choroby, był przejściem w drodze do rzeki, wykorzystywanym niegdyś do transportu ładunków do miasta, teraz zapełnionym ruderami i ludźmi, którzy nie mieli nawet ruder, którzy nie umieli dłużej spać pod dachem, w więzieniu czterech ścian. Ludźmi, którzy słyszeli głosy.

Ludźmi, którzy umierali.

Ale gdy Catherine skręciła w ten ciemny, brudny zaułek, wokół widziała jedynie dzieci. One były nią. Były jej dzieciństwem, głodem, strachem i utratą, i nic nie mogło ochronić Catherine przed takim chłodem. Nie miały imion. Z ich twarzy znikło światło. Nie miały dokąd pójść.

Alice nigdzie nie było.

Pamiętano podobną do niej dziewczynę, która odeszła z właścicielem łodzi. Pamiętano dziewczynę zabraną wśród wrzasków i szarpaniny, może do zakładu dla obłąkanych, może do szpitala. Catherine szukała wszędzie — bez skutku. Gdy człowiek się stacza, nie ma już imienia. Nie ma swojej historii, cech szczególnych ani przyjaciół, Alice zaś trafiła do Kociego Przesmyku, na samo dno.

- Gdzie ona jest, Tony? - Catherine pytała błagalnie.
- W Kocim Przesmyku wiecznie coś się zmienia. Ludzie zajmują cudze łóżka, zaczynają bić cudze dzieci. Ona tam jest. Szukaj dalej, a marnie skończysz.
- Pójdę znowu dzisiaj wieczorem. Zaraz.
Stał przed nią nagi, mył się, a zachodzące słońce oświetlało mu plecy. Eleganckie ubranie leżało przygotowane na krześle. Rzucił ręcznik i spojrział na nią z nagłym rozdrażnieniem.
- Daj sobie spokój. Ciągłe coś tracimy, Catherine. Zdarza się. Ciągłe tracimy coś, co kochamy.
- Zależy mi na niej.
- Nieprawda. Zależy ci na odzyskaniu czegoś, co straciłaś. Jakby to była parasolka zostawiona w tramwaju, wisiorek zgubiony na ulicy. Nic więcej. Ale coś ci powiem. Ona nie jest już tym, co straciłaś. Jest ruiną, niczym. Nie ma twarzy, imienia, własnego kąta. A twoje żalosne poszukiwania niczego nie zmieniają. Ty masz zabić mojego ojca, masz zamieszkać ze mną w pałacu. Jego piękne stroje. Piękne włosy, dłonie trzymające srebrny grzebień, przystojna twarz w porysowanym lustrze oprawionym w srebro. Jego troska o nią i zarazem obojętność.
- Jesteś zdumiewająco okrutny. Alice...
- ...była słodka, niewinna i niezbyt rozgarnięta, ale wystarczyło, że usiadła ci na kolanach, tylko usiadła na kolanach, i popadałaś w ekstazę. Już wtedy nie miała duszy. A umiera, bo nie jest sprytna, ostrożna i bystra

jak jej starsza siostra i nie żałuje tego wcale. Budzisz jej pogardę. Nie może znieść nawet myśli o tobie. Sądysz, że jej tam nie ma? Wypytywałaś o nią każdego pijacznę, a ona nadal milczy. Bo Koci Przesmyk to miejsce, Catherine, do którego się idzie, by znaleźć kryjówkę. Ukryć się na zawsze. Można tam trafić tylko jedną drogą i odejść tylko jedną drogą, dlatego daj spokój. Po prostu daj spokój. Wracaj do Wisconsin, zapomnij o Alice. Zrób, co obiecałaś. To jest twoje przeznaczenie.

Catherine jednak me potrafiła zapomnieć o Alice i wreszcie ją znalazła. Któregoś wieczoru, gdy płakała, oparta o mur, otulona karakułowym futrem, jakaś mała dziewczynka o poważnym spojrzeniu ujęła ją za rękę i zaprowadziła na róg ulicy.

Alice właśnie kończyła obsługiwać pijanego marynarza pod latarnią, a przechodnie rzucali jej drobniaki. Odsunęła się, splunęła na bruk, na buty marynarza, on zaś oddalił się chwiejnie, nawet nie zapinając spodni. Podniosła wzrok, zobaczyła Catherine i spokojnie zaczęła wygrzebywać monety ze śniegu.

- Nie chcę cię tutaj widzieć.

- Przyszłam, żeby cię zabrać... w ładne miejsce. -Nie chcę tego słuchać. Nie chcę o niczym wiedzieć.

- Mam pieniądze. - Sięgnęła do torebki.

- Nie chcę. Na co mi one?

- Przyszłam po ciebie. Chodźmy do twojego... tam, gdzie mieszkasz, i porozmawiajmy. - Patrzyła na sze-

reg walących się przybudówek oświetlonych lichymi świeczkami. — Która to?

- Którakolwiek wolna, wszystko jedno. Nie chcę cię tutaj. - Alice liczyła drobniaki. - Znalazłaś sobie bogatego faceta, co?

- Tak. Jest bogaty.

- Tędy.

Wsunęła się do pustej rudery, a Catherine weszła za nią schylona. Alice wyjęła z kieszeni cienką świeczkę skradzioną z jakiegoś kościoła i zapaliła drżącymi palcami.

- Proszę. Dom.

W migoczącym świetle jej twarz wydawała się znowu dziewczęca, łagodniejsza, złotawa. Skóra na kościach policzkowych była napięta jak u osoby bliskiej śmierci. Catherine myślała o ślicznych sukienkach, które dla niej szyła, z marszczeniami, koronką i plisami. Myślała o zadaniach domowych, o pięknym i starannym piśmie siostry, o bezpiecznych pokojach w Filadelfii. Myślała o białym piasku z Gramercy Park. Wszystko stracone. Tak wiele strat na tym świecie. Tak wiele strat.

- Znajdę ci lekarzy. Wezmę cię do domu i...

- Och. Do domu. Pewnie masz dużo forsy w tej torebce.

- Dam ci trochę. Dam ci wszystko, tylko chodź ze mną.

Alice, oparta o deski, skrzyła papierosa. Ręce trzęsły jej się z zimna.

- Wiesz, czuję się tak niemrawo. Cały czas haruję i me jestem zmęczona, nie sypiam w nocy, a czuję się niemrawo. Jakby można było zrobić ze mną wszystko, a ja nie miałabym nawet siły kiwnąć palcem. Ale me mogę z tobą iść. Nie wiem, dokąd się wybierasz, wiem tylko, ze to za daleko.

- Pojechałybyśmy pociągiem.

Spojrzenie Alice znowu stwardniało. Nadzieja zgasła. Papieros żarzył się w ciemności.

- Catherine. Zrozum wreszcie. Nigdy cię nie lubiłam.

Powiedziałam ci to kiedyś i mówię jeszcze raz. Nie lubiłam cię nigdy.

-Alice...

- Mogłabyś wywieźć mnie stąd do Paryża, do najmodniejszego uzdrowiska, i wyleczyć, a ja nadal byłabym podła.

- Nie było chwili, w której cię nie kochałam. -Jak małą słodką laleczkę.

-Byłaś wszystkim, co miałam. Wszystkim, co miałam najdroższego. Pragnęłam innego życia dla ciebie. Lepszego niż moje.

Świeczka zamrugwała i zgasła. W ciemności jarzył się tylko papieros. Catherine chciała objąć siostrę, lecz siedziała bez ruchu.

- Naprawdę nic nie mogę dla ciebie zrobić?

Alice się zawahała. Chwyliła ją za rękę, pogładziła jej skórę szorstkimi, brudnymi palcami.

- Przepraszam. Jestem chora i niedobra i mówię straszne rzeczy. Posiedź trochę ze mną. Nigdy nie je-

stem sama, a zawsze czuję się samotna. Nikt się do mnie nie zbliża. Nikt mnie nie dotyka, nie woła po imieniu. Zostań ze mną, aż zasnę. Niczego więcej nie potrzebuję, nic więcej nie musisz robić.

— Nie mogłabym cię stąd zabrać? Do hotelu? Do gorącej kąpieli, pościelonego łóżka?

— Nawet gdybym była zdrowa i umyta, w eleganckiej sukni i kapeluszu, nigdy bym stąd nie odeszła. Wreszcie znalazłam miejsce, gdzie jestem u siebie.

Catherine zdjęła karakułowe futro i okryła nim siostrę.

— Jak przyjemnie — powiedziała Alice. — Zawsze się mną opiekowałeś.

— Próbowałam.

— Dlaczego byłeś dla mnie taka dobra? Nie zasługiwałam na to.

— Próbowałam cię ocalić przed nieszczęściem.

— Nikogo nie można ocalić. Teraz już to wiesz. Alice zamknęła oczy, gładząc futrzany płaszcz siostry.

— Pamiętam łodzie. Na rzece w Filadelfii. Pamiętam wioślarzy ślizgających się po wodzie jak pająki, kiedy słońce oświetlało ich opalone mocne ramiona. Tacy szybcy, pojawiali się i zaraz znikali. Myślałaś, że zapomniałam, chciałam zapomnieć, ale pamiętam. Pamiętam piękne sukienki, które szyłaś, musiały być piękne, wszystko, co robiłaś, było piękne. Pamiętam buciki zapinane na guziczki. Co się z nimi stało? Gdzie się to

wszystko podziwiewa? Byłaś dla mnie dobra. Taka dobra i czuła.

- Nie byłam dobra ani czuła. Jesteśmy sobie warte.

- Kiedy zamykam oczy, kiedy trochę rozjaśnia mi się w głowie, widzę, że starałaś się, jak mogłaś, a ja byłam pełna jadu. Od naszego rozstania nie zdarzyło mi się nic dobrego i może nie zobaczymy się więcej, dlatego chcę ci podziękować. Nigdy tego nie robiłam, nigdy nikomu nie dziękowałam, ale teraz dziękuję.

- Nie ma za co.

-Jasne. Lepiej już idź, jest późno. Tu bywa niebezpiecznie.

Wracaj do swojego ładnego hotelu i bogatego faceta. Próbowалаś mnie ocalić i nie wyszło. To nie twoja wina.

Siedziały razem, aż papieros się wypalił i Alice zasnęła, ściskając drobniki w dłoni. Szczury przemykały wokół nich w ciemności, przez szpary wpadało mroźne powietrze i śnieg sypał coraz mocniej, a Catherine patrzyła na wychudłą twarz siostry i myślała, że pęknie jej serce.

I wtedy go zobaczyła. Anioła - bo inaczej nie umiała tego nazwać - widzialną łaskę, jak opar, jak mgła. Anioł ze złotymi skrzydłami, z białymi włosami i z białą skórą jak z ilustrowanej książki dla dzieci, z bibliotecznej powieści - istota ze światła i powietrza - spływał bezszelestnie z nieba. Catherine zrozumiała, że jej modlitwa została wysłuchana: deski się rozstąpią, on weźmie siostrę w ramiona i polecą z nią wokół świata, do Londynu, do Rzymu, w góry Ameryki Południowej,

wokół olśniewającej, błękitnej, wirującej Ziemi i ułoży łagodnie Alice w śnieżnobiałym łóżku, w śnieżnobiałej pościeli, bezpieczną i zdrową. Był coraz bliżej. Słyszała szum skrzydeł, poza nim żadnego dźwięku, tylko szum. Widziała przejrzyste stopy anioła, czuła jego ciepły oddech na swoim zimnym policzku.

A potem patrzyła, jak anioł ulatuje w ciemne niebo z pustymi rękami. Alice leżała bez odkupienia, bezwładna, podobna do porzuconej lalki. Catherine zrozumiała, że już za późno na jej ocalenie.

I zrozumiała, że nie zdoła zabić Ralphi Truitta. Zrozumiała, że nie zdoła wyrządzić krzywdy żadnej istocie. Już nie.

Anioł zniknął, szumiał jedynie lodowaty wiatr znad brudnej, zamrożonej rzeki, wpełzający do Kociego Przesmyku, gdzie Alice Land leżała, umierając.

Sypało coraz bardziej. Mróz przeszywał Catherine do kości. Dygotała. Rozwarła dłoń siostry i włożyła do niej wszystkie swoje pieniądze, dolara po dolarze, zmięte banknoty, dochody dziwki, i zacisnęła jej palce. Pocałowała ją w czoło, spocone od choroby i rozpacz. Odsunęła jej z oczu kosmyk włosów.

Patrzyła na śnieg padający przez dziurawy dach na wytworne futro, które okrywało uśpione ciało Alice. Wiedziała, że pieniądze i karkasy znikną, zanim siostra się obudzi.

Takie życie sobie zgotowały, ona i Alice. Zdarzały się takie rzeczy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

GDY OSTATECZNIE ZROZUMIAŁA, że Alice odeszła na zawsze, że była tak blisko, lecz wymknęła się w rozpacz i śmierć, skulona na hotelowym

łóżku płakała przez dwa dni. Wyjęła z szafy nieładne suknie przywiezione z Wisconsin. Pokojówki przynosiły jej bulion i martwiły się o nią, pytały, czy jest chora, zmieniały pościel, po południu szykowały gorącą kąpiel, poprawiały wygniecione poduszki. Karmiły kanarka.

Alice była jej dzieckiem, jej kochaniem. Tyle lat Catherine przeżyła w nadziei, że losy siostry potoczą się inaczej, że Alice znajdzie miłego męża i dom, coś zwyczajnego, prostego, że będzie pracowita i zostanie dobrą matką. Była przygotowana na rozstanie, przygotowana na to, że ich drogi się rozejdą, lecz nigdy nie spodziewała się tego.

Poszła do kościoła. O pomoc w modlitwie poprosiła księdza. Uklękła z pobladłą twarzą i prosiła o przeba-

czenie, o powód, by iść dalej, ale nie otrzymała odpowiedzi. Bóg milczał jak zawsze. Nie zstąpiły anioły ani złotowłose dziecko Jezus. Była w środku martwa, jak martwa miała być Alice. Ksiądz ją pobłogosławił i uczynił znak krzyża na jej czole. Wstydziła się przyznać, że nie rozumie jego gestów i słów, że nie dostrzega w nich sensu.

Czasem nie mogła zasnąć przez kilka nocy. Czasem spała niemal całą dobę. Nigdy nie wiedziała, czy obudzi się w świetle, czy w ciemności.

Gdy otwierała oczy w ciemności, szukała Antonia. Gdy w świetle - zostawała w apartamencie, przyglądała się krzątaniu pokojówek, czytała wiersz z tomiku pożyczonego od męża, ów długi poemat miłosny opiewający świat, i snuła marzenia o ogrodzie, którym miała się zająć na wiosnę.

Napisała Truittowi, że wraca do domu. Nie wyraziła się jasno o zamiarach Antonia. Wyraziła tylko nadzieję, iż przyjedzie z nią jego syn. Przeprosiła za długą nieobecność. Zapytała męża o zdrowie jego i Larsenowej. Wyznała, że nie jadła w Saint Louis niczego, co mogłoby dorównać kuchni gospodyni. W pewnym sensie była to prawda. Miała wrażenie, że przeszłość na jej oczach pożerają płomienie. Potem poprosiła, by Ralph przysłał po nią prywatny wagon.

Gdy pociąg czekał już na stacji, po raz ostatni wyruszyła o zmierzchu do mieszkania Morettiego. Powietrze straciło swoją ostrość. Zimie przetrącono kark.

Zapukała do drzwi, dygocząc ze złości. Gdzie cud, którego tak wypatrywała? Czemu wiecznie tkwiła na linie rozpiętej pomiędzy początkiem a końcem?

Był elegancki i sprężysty jak tygrys, gotów na nocne łowy. Opryskliwy. Współczujący. Zauważył ze zdziwieniem, że Catherine ma w sobie szczególny spokój, którego wcześniej nie dostrzegł. Wydawała się jednak czymś pochłonięta. Czymś nowym.

— Chcę cię o coś prosić.

— Wejdź chociaż do środka.

Nie wiedziała, jak mu powiedzieć. Żaden mężczyzna nie był jej nigdy bliższy. Widziała otwartą szafę, nadal pełną kapeluszy, torebek, fantastycznych sukien. Patrzyła, jakby nosiła je wieki temu, w innym życiu. Były jedynie smutnymi pamiątkami, jak brudne naczynia po wytwornym obiedzie.

— Zwolnij mnie z obietnicy. Ja tego nie zrobię.

— Czego?

Ułożył się na szezlongu, szczupły i muskularny.

— Nie zabiję Truitta. Uśmiechnął się.

— Ależ zabijesz. Posłuchaj mnie, Catherine. Wiele dla mnie znaczysz, lecz nie tak wiele, jak sądzisz. Kiedyś byłaś dla mnie całym rozgwieżdżonym niebem. Pamiętasz? Powroty do domu o świcie, sen do popołudnia i miłość o zachodzie słońca, nasze ciała o zmierzchu, w blasku chińskich latarni. Znalazłaś mnie w tamtym barze, aroganckiego chłopca, i sprawiłaś, że poczułem

się piękny, ujmujący, szaleńczo zakochany. Możemy to odzyskać, mieć to na zawsze. Z dala od tego okropnego miasta, od tych zimnych, ordynarnych ludzi. Obiecałaś. I trzymam cię za słowo.

— Nie mogę. To dobry człowiek, Tony.

— Och, więc teraz kochasz jego?

— Nie. Nie wiem, czy w ogóle kogoś kocham, ale jeśli tak, to ciebie.

— Więc dlaczego?

— Od początku miał uczciwe zamiary i nie zasługuje na... Wróć do domu. Truitt będzie dla ciebie dobry. Jest dobry dla mnie.

— Bzdura. Dopóki on żyje, majątek nie ma dla mnie znaczenia. Nie będę czekał na jego naturalną śmierć. Nie będę czekał, wiedząc, że sypiasz w jego łóżku. Zabił moją matkę. Po czymś takim nie można uścisnąć ręki i wybaczyć.

-Wiele straciłam. Ty też. Byliśmy niegodziwi. Ale to już koniec. To musi się skończyć.

— I skończy się. Skończy się w chwili, gdy on umrze. Przyślesz mi wiadomość o jego śmierci i to życie stanie się zamkniętym rozdziałem. Będę łagodny jak baranek. Będziemy mieć wszystko.

— Ja już mam wszystko. Mam więcej, niż na to zasługuję. Zerwał się z szeszlangu. Z furją chwycił ją za nadgarstki.

— Nie obchodzi mnie, co masz! Zjawiasz się tu skruszona, pełna wyrzutów sumienia, zmieniona — jak wiej-

ski głupek, który zobaczył twarz Chrystusa w ziemniaku — i myślisz, że możesz jechać sobie do Wisconsin, do miasteczka nazwanego po ojcu mojego ojca, i być żoneczką Ralpa Truitta, jakby nic się nie zdarzyło. Myślisz, że kupiłaś sobie wolność. Ale póki żyję, nie będziesz wolna. Zrobisz, co obiecałaś. Zrobisz, co ci każę. A wiesz dlaczego?

Wiedziała. Dokładnie wiedziała, lecz nie mogła, nie chciała tego słuchać. Wyrwała się, podeszła do szafy i bezmyślnie dotykała swoich sukien, tkaniny, z której uszyte było jej dawne życie, jakby to były eksponaty w Pawilonie Japońskim. Nie chciała na niego patrzeć.

— Bo jeśli mnie zawiedziesz, napiszę do niego list. Myślisz, że chciałby wiedzieć, że żona sypiała z jego synem? Poznać wszystkie brudne szczegóły? Przeczytać o swojej żonie, pospolitej dziwce, która sprzedawała się na prawo i lewo, odkąd skończyła piętnaście lat? Gdzie się wtedy podzieje jego dobroć?

— Nie zniosę tego. Umrę.

— Jakoś dotąd nie umarłaś. I nie umrzesz. Ze wstydu się nie umiera.

— A więc zostanę z tobą. Nie wrócę.

— I będziesz żyła wśród tego plugastwa? Takim plugawym życiem? Nie przyjmę cię do siebie. Nie teraz. Nie, Catherine. Wrócisz tam i będziesz udawała, że jesteś tym, czym nie jesteś, dziewicą, skoro on tego pragnie, hrabiną, pobożną chrześcijanką, będziesz zatruwać mu jedzenie, a on umrze. Mogę poczekać, skoro

czekałem tyle lat. Inaczej stracisz wszystko i skończysz w rynsztoku.

Osunęła się na kolana, zrzucając suknię z wieszaka.

- Proszę.

- Wsiadaj do pociągu, do swojego prywatnego wagonu, jedź do męża i pozbądź się go jak najszybciej. Tylko martwy ma dla mnie znaczenie.

- Proszę.

- Niektórych obietnic nie można złamać. Posunęliśmy się za daleko. Jesteśmy zbyt blisko. Wstawaj i wynoś się stąd. Nie pisz do mnie, dopóki on żyje.

- Proszę...

- Ani słowa, Catherine. Nie masz prawa do błagań. Niszczysz wszystko, czego się tkniesz. Wychodzę. Gdy wrócę, nie chcę cię widzieć. Ani tutaj, ani nigdzie w Saint Louis.

Wstała. Miał rację. Nie było ucieczki. Przystanął w progu.

- Mówiłem prawdę - odezwał się niemal łagodnie. - Kochałem cię. I mógłbym cię znowu pokochać. Oboje wiedzieliśmy, co robimy. Wiedziałaś od samego początku.

Krażyła po jego pokojach. Rozmyślała. O śmierci od trucizny w kąpieli. O arszeniku, laudanum, kwasie solnym. O jedwabnym sznurze i solidnej belce. O upadku, ptasim locie w pustkę z okna cichej sypialni w Planter's Hotel. Wypuściłaby ptaszka na wolność. O śmierci pod kołami pociągu. O strzykawce, brzytwie, pistolecie.

Lecz było także przetrwanie. Droga naprzód, którą szła zawsze, bez radości, wbrew woli, wbrew instynktowi, bez chęci, wciąż naprzód i naprzód, bez wytchnienia. Bez pocieszenia, bez czułości. Ale naprzód.

Zrozpaczona, wiedziała, że z pewnością może zrobić to jedno. Przetrwać.

Czesc trzecia

WINSCONSIN. PRZELOM ZIMY I WIOSNY 1908.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

LUBIŁ MIEĆ PRZY ŁÓŻKU szklanę zimnej wody, gdy szedł spać. Naczynie było wysokie, proste, piękne, z wyrytymi w szkłe pędami winorośli. Larsenowa myła je co rano, a co wieczór znów stawiała na stoliku nocnym. Szklanka została przywieziona z Włoch, a światło ślizgało się po jej matowych ściankach. Przez dwadzieścia lat, spędzając noce samotnie, zsuwał nogi na podłogę i upijał łyk przejrzystej, chłodnej wody. Siedział wyprostowany, ponieważ bał się zakrztusić, sam w wielkim starym domu.

Bieliznę pościelową zmieniano mu dwa razy w tygodniu. Przygnębiał go widok drugiej połowy łóżka, poduszki bez śladu odcisniętej kobiecej głowy. Myślał ze skrepowaniem o Larsenowej, która dwa razy w tygodniu zabierała pościel do prania i widziała, jak mało ją zużył. Wstydział się tego, że jego samotność nie jest tajemnicą dla świata.

Szklanka stanowiła pociechę, uparczywie trzymał się więc tego zwyczaju. Sama woda nie miała znaczenia. Rzadko bywał spragniony. Ważny był rytuał, wilgoć jak pocałunek na spierzchniętych wargach.

W sypialni unosiła się woń czystych koszul, mydła, wybielacza i krochmalu. Ubranie, które zdjął wieczorem, czekało na krzesło, aż Larsenowa przetrze je rano gąbką i wyprasuje. Wszystko, co posiadał, było czyste. W nieruchomym powietrzu czuł nocami pracowitość Larsenowej: świeże pranie, pastę do nabłyszczania mebli, wosk do podłogi, i był wdzięczny za jej serdeczność — niezależną od opieki, jaką otaczał oboje małżonków. Płacił bowiem wielu ludziom, ale żaden z nich nie uważał za konieczne okazać mu czegoś więcej niż uprzejmość.

Nigdy nie zwracał się do niej po imieniu — imieniu, które niewątpliwie kiedyś znał, lecz dawno zapomniał. Gdy ją zatrudnił, była młodą dziewczyną (Jane? Jeanette?), niezamężną, niezbyt ładną. Z upływem lat poznała jego potrzeby. Zgadywał, że nie przepadała za Emilią. Nie wyglądała na zmartwioną, gdy jego żona odeszła.

Myślał o posiłkach, koszulach i spodniach, zacerowanych rozdarciami, wypastowanych butach i zeskrobanym z nich błocie, i kochał Larsenową za jej dobroć. Z braku namiętności wygody stały się dla niego wszystkim. Larsenowa patrzyła na jego smutek, na zdradę, której padł ofiarą, i odnosiła się do niego ze współczuciem, a zarazem tak, jakby przeszłość nie istniała. Wie-

działa o jego samotności i nie dawała niczego po sobie poznać. Co wieczór przyrządzała wystawny obiad, bo lubił cieszyć nim oko, a później, gdy zaszywał się w gabinecie, dojadła z Larsenem to, co zostało. Nie chcieli siedzieć razem z nim przy stole. Czuli się nieswojo.

Chciał tyle dokonać. Zamierzał pisać wiersze. Zostać kolekcjonerem sztuki, wspierać młodych artystów i skupiać ich wokół siebie. Wieść życie zmysłowe. Być ojcem, spłodzić dzieci, które odziedziczą po nim zamiłowania. A tymczasem któregoś dnia obudził się i stwierdził, że jego namiętności zniknęły, odebrane mu przez śmierć córki, przez niewierność żony, przez nienawiść do rzekomego syna. Miłości i obsesje ustąpiły miejsca czystym koszulom i bieliźnie pościelowej, wypastowanym butom i pożywnym bulionom. Świat przyjemności zamknął się przed nim, zasklepił jak strup na ranie. Catherine wyszła z pociągu bardziej wiotka, łagodniejsza, nieoczekiwanie piękna, a jego rana nagle się otworzyła. Antonio nie przyjechał i żadne z nich nie wspomniało o nim ani słowem. Stojąc na peronie, miał wrażenie, że jeśli jej nie dotknie, coś w nim rozpadnie się nieodwracalnie. Nieśmiało pogładził kołnierz płaszcza Catherine. Nic więcej. To wystarczyło. Czuł nadzieję i pożądanie - jak podczas pierwszych dni z Emilią. Catherine była dla niego nie kobietą, lecz światem. Mogła go ranić, kłamać, lecz nie było rzeczy, której by nie zrobił dla jednego jej czułego słowa, dla dotyku jej skóry, dotyku, w którym nie było miejsca na upokorzenie. Chciał zaryzykować. A wszyst-

ko dlatego, że wyszła z pociągu, trzymając klatkę ze szkarłatnym ptaszkiem, i przybywała do domu, niosąc delikatnie trzepoczące życie. Wreszcie czekał na kogoś, kogo znał po imieniu.

Mieszkańcy miasteczka widzieli, że do niego wróciła.

Uśmiechnęła się i zrozumiał, że jest dla niej gotowy na wszystko. Skórę miał wciąż miękką jak ircha. Był silny, szczupły. Ale nie młody. Od dawna czuł tylko rozgoryczenie, a teraz znów burzyła się w nim krew.

Catherine była skupiona, niemal smutna. Kanarek ćwierkał. Z powagą pocałowała męża w policzek i oto była w domu. Była domem.

W drodze powrotnej patrzyli na śnieg nadal zalegający na polach. Nie rozmawiali. Serce biło mu gwałtownie. Chciał zapytać o syna, lecz nie mógł się odezwać ani uczynić żadnego ruchu. Pragnął coś powiedzieć, skomentować różnicę między jej poprzednim przyjazdem, tak wstrząsającym, i dzisiejszym, tak spokojnym. Pragnął okazać czułość i bliskość, lecz nie potrafił wykrztusić ani jednego zdania. Muskał palcami małą bliznę na czole i spoglądał przed siebie.

W domu usiedli po dwóch stronach kominka. Miała na sobie nową suknię. Jej twarz nabrała nowego, czułego wyrazu.

Wiedział z góry, co usłyszy, ponieważ nie było z nią Antonia, i wyczuwał jej smutek.

— Nie jest twoim synem. Przysięga, że nim nie jest.

— A ty co myślisz?

— Ze muszą nam wystarczyć jego słowa. Więcej... nic więcej nie mamy. Twierdzi, że nazywa się Moretti, że jego rodzice prowadzą restaurację w Filadelfii. Twierdzi, że nigdy cię nie widział, nigdy o tobie nie słyszał, a najdalej na północ dotarł do Chicago. Malloy i Fisk uważają, że to zły człowiek, bez

skrupułów i zasad, bez poczucia przyzwoitości. Nie mogłam... nie można było więcej osiągnąć.

— Jak wygląda? Była ostrożna.

— Jak Włoch. Egzotycznie. Arystokratycznie.

— Z czego żyje?

— Gra na pianinie... w teatrze rewiowym, w marnym teatrze. Nie byłam tam. Lubi swoje zajęcie. Poszłam do niego, do jego mieszkania, przekonać go, by wrócił do domu. Odpowiedział, że to nie jest jego dom, nie rozumiał, o czym mówię. Mieszkanie ma przystrojone jak namiot cyrkowy. Ubiera się jak dandys. Malloy i Fisk uważają, że to człowiek pusty w środku. Śledzili go od miesięcy. Sądzą, że nie warto było się dla niego trudzić.

— A ty jak sądzisz?

— Myślę, że jest synem twojej żony i Morettiego. Nie wiem. Może być, kim zechcesz. Chyba kłamie. Myślę, że nie potrafi ci przebaczyć i nie wróci do domu. Nie teraz. Nigdy. Myślę, że to beznadziejna sprawa. Żałuję...

— Czego, Catherine?

— Ze nie zrobiłam więcej. Za pierwszym razem, gdy usłyszał twoje nazwisko, zobaczyłam coś, przelotny grymas, który go zdradził. Zrozumiałam, że kłamie. Dlatego poszłam do niego i zaproponowałam pieniądze. Rozmawiałam z nim godzinami. Mówiłam, że nigdy

sobie nie wybaczyłeś. Nic go to nie obchodzi. Dałam mu pierścionek, mój zaręczynowy pierścionek. Poprosił o niego, a ja się nie wahałam, ale zwrócił mi go ze śmiechem. On nie zmienia zdania. Nawet jeśli...

— Nawet jeśli?

— Nawet jeśli naprawdę jest twoim synem.

— Ty twierdzisz, że jest.

— Ja tak. Ale nie on.

— Andy.

— Tony. Takie nosi teraz imię.

— Poprosił o twój pierścionek?

— Tylko się droczył.

Widziała, że cierpi. Pragnął tego, co przerażało go najbardziej, więc ból był straszny, dużo gorszy niż przy zszywaniu rany głowy. Miała nadzieję, że uwierzył.

— Przeprowadzimy się do tamtego domu. W przyszłym tygodniu. A ten oddamy Larsenom.

— Nie musimy tego robić. Już nie ma powodu.

— Pałac czeka na niego od lat. Malloy i Fisk piszą, że Antonio jest chciwy, że ciągle potrzebuje pieniędzy. Wróci, gdy wszystko inne zawiedzie. Przeprowadzimy się i będziemy czekali.

Myślała o ogrodzie. O przestronnym hallu, o kryształowych żyrandolach i portretach nieznanych jej ludzi, myślała o przechadzkach w powłóczystej sukni po korytarzach. Wiedziała, że właśnie tego pragnie i że Truitt zdecydował się na przeprowadzkę ze względu na nią, teraz, gdy szanse na urzeczywistnienie jego pragnień zostały pogrzebane.

— Byłam tutaj szczęśliwa. Moglibyśmy tak żyć dalej. Zrobić krok naprzód.

— Myślę o dziecku. Nie chcę umrzeć bezpotomnie. Jeśli się zgadzasz. Jeśli Bóg pozwoli. Jeśli ty też tego chcesz.

— Oczywiście.

— To dom stworzony dla dzieci. Pełen niespodzianek, tajemnych przejść i... Sam byłem dzieckiem, gdy go budowałem, zepsutym, upartym i niemądrym dzieckiem. Zrobimy krok naprzód, tak jak powiedziałaś.

Podczas obiadu milczeli i tylko próbowali potraw. Larsenowa przynosiła i wносиła talerze. Catherine, choć głodna po tak długiej podróży pociągiem, szanowała cierpienie Truitta i prawie nic nie jadła. Jak mogłaby mu nie współczuć, wiedząc to, co wiedziała?

Nie umiał mówić o swoim nieszczęściu. Od dwudziestu lat nie zaznał radości bez domieszki goryczy, a teraz ugodzono go w samo serce. Jego utracony syn. Tak bardzo chciał coś ocalić z tamtej potwornej przeszłości.

A Catherine, siedząc nad stygnącą kawą, mimo litości nie mogła przestać o nim mówić.

— Widzieliśmy go. W restauracji. Słyszeliśmy, jak gra.

-Jak?

— Urzekająco. Smutno. Nie potrafię ocenić.

— Ty też grasz pięknie.

— Nie potrafię ocenić.

„Straciłem wszystko — myślał. — Odmawiałem sobie tak wiele, torturowałem się, zawsze robiłem to, czego ode mnie oczekiwano. Moje koszule są czyste. Moje postępowanie jest bez zarzutu. I nie ma to najmniejszego znaczenia”.

Patrzył na nią z coraz silniejszą miłością, ponieważ wróciła z rozspiewanym ptaszkiem w klatce, udręczony okrucieństwem, jakie okazywał temu chłopcu, który teraz, po latach, przeczył jego istnieniu. Był jak oniemiały.

Kawa wystygła. Zrobiło się późno. Na piętrze zapytał ją, czy nie wolałaby spać w swoim pokoju.

— Dlaczego?

— Na pewno chciałyś odpocząć po podróży.

— Jesteś moim mężem.

Szklanka z wodą stała na stoliku nocnym, prezent na dobranoc przyniesiony przez Larsenową, gdy oni zwlekali z wypiciem wystudzonej kawy. Wszedł do łazienki, by Catherine mogła przygotować się do snu, i długo klęczał na posadzce, oparty czołem o zimną umywalkę, aż gorączka opadła. Wrócił do sypialni, rozebrał się szybko i złożył ubranie - dla Larsenowej - a później odsunął kołdrę i zobaczył - pobudzony i poruszony — że Catherine po raz pierwszy leży w łóżku naga, czeka na niego, świadoma jego potrzeb.

Kochał się z nią gwałtownie, ku własnemu zaskoczeniu, ze strumykami potu spływającymi po plecach i klatce piersiowej, z ustami na jej ustach, z dłonią na łagodnej krzywiznie jej uda, z rozdygotanym ciężarem

wspartym na ramionach. Było to jak kąpiel w ciepłej wodzie, nie rozpalająca, lecz przynosząca ulgę, i był zadowolony, że sprawia jej przyjemność, zadowolony z działania, z własnego ciała, z zaspokajania tej kobiety, bez słowa, i na koniec był już tylko ruchem, pożądaniem, w którym ginęła nawet fizyczność, wszystkie codzienne sprawy i ból, nawet jej twarz i ciało, aż wreszcie napięcie jego zmysłów i bezgłośnie cierpienie stały się całym światem. Usłyszał jęk rozkoszy i przez moment odczuwał spokój, oddychał powoli, znieruchomiały, wyczerpany.

Trzymając Catherine w ramionach, odsunął jej z czoła kosmyk włosów. — Dziękuję — powiedział.

Odwróciła głowę i zrozumiał, że powiedział coś niewłaściwego. Coś, co dawno temu mówił prostytutkom w pokojach hotelowych. A przecież chciał powiedzieć coś innego - że ostatecznie złamano mu serce. Ale Ralph Truitt nie potrafił mówić o sercu. Dlatego jej podziękował i natychmiast poczuł żal, również z powodu łez, których nie umiał wylać. Pragnął zapłakać. Przez te wszystkie lata nie płakał, teraz więc nie znajdował łez. Ani dla siebie, ani dla Antonia, ani dla żony, która miała dźwigać straszliwe brzemie człowieka, jakim on się stanie. Będzie spała obok niego, bezradna, a on ją wreszcie za tę bezradność znienawidzi.

Cierpiał przez tego chłopca, który nie był nawet jego synem, i zastanawiał się, dlaczego mając tak wiele, mając Catherine, wciąż pragnie odzyskać Antonia. Nic nie mogło wynagrodzić mu tej straty. Zdradził go, jeszcze

dziecko, a przecież mógł kochać, obserwować, jak chłopiec przeobraża się w mężczyznę - mężczyznę, który zapewne zbuntowałby się przeciwko niemu i odszedł, lecz potem może wróciłby do domu jak w młodości Ralph, by prowadzić interesy, uczyć się produkcji, księgowania, zarządzania ludźmi, uczyć się ich historii, trudów, małych zwycięstw. Antonio. Andy. Tony Moretti. Obcy, lekkomyślny chłopiec, którego próbował sobie wyobrazić. Nieznany człowiek, którego bił w dzieciństwie. Syn jego żony. Syn marnotrawny, przed którym otworzyłby drzwi. Catherine spała u jego boku. Jej spokojny oddech napełniał powietrze słodyczą. Otaczała ich ciemność. Zona spała na połowie łóżka, która pozostawała pusta przez dwadzieścia lat. Jutro Larsenowa zobaczy świadectwo ich miłości, poplamioną pościel, i zrozumie, że nie jest już sam. Uśmiechnie się. Poczul wstyd. Tak wiele można zauważyć dzięki szczegółom. Usiadł i oparł stopy na podłodze. Drżał z zimna. Miał silne, gładkie ciało, ale nie był już młody. Zbyt wiele było za nim, zbyt mało przed nim. Przeczynał koniec w sercu, w kościach, w swoim wysilonym oddechu. Miał krew wzburzoną rozkoszą, a jego myśli krążyły wokół śmierci. Znajdzie się w ziemi, przy rodzicach. Znajdzie się w piekle, na zawsze z matką, na zawsze z igłą wbitą w miękką nasadę kciuka. Poczul, że teraz, gdy utracił Antonia, coś w nim umarło. Nie rozumiał tego. Miał przecież tak wiele. Dlaczego do tej jednej sprawy przykładał tak ogromną

wagę? Ogłoszenie w gazecie, żona będąca kimś innym, niż wcześniej sądził, detektywi, pieniądze i oczekiwanie: to wszystko z powodu syna, a teraz zrozumiał, że on nigdy nie wróci do domu.

Księżyc lśnił za oknem. Błękitnawe światło ślizgało się po szklance na nocnym stoliku i nagle poczuł okropne pragnienie, jakby rzeczywiście był bliski śmierci. Przytrzymał naczynie w dłoniach. Powąchał wodę i zamarł, lecz jedynie na sekundę. I wypił ją, wypił do końca, a już przy pierwszym łyku poznał — po słabym zapachu i smaku — że coś do niej dodano. Spojrzał na dno włoskiej szklanki. Spojrzał na piękną żonę, śpiącą spokojnie jak dziecko, oświetloną przez księżyc. Pomyślał o Florencji, o swojej leniwej młodości. Wiedział, że podano mu truciznę. I było mu wszystko jedno.

ROZDZIAŁ DRUGI

CZUŁ GO WSZĘDZIE. Arszenik. Proszek dziedziczenia, jak mówili starcy. W jedzeniu, w wodzie, na ubraniu. Na szczotce do włosów, gdy czesał się rano przed lustrem. Czuł jego zapach. Smak na języku, w gardle. Nie zawsze, nie codziennie, lecz wciąż w pobliżu. Utajony. Z początku działał pobudzająco. Poprawiał nastrój, pomnażał siły. Serce Ralpa biło mocno, regularnie. Cere miał promienną, włosy lśniące, oczy pełne blasku. Komentowano jego wygląd; osoby, które nigdy nie poruszały przy nim tematów osobistych, zapewniały teraz, że odmłodził o dziesięć lat. Uważały, że drugie małżeństwo mu służy. Powściągał rozpacz i zachowywał się jak dotąd. Był uprzejmy, serdeczny, sprawiedliwy dla pracowników. Wiedział, że umiera, a życzliwość była jedynym, co mu pozostało. Catherine okazywała mężowi wiele czułości. Słuchała go uważnie, a rozmawiał z nią często: o interesach, o swoich przedsiębiorstwach. Nigdy natomiast nie mó-

wił o Antoniu, nigdy nie powiedział, że ciężko mu na sercu. Nigdy nie powiedział, że pragnie umrzeć, lecz boi się długiej i bolesnej agonii. Chciał ją zapewnić, że wszystko będzie w porządku, że odziedziczy po nim cały majątek, bowiem gdy przebywała w Saint Louis, sporządził testament, nie wierząc w szansę przyjazdu Antonia — lecz nie potrafił. Wstrząśnięty tym, co zrobiła, nie umiał powiedzieć, że wie. Był zamieszany w jej intrygi. Był jej współnikiem.

— Nie miałem dotąd ani chwili spokoju. Przez dwadzieścia lat. Ani chwili radości. Dałaś mi je i jestem ci wdzięczny. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Siedzieli przy stole, już po obiedzie. Ujął jej dłoń.

— Zrobiłbym wszystko, żebyś była szczęśliwa. Dałbym ci wszystko. Powiedziałbym, cokolwiek pragniesz usłyszeć. Wiesz o tym.

Wierzyła w jego słowa.

— Czego jeszcze mogłabym chcieć? Nie pragnę niczego więcej. Myślałam, że się rozczaruję, że będę chciała uciec. Miałam trochę biżuterii, którą zgubiłam tamtego pierwszego wieczoru, gdy poniosły konie. Na wypadek gdybym musiała uciekać. Nie wiedziałam wtedy, że... Skąd to się wszystko wzięło? Ze zwykłego ogłoszenia w gazecie!

Zaśmiała się, a jej śmiech przypominał dźwięk wody spadającej z wysoka. Ralph z rozbawieniem myślał o swojej głupocie.

— Mogłem wybrać kogoś innego.

— A ja mogłam przysłać własną fotografię, nie fotografię Indii, i wtedy byś do mnie nie napisał. Dużo miałeś kandydatek?

— Dziesiątki. Wszystkie cnotliwe. Niektóre owdowiałe. Czasami młode, prawie dzieci. Młodsze od ciebie. Spragnione łatwego zysku.

— Dlaczego wybrałaś właśnie mnie?

— „Jestem prostą, uczciwą kobietą”. Tak napisałaś. Prosta, uczciwa twarz. Wiedziałem od razu. I nie szukałem nikogo więcej.

— To nie była moja twarz.

— Rzeczywiście. Nie twoja.

— Żałujesz swojej decyzji?

— Nie. Już nie.

— A co zrobiłeś z tamtymi listami? Od innych kobiet?

— Usypałem z nich stos i spaliłem na podwórzu. Przeprowadzili się do pałacu. Truitt urządził w nim nowoczesne łazienki — w prezencie ślubnym dla żony. Założył również instalację elektryczną i posłał do Chicago po lampy. Podłączył do elektryczności żyrandol w hallu. Wymienił sprzęt kuchenny Larsenowej, chociaż zapewniała, że nie trzeba jej nowoczesnych wymysłów. Reszta pozostała bez zmian. Załadowali na wóz stylowe meble z farmy i przewieźli przez las do złocistego *palazzo*: wróciły na swoje miejsce sprzed dwudziestu lat. Truitt oddał farmę Larsenowi, przepisał na niego akt własności.

Udało im się ożywić dom. Siadywali razem przy końcu długiego stołu w pokrytej freskami jadalni, przy trzaskającym ogniu, podczas gdy na zewnątrz zawodził wiatr, i cicho rozmawiali - o miłości i sprawach praktycznych. Catherine przebierała się do obiadu. Grała Ralphowi na fortepianie. Czytała Whitmana w żółtym salonie, przy ogromnym kominku.

Wydawali przyjęcia, uroczyste kolacje dla wybranych - ludzi, którzy szukali poparcia Truitta. Odwiedzali ich lekarze, prawnicy i sędziowie z milczącymi małżonkami. Raz przyszedł nawet gubernator. Potrzebował pieniędzy i się nie zawiódł. Spotkania nie były ciekawe, za to jedzenie doskonałe.

Starannie wybrali sypialnię: nie tę bogato zdobioną, należącą do Emilii, lecz przestronny pokój o błękitnych ścianach, również z widokiem na otoczony murem ogród. Przenieśli tam wielkie łoże odziedziczone przez Ralpha po ojcu. Wieczorem opierał głowę na miękkich poduszkach, kanarek śpiewał słodko, a Catherine, siedząc przy oknie, opisywała cuda, jakie rozkwitną z nadejściem lata: róże, klematis, kalie, wesołe ciemnookie margerytki.

Wymieniała łacińskie nazwy, których nauczyła się w bibliotece. Mówiła o zapachu, jaki napłynie z nocnym powietrzem przez otwarte okna. Barwnie odmalowywała każdy liść, każdy kwiat, Ralph zaś leżał z zamkniętymi oczami i zastanawiał się, czy dożyje tego czasu. Ogród z jej opowieści był czarujący. Był ogrodem, którego nie potrafiła stworzyć Emilia, z braku dostatecznej cierpliwości lub wiedzy.

Catherine poprosiła Larsena, by przekopał się przez śnieg i odsłonił pozostałości roślin zaniedbanych od dwudziestu lat, a potem patrzyła w zimnym blasku księżyca na splątane bezlistne pędy i przewrócone posągi, na pustą oranżerię i cieplarnię, w której rosły kiedyś drzewka cytrynowe. Opowiadała Ralphowi o tym, jak przywróci tej ziemi życie. Opowiadała o długich popołudniach spędzanych w czytelni, o odkrywanych tam światach. Dom chronił ich przed śniegami późnej zimy. Nocami Ralph leżał przy żonie i nie mógł uwierzyć, że jego pragnienia są tak silne, podczas gdy ciało przenika trucizna, a tęsknota za Antonien! staje się nie do zniesienia.

Pałac był za duży dla Larsenowej, zatrudnili więc do pomocy jeszcze dwie dziewczyny z wioski i chłopaka, tak że wszędzie panowała czystość i mieli dość drewna, by wieczorami utrzymywać ogień we wszystkich kominkach.

Pod koniec lutego buchalter Ralpa postradał rozum i bez żadnego powodu zamordował żonę, z którą przeżył dwadzieścia osiem lat. Truittowie uczestniczyli w pogrzebie, stali na cmentarzu ubrani na czarno, podczas gdy dorosłe dzieci płakały z żalu za matką.

- Dlaczego ludzie robią takie rzeczy? Takie potworne rzeczy? - pytała Catherine, gdy wracali powozem do domu.

- Nienawidzą swojego życia. Zaczynają nienawidzić siebie nawzajem. Odchodzą od zmysłów, spragnieni tego, czego nie mogą zdobyć.

Ralph był obecny na krótkiej rozprawie. Buchalter lamentował i rwał na sobie ubranie. Dzieci patrzyły na niego ze zgrozą i nienawiścią.

Ralph jednak rozumiał. Wiedział, że pewnego dnia można obudzić się bez rozsądku, bez zdolności odróżniania dobra od zła. Zdarzały się takie rzeczy. Zimy były zbyt długie, krajobraz zbyt ponury. Przyczyny nieznane, skutki nie do przewidzenia.

Buchaltera posłano do zakładu dla obłąkanych, gdzie codziennie opłakiwał żonę i czekał, aż go odwiedzi.

Truitt chciał wierzyć, że Catherine trucizną pragnie obudzić w nim wigor, tak jak handlarz koni podający zwierzęciu zakazane środki, by połyskiem sierści i ognistością spojrzenia zwabiło kupca. Może przywiozła arszenik z Saint Louis, z chińskiej dzielnicy, z zamiarem podsuwania mu maleńkich dawek przywracających młodość? We Florencji sam dzięki nim uprawiał miłość godzinami, leczył się też arszenikiem z trypra, którego złapał pewnego lata. Czuł wtedy rozkoszne oszołomienie. A więc to możliwe.

W łóżku dorównywała mu zapalem. Nie obchodziło go, że biegiem technik miłosnych zaprzecza obrazowi misjonarki. Była lubieżna, bez zahamowań, jak kobiety, za którymi uganiał się w młodości. Kochał ją, pragnął jej, a ona nigdy nie odmawiała. Wyjechała do Saint Louis nieśmiała i chłodna, w brzydkiej sukience, a wróciła zmieniona, bardziej skłonna do uśmiechu z elegancką, chociaż niewyzywającą garderobą w dobrym guście, ka-

żącą myśleć o pieniądzach dziedziczonych z pokolenia na pokolenie - osoba, jakiej nie spodziewał się spotkać.

Co wieczór walczył z sobą, by doczekać nocy. Zmagał się z sobą, prowadząc rozmowy, unikając jej spojrzenia, słuchając jej głosu, gdy czytała mu wiersze, zmagał się z sobą, gdy siadała do fortepianu i gdy grali w karty, a Larsenowa zabierała naczynia.

Co noc Catherine leżała w jego ramionach, co noc spływający z niego pot gromadził się między jej piersiami. Przynosiła lnianą ściereczkę i delikatnie osuszała mu plecy, klatkę piersiową, nogi i stopy. Co noc spała obok niego, a on co noc pił do dna swoją wodę ze szklanki. Była przy nim, gdy budził się z niespokojnych snów.

Trucizna. Trucizna rozkoszy, która - jak przeczuwał od dzieciństwa - przyprawi go o śmierć. Matka wiedziała. Nie zapomniał, nadal miał na palcu bliznę. Trucizna, którą matka dostrzegła w nakrapianych tęczęwkach jego oczu, nim po raz pierwszy spojrział na nagie kobiece ciało. Śmiertelny grzech. Śnił o kobietach. Życie zmysłowe z dalekiej przeszłości powracało do niego w snach z misternymi szczegółami, cudownie odurzające. Nawoływały go głosy. Leżał nagi na łące, wiatr wicherzył włosy młodej dziewczyny leżącej przy nim w rozpiętej sukni, światło igrało na jej piersiach, które trzymał w dłoniach. Leżał na dziedzińcach, w ogrodach, a fontanny pluskały pośród posągów, powietrze upajało zapachem gardenii, jaśminu i roz-

marynu, a łagodne kobiece głosy szeptały mu do ucha, kobiece palce muskały jego ubranie, ostre kobiece paznokcie wbijały mu się w skórę na plecach. Śnił, a jego źrenice wędrowały pod powiekami.

Śnił o mężczyznach, którzy nie byli nim, oraz o nieznanym mu kobietach. Śnił o matce i ojcu zagubionych w milczącej, bezmiłosnej namiętności, która go stworzyła. Śnił o mężczyznach i kobietach z miasteczka, tak pobożnych, surowych, tajemniczych i płodnych. Śnił o młodych kochankach i o pierwszym pocałunku, o pierwszej wstążce rozwiązywanej drżącymi, niewprawnymi dłońmi przy wodospadzie, przy strumieniu, w miejscach, które zapamiętał.

Śnił o przyjęciach z wytwornymi mężczyznami i kobietami sprzed dwudziestu, czterdziestu lat, on sam zaś był dzieckiem między dorosłymi. Widział śmiech, przyjemność i nieme świadectwa zaspokojonych pragnień. Nigdy nie spotkał tych ludzi. Nie rozpoznawał ich domów. Były ogromne, z niekończącymi się szeregami otwartych na przestrzał pokoi. Widział nieustanny ruch, przechodzenie z radości w radość, od partnera do partnera, od partnerki do partnerki. Goście mieli promienną cerę i dźwięczne głosy, a on był nimi oczarowany. W tych snach - w których niekiedy oglądał matkę i ojca szczęśliwych - nie uprawiał miłości, lecz w powietrzu czuł czyste, niczym nieskrepowane pożądanie — i sam się nim stawał. Nigdy nie śnił o Catherine. Nigdy nie śnił o Emilii. Widział za to w snach Antonia z jedną kobietą po

drugiej. Budził się wtedy zawstydzony, lecz także pełen tęsknoty. We śnie czuł zapach kwiatów. Zapach migdałów. Zapach własnego umierającego ciała.

Przed świtem otwierał oczy, zagubiony, i dostrzegał zaniepokojoną Catherine.

- Źle spałeś. Rzucałeś się.

- To tylko sen.

- Śniłam ci się?

- Nie.

Nieistotne, że włosy miała potargane, oddech nieświeży, koszulę owiniętą wokół kolan. Nieistotne, kim była, kogo udawała.

Nieistotna była potworność, którą postanowiła popełnić.

Wynurzał się ze snu i brał ją w ramiona, pragnąc więcej, niż mogła mu dać którakolwiek kobieta, a otrzymując więcej, niż kiedykolwiek oczekiwał.

Wiedział, że ten cudowny nastrój oraz piękne sny o pożądaniu i łatwym spełnieniu są chwilowe. Pobudzające działanie trucizny wkrótce minie i zacznie się groza umierania - jeśli tego rzeczywiście pragnęła Catherine. Ale wizja śmierci go nie przerażała. Nie zamierzał powstrzymać żony. Kochał ją, ona pragnęła jego śmierci, on stracił syna - a więc dobrze. Po to spędził dwadzieścia lat w samotności, by zobaczyć, co się wydarzy. Jak to się wszystko skończy.

- Przed twoim przybyciem życie było straszne.

- Przecież masz tak wiele.

- Mam to, co zostało po wyrządzonych przeze mnie krzywdach: po żonie, dziecku... dzieciach.

-Nie możesz się obwiniać. Ona potraktowała cię podle.

-Nie mogła inaczej postąpić. Potraktowała mnie podle, bo byłem ślepy, bo chciałem być podle potraktowany. To nie jej wina. Zachowywałem się bezmyślnie.

- Byłeś wielkoduszny.

- Prawie zabiłem syna.

- Ale on...

- Był jedynym synem, jakiego miałem. Był synem... w wystarczającym stopniu. I niewinnym dzieckiem. Jak Franny. Niewinnym i głupim.

- Ten chłopak w Saint Louis... Tony Moretti. -Tak?

- Może zmieni zdanie. Co, jeśli on jest twoim synem? Tak. Myślę, że nim jest.

Ujął jej dłoń. Patrzyli na siebie nad białym obrusem.

- W takim razie jest kłamcą. Nie zmieni zdania. Już na to za późno.

Zrobił przecież tak dużo. Zatrudnił detektywów, żeby znaleźli jego syna. Zamieścił bezwstydną anons w gazetach Chicago, Saint Louis, San Francisco i Filadelfii, otrzymał tyle listów, odpowiedział na nie i dokonał wyboru. Syn okazał się urojeniem. A na Cathenne - teraz już wiedział - czekał od dnia, w którym wygnał Emilię. Trucizna. Sam zgotował sobie takie życie i nie zamierzał walczyć, wpływać na bieg zdarzeń.

— Co będziesz dzisiaj robić?

— Rozleniwiłam się jak kot. Poczytam. Coś uszyję. Zapytam Larsenową, czy nie mogłabym jej pomóc w domu, a ona powie, że nie. Będę na ciebie czekać.

— I podobają ci się takie zajęcia?

— Niczego więcej nie pragnę.

Gdy się kąpała, szukał trucizny. W koszyku z robótką. W kieszeniach jej sukien. Przeglądał skromną zawartość toaletki. Niczego nie znalazł. Traktował to jak zwariowaną grę, jak poszukiwania wielkanocnego jajka, i w zasadzie nie zależało mu na zwycięstwie. Po prostu czuł, że powinien się rozejrzeć. Nigdy by jej nie oskarżył, oczywiście, bez względu na wynik śledztwa. Budził się wzburzony, zdenerwowany i próbował coś znaleźć, cokolwiek, co dowodziłoby słuszności jego podejrzeń — chociaż nie wątpił, że są słuszne. Tak czy inaczej, było to bez znaczenia. Mogła robić, co chciała. Pragnęła, jak przypuszczał, wszystkiego dla siebie: domu i pieniędzy, a dałby jej to przecież, dałby wszystko, gdyby poprosiła.

Larsenowa mówiła, że w ciągu dnia Catherine krąży niespokojnie po pałacu, zapewne znudzona i samotna w wielkim domu. Teraz, po ślubie, nic nie stało na przeszkodzie, by jeździła do miasteczka, na zakupy lub w odwiedziny. Rzadko jednak wychodziła, chyba że do uśpionego ogrodu. Czasem spacerowała po drodze w topniejącym śniegu, zaglądała tu i ówdzie, jakby czegoś szukała, lecz zawsze wracała z pustymi rękami.

W końcu Larsen znalazł jej zgubę. Idąc do domu z upolowanymi królikami na ramieniu, spojrzał pod no-

gi, zobaczył coś połyskującego w błocie, podniósł świecidełka i potarł palcem, aż roziskrzyły się w słońcu. Beztrąsko depreczając francuski dywan, wszedł w zabłoconych butach do salonu, w którym Catherine siedziała przy fortepianie. Podał jej klejnoty na wyciągniętej dłoni.

- O to chodziło, prawda? Tego pani szukała?

- Tak. To już nieważne. Ale dziękuję. Nosłam je kiedyś. Gdzie indziej.

Zanim zapadł zmrok, Truitt dowiedział się o tym od Larsenowej, nie zadawał jednak pytań, nie oglądał klejnotów. Kobięce ozdóbki, rubiny czy szkło - wszystko jedno.

Pewna wdowa w miasteczku zażyła strychninę. Trucizna sparzyła jej krew i żółć popłynęła z ust kobiety leżącej na kuchennej podłodze, obok stołu, na którym stygło upieczone ciasto. Młody człowiek wrzucił swoją jedyną córkę do studni i zapalił papierosa, gdy tonęła. Zdarzały się takie rzeczy.

Ralph nie uczestniczył w pogrzebach, nie chodził do sądu. Nie mógł znieść myśli o przebywaniu w tłumie. Nie mógł znieść myśli o ciekawskich spojrzaniach. Miał wrażenie, że zima będzie trwała wiecznie. Każdego popołudnia niecierpliwie czekał na wyjście z biura. Czuł się bliski szaleństwa, dopóki nie usiadł przy długim stole, wsłuchany w kojący głos młodej żony.

Każda śmierć była śmiercią Antonia, każda zbrodnia - zniknięciem tego chłopca. Płakał podczas powrotu do domu. Płakał po przebudzeniu. Tylko Catherine mogła go uspokoić.

„Zdarzają się takie rzeczy” - myślał, patrząc na drogę załamionymi oczami. Zimy były długie, życie trudne, dzieci umierały, religia budziła strach, a on płakał nad tymi nieszczęsnymi ludźmi i nad Antoniem. Nad własnym dzieckiem w studni. Płakał, ponieważ nie było sądu, nie było kary, niczego, co mogłoby uchronić tego chłopca przed strasznym gniewem ojca. Antonio uciekł, zaginął w okrutnym świecie, a on wyszedł z tego cało, jechał w czystym ubraniu do domu, gdzie czekała na niego piękna żona z trucizną.

W środku nocy wstała, żeby zmienić pościel. Prześcieradła rozpostarły się jak skrzydła wielkich ptaków. Wygładziła je, wepchnęła poduszki do poszew i ułożyła w stos, poduszkę za poduszką, na szerokim łożu.

W koszuli nocnej wsunęła się pod przykrycie, zostawiając dla Larsenowej zużytą bieliznę w komodzie, a on oparł głowę na poduszce i spoglądał na spokojną, piękną twarz żony. Wydawała się taka daleka. I taka bliska.

Serce biło mu mocno. Sięgnął pod koszulę i położył dłoń na jej udzie.

— Wiem, co robisz. Wiem, co się ze mną dzieje.

— Co...

— Nic nie mów. Nigdy więcej o tym nie wspomnimy. Chciałem tylko, abyś wiedziała, że wiem i że nie mam żalu.

Znieruchomiała. Oczy miała szeroko otwarte. Rozmawiali szeptem.

— Nie rozumiem, o czym mówisz.

— Obiecay mi tylko jedno. Ze się postarasz, aby to trwało jak najkrócej. Czekałem długo, żeby zobaczyć, co się wydarzy, a teraz wiem i nie mam do ciebie żalu, ale niech to się skończy szybko. Nie chcę cierpieć.

— Jesteś zmęczony. Spij. Nie rozumiem, o czym mówisz. Nigdy nie pozwolę ci cierpieć.

Czuł pulsowanie krwi wewnątrz jej uda. Widział, jak odwraca wzrok, patrzy na księżyc. Potem zasłoniła mu oczy i zaczęła szeptać, jakby uspokajała dziecko, które miało zły sen.

— Już więcej nic nie powiem — dokończył. — A ty zrobisz, co zechcesz.

— Nie wiem, o co ci chodzi. Ja cię kocham.

Nie powiedziała tego nigdy wcześniej. Przez ponad dwadzieścia lat nikt tak do niego nie mówił. Wierzył w jej słowa. Kochała go i sprowadzała śmierć, kończyła jego udękę. Była aniołem zagłady. A on miał dla niej tyle miłości.

Catherine nie chciała patrzeć na agonię męża. Myślała ze zgrozą o jego cierpieniu, bezsilności, o wszystkim, co miało się zdarzyć. Nie zapomniała jednak, że lada dzień może nadejść list, który przyniesie jej zgubę. Tak, obiecała sobie kiedyś miłość i pieniądze, lecz powoli nabierała przekonania, że jeden człowiek nie może mieć naraz obu tych rzeczy, a nie zamierzała pozwolić, by ją zniszczono. Antonio ostrzegał, że skończy w rynsztoku. Sposepnieje i zbrzydnie, później umrze. Ale teraz mogła i musiała przetrwać.

Jakiś mężczyzna zjadł słownik, od pierwszej do ostatniej strony, i umarł. Larsen, na oczach krzyczącej żony, siekierą odrąbał sobie poparzoną dłoń, sądząc, że niegojąca się rana jest pocałunkiem diabła, znamieniem grzechu. Jako piętnastolatek walczył w wojnie secesyjnej i wrócił do domu nawet bez zadrapania. Teraz — zaśliniony, obłąkany, bez ręki — leżał w drogim katolickim szpitalu, opłacanym przez Truitta. Larsenowa przestała mówić o mężu. Zdarzały się takie rzeczy.

Catherine Land, młoda mężatka z Wisconsin, postanowiła otruć małymi dawkami arszeniku kochającego męża, którego miłość ku swojemu zaskoczeniu odwzajemniała. Człowieka, który ją ocalił przed ubóstwem i rozpaczą.

Zdarzały się takie rzeczy.

ROZDZIAŁ TRZECI

ZIMNO. BEZ PRZERWY MI ZIMNO - mówił Ralph Truitt, drżąc wieczorami przy kominku. Catherine się wahała. Brała kroplomierz i czuła, że nie, nie potrafi doprowadzić tego do końca. Przez tydzień nie sięgała po truciznę. Ralph był porządnym człowiekiem, uczciwym, przyzwoitym, dobrym, i nie zasługiwał na coś podobnego. Po raz pierwszy rozumiała niejasno, że dobroć jest czymś osiągalnym. Wcześniej nigdy o tym nie myślała. Nie zastanawiała się. A teraz ją to dręczyło. Mogła jeszcze zmienić decyzję, może nawet musiałyby ją zmienić, lecz myśl o Antoniu była jak wisząca nad głową pętla. Jego groźby mogły się spełnić. Jeden list i nastąpiłaby katastrofa. A poza tym kochanek wciąż był jej miłością - jedyną miłością, nim poznała Ralpa.

Miłość, nawet niedobra, była dla Catherine kuszącą przynętą. Chodziło przecież tylko o kroplę w szklance

wody, w zupie, na szczotce do włosów, kroplę prawie bezwoną. Wiedziała, co czeka męża, wiedziała, jak bolesną będzie miał śmierć, ale nie mogła się już wycofać.

Tak jak obiecał, nie mówił o tym więcej. Nie prosił jej o nic, nie skarżył się. Był tylko bardziej niespokojny. Piękne sny zmieniły się w koszmary.

O drugiej lub trzeciej nad ranem, zlany potem, budził się nagle, a ona go osuszała i przykrywała kocami, pod którymi leżał bezsennie do świtu, dygocząc z zimna. Kładła dłoń na jego rozpalonym czole, pełna czułości, jakiej nie miała dla żadnego mężczyzny.

Schudł. Ubrania parzyły mu skórę, a dźwięki drażniły uszy.

Pewnego wieczoru cicho zacytował wiersz:

Pogrążeni we śnie

Całą noc błąkam się po mej wizji,

Kroczę lekkimi stopami, szybko i bezszelestnie,

idę i zatrzymuję się, Z otwartymi oczami nachylam się

nad zamkniętymi oczami uśpionych, Wędruję zagubiony, obcy samemu sobie,

skłócony i sprzeczny, Przystaję, popatruję, nachylam się i zastygam.

Nie rozumiała, co Ralph ma na myśli. W jego głosie nie było wyrzutu. Uznała zachowanie męża za początek

otępienia, które wkrótce częściowo odbierze mu świadomość. Przygnębienie, chorobliwa niemoc, a wreszcie śmierć. Czytała o tym w bibliotece. Wiedziała, co go czeka: otwarte rany, przywidzenia, które zabarwią mu świat na żółtozielono, ropne krosty, zapadnięte oczy, chudość. Wiedziała i sądziła dotąd, że jest przygotowana.

— Dzieje się coś złego — mówiła Larsenowa. — Widywałam już różne choroby, najróżniejsze, w miasteczku i... i poza miasteczkiem, ale takiej nigdy.

Obserwowała bacznie swoją panią.

— Nie wiem, co to może być — powiedziała Catherine. — Poślijmy po doktora.

Wiedziała, że lekarz nie będzie niczego podejrzewał. Każdy mężczyzna w wieku Truitta mógł dostać egzemy. Wysypki. Zacząć łysieć. Mieć urojenia, nadwrażliwy słuch, dzwonienie w uszach. Mógł zachowywać się nieracjonalnie. Każdego mogło to spotkać. Zdarzały się takie rzeczy. A Truitt, tak czy inaczej, nie chciał lekarza. Nie był nieszczęśliwy. Odślaniał pierś przed żoną — tym pięknym, śmiercionośnym pajakiem, na którego czekał przez lata.

Larsenowa nie spuszczała oczu z Catherine. Truitt był jej życiem i czuła, że owo życie wymyka się nieuchwytnie. I wiedziała, że to coś przeciwnego naturze.

Ralph skórę miał tak podrażnioną, że raniło go muśnięcie najcieńszej koszuli. Sypiał nago w pościeli, którą Larsenowa zmieniała teraz codziennie.

Nie mógł znieść dotyku ciała Catherine, lecz jego pożądanie nie słabło. Skóra go paliła, pościel kaleczyła jak zamrożone pokrzywy. Obawę, którą odczuwał przed nocą, mogła złagodzić tylko zmysłowość. Łagodnie uczył Catherine, jak na odległość dawać mu rozkosz.

Spełniony, zasypiał, lecz budziły go koszmary. Siadał na skraju łóżka, dygocząc z zimna i płonąc od świą-du. Rozpuszczała wtedy włosy i muskała nimi jego ramiona i plecy, aby ukoić swędzenie. Owiewała go jedwabistymi włosami jak oddech, a on zamykał oczy, bezwolny, jakby był jej dzieckiem. Pławił się w czułości swojej żony.

Nie rozumiał smutku Catherine. Cierpienie nie było jej udziałem. A on przecież pragnął śmierci. Myślał o życiu odchodzącym wraz z domami, przedsiębiorstwami, ludźmi, wspomnieniami, które przechowywał od pięćdziesięciu lat. Same ciężary. Zrzucając je, czuł się lekko, choć nie opuszczała go wizja Antonia, wizja nieznanego mu twarzy, której już nie zobaczy. Nie czuł jednak przygnębienia, już nie. Catherine natomiast wydawała się pogrążona w bólu, lecz nie potrafiła mu o tym powiedzieć, on zaś nigdy nie pytał, zastanawiał się tylko. Prowadziła go jak ślepcę do łóżka, okrywała miękką kołdrą i czuwała, gdy zasypiał. Zabijała go, troskliwie pielęgnując.

- Żelazo i ropa naftowa - mówił. - Bawełna i tkalnie. Linie kolejowe. Pola pszenicy w Kansas.

Pokazywał jej imperium, które miała odziedziczyć. Tracił pieniądze, tracił je codziennie, on, który spędził życie na ich zdobywaniu, a teraz nie dbał o nie ani trochę.

- Kocham cię - mówił, pieścąc jej piersi. - Musisz się dużo nauczyć. Czuwać nad wszystkim. Będziesz musiała o tyle spraw się zatroszczyć. Dziękuję.

Jego podziękowanie miało teraz inny sens.

Siadał w półmroku przestronnego salonu i myślał o zabijaniu. Śnił o zamordowaniu Catherine. Martwił się, że odbierze życie Larsenowej lub jakiemuś niewinnemu mieszkańcowi miasteczka, chociaż rzadko już bywał w Truitt.

- Boję się.

- Czego?

- Ze zabiję Antonia, gdy wróci.

- Nie wróci — mówiła cicho Catherine.

Larsenowa odchodziła od zmysłów z niepokoju i podejrzeń. Nie wpuszczała Catherine do kuchni. Przyrządzała Truittowi rozmaite potrawy, jedzenie, które lubił od dzieciństwa. Nie jadł. Nalegała, by wezwał lekarza. Nie wylała ani jednej łzy nad Larsenem, nie wspominała o nim nigdy, lecz na pokryte pęcherzami dłonie Truitta nie mogła spojrzeć bez płaczu. Ralph mimo błagań nie zgadzał się na lekarza. Wreszcie Catherine pojechała po doktora do miasteczka. „Rak - powiedział. - Rak krwi, kości i mózgu. Wszędzie rak. Rak wywołany wdychaniem oparów w fabryce. Jest w nich duże stężenie arszeniku”. Widywał rozkład ciała, posocznice wśród robotników Truitta, mężczyzn, którzy umierali w wieku trzydziestu pięciu lat, zosta-

wiając żony i dzieci, nie był więc poruszony. „Proszę przygotować się na najgorsze — powiedział. — Przygotować się i czekać”. Dał Ralphowi morfinę.

— To rak — powtórzyła Larsenowej Catherine. — Musi mieć spokój. Trzeba zapewnić panu spokój i czekać. Nic nie da się zrobić.

— Nie wierzę temu lekarzowi — odparła Larsenowa. — Z panem coś się dzieje. Coś przeciwnego naturze.

Jej życzliwy stosunek do Catherine przerodził się w nieufność. Była bezradna. Truitt nie jadł jej potraw. Nie był w stanie usiąść do stołu.

Zaczął jeździć do kościoła. Do różnych kościołów. Czuł lęk przed ludźmi, przed ich wzrokiem, dotykiem, lecz jeździł wytrwale. Catherine, ubrana w prostą sukienkę, towarzyszyła mu pośród kalwinistów, luteranów, swedenborgianów, pentekostalistów i poskramia-czy węży¹. Kaznodzieje, widząc twarz Truitta pokrytą pęcherzami, nie straszili ogniem piekielnym, lecz mówili łagodnie o mocy miłości. Ogień już się wypalił, pozostało jedynie miłosierdzie. Ralph mimo bólu siedział wyprostowany w ławce, a po nabożeństwie rozmawiał serdecznie z sąsiadami i pracownikami. Nie dotykano go. Nie wspomniano, że źle wygląda. Powrót powozem trzęsącym się na poślubionych koleinami drogach był męką. Truitt bał się, że spłoszone konie poniosą. Jak kiedyś.

¹Mowa tutaj — podobnie jak na s. 16 - o praktyce poskramiania węży charakterystycznej dla niektórych Kościołów zielonoświątkowych (przyp. red.).

Nocą budził się w sypialni pełnej umarłych. Byli tam matka, ojciec, Emilia i słodka Franny. A także Larsen z krwawym kikutem. Pośrodku stał Antonio z oczami białymi jak marmur, z pozbawioną wyrazu twarzą. Truitt wołał zmarłych po imieniu, jak gdyby mogli wyjawić mu swoje tajemnice.

Słyszał głos poety:

Pogrążeni we śnie

Wydaje mi się, że każda istota, jeśli żyje w słońcu i oddycha, powinna być szczęśliwa. Każdy, kto nie spoczywa w trumnie i czarnym grobie, niechaj wie, że niczego mu więcej nie trzeba.

Catherine też się budziła. Krążyła po sypialni, podnosząc ręce jak białe skrzydła, z koszulą nocną wydymającą się wokół nóg, aż zmarli odchodzili, pozostawiając po sobie tylko błękitnawe światło księżyca. Wtedy Ralph na jakiś czas zasypiał.

Co wieczór wypijał swoją wodę, a ona odwracała wzrok i płakała. Miał poczucie utraty, ogarniał go głęboki smutek, lecz nigdy o tym nie mówił.

W niektóre dni nie odzywał się godzinami. Wędrował po pokojach, brał do ręki rozmaite drobiazgi i przyglądał im się w słońcu, próbując sobie przypomnieć ich przeznaczenie i historię. Pytał ją o nazwy przedmiotów. Pytał, skąd pochodzą. Nie wiedziała. „Z Europy” - mówiła. „Z Włoch”. „Z Limoges”.

Schowała truciznę. Potem znów wyjęła. Chciała iść do lasu i wyrzucić arsenik tam, gdzie zabójczej substancji nie znajdzie żadna żywa istota. Lecz nadal go przechowywała w niebieskiej fiolce z chińskim napisem.

Wiedziała, że jeszcze może się zatrzymać. Trucizna zaniknie. Pozostanie słabość, wychudzenie, blizny po pęcherzach. Ralph przeżyje, choć i tak umrze przedwcześnie. Ale przynajmniej nie teraz. Nie na jej rękach, nie w kąpielni, gdy ona obmywa jego obolałe ciało. Nie w męczarniach. Był moment, w którym można się było zatrzymać, i moment, po którym nic już nie dało się zrobić. Wiedziała, że to niedługo, a jej rozpacz narastała, ilekroć Ralph zapomniiał jakiejś nazwy lub nagle zerwał się z jednego krzesła, by usiąść na drugim.

Larsenowa obserwowała ją z nienawiścią, instynktownie czując, że to Catherine odbiera życie Truittowi, tak jak niegdyś Emilia. Ralph jednak nie wątpił, że winna jest jego młodość.

Luxe, calme et volupte — napisał poeta, a Truitt zrozumiał to jako życie wypełnione rozkoszą, życie, w którym liczą się piękno i doznania zmysłowe, życie chwilą. Gdy zdradziła go Emilia, gdy umarła Franny, ślubował skończyć z pobłażaniem swoim słabościom. Przestał pić alkohol, był uczciwy, ale niczego się nie nauczył. Kochał Catherine z dawną zmysłowością, pragnął Antonia, jak mógłby pragnąć kochanki. Zapomniiał o truciznie. Sądził, że to on sam zaraził się chorobą, ohydą cielesną chorobą swojego dzieciństwa, chorobą śmiertelną, która teraz, po latach utajenia, wreszcie go dopadła.

Nieporadnie okazywał czułość tej części siebie, która wciąż żyła, a dawniej była nim całym. Pochylał się nad nią jak nad niemowlęciem. Niegdyś rozmawiał i chodził jak inni, czuł się wygodnie w swoim ubraniu, trzymał kobiety w ramionach. Był ojcem. Jego dziecko straciło rozum. Był mężem. Zona go uwiodła swoją urodą i zniszczyła mu życie. Nie pamiętał jej twarzy. Od dwunastu lat nie widział Antonia. Co się z nim stało? Jak wygląda ten chłopiec, teraz mężczyzna? Godzinami -jak roślina szukająca światła - zwracał umysł ku pytaniom, na które nie było odpowiedzi.

Przeniósł się do starego domu, do Larsenowej. Sypiał w pokoju z dzieciństwa, na wąskim żelaznym łóżku pod skośnym dachem, z pojedynczym okienkiem wychodzącym na gwiazdy. Bał się duchów krążących po pałacu.

Budził się co rano, pragnąc żony, i wracał do niej przez las, ofiarowywał jej swoje dni, by mogła cierpliwie przypominać mu wszystko, o czym zapomniał, karmić go łyżką i kapać w gorącej wodzie. Wracał, by mogła wstrzykiwać mu morfinę i umieszczać truciznę w jedzeniu, na szczotce do włosów, na ubraniach, których dotyku nie mógł ścierpieć. Niekiedy rozumiał, co się z nim dzieje. Na ogół jednak nie pamiętał, czego doświadcza przez Catherine. Nie znajdował w niej żadnej winy.

Po obiedzie i wieczornej lekturze przy ogniu, gdy owinięty w szale i pledy odjeżdżał do starego domu, wieziony ostrożnie przez Larsenową, która patrzyła

na nią z nienawiścią, ona, Catherine, szła w ciemności przez pola i las. Zakradała się na farmę i siedziała pod jego drzwiami do rana. Jeśli się zbudził, trzymała go za rękę, masowała mu czoło, wymieniała po imieniu zmarłych i żywych, którzy zapełniali jego noce. I codziennie, zanim wzeszło słońce, otulała się płaszczem i wracała do drugiego domu, by przespać godzinę przed powrotem męża — zagubionego, bezradnego, niewiedzącego, gdzie ma się podziać, gdzie usiąść, a w niektóre przedpołudnia — kim jest kobieta wychodząca mu naprzeciw.

Chciał umrzeć. A ona wciąż zwlekała. I w końcu sobie uświadomiła, że naprawdę tego nie robi.

Siedział na krześle w pokoju muzycznym, uszy zatkała mu wata, bo każdy głośniejszy dźwięk był dla niego męką. Podeszła i ukłękła na podłodze. Nie mogła dłużej znosić jego bólu, własnej niegodziwości, jego przyzwolenia. Spojrzała w znużoną twarz Ralpa.

— Już koniec — powiedziała. — Nie zrobię tego.

— O czym ty mówisz?

— Nie mogę tego zrobić. Jesteś wszystkim, co mam, wszystkim, co kiedykolwiek będę miała. Kocham cię tak, że płonę ze wstydu, kiedy na mnie patrzysz. Ale już koniec. Będziesz żył. Zaopiekuję się tobą.

Jego oczy były pełne dobroci.

— Gdybyś umarł, opłakiwałabym cię przez całe życie. Nawet jeśli założyliby mi powróż na szyję.

— Chciałem umrzeć. Nadal chcę.

— Nie. Myślisz, że tego pragniesz, ale się mylisz.

— Antonio...

— Wróci. Obiecuję, że wróci. Proszę. Żyj dla mnie. Dotknął jej włosów. Ujął jedno pasemko i obracał między kciukiem a palcem wskazującym. Kochał ją. Będzie żył. Może jednak znajdzie się wyjście z ciemności. Catherine była taka zmęczona.

ROZDZIAŁ CZWARTY

WYŚLAŁA DO ANTONIA krótką depeszę. „Przyjeżdżaj natychmiast”.

Pielegnowała Ralpa tak samo jak przedtem. Smarowała jego rany maścią i owijała bandażami.

Ciało swędziało go i paliło, a balsam zmniejszył pieczenie. Na twarzy, z której skóra schodziła płatami, kładła mu gazę nasączoną olejkiem. Zakładała Ralphowi swoje ciemne okulary. Nawet najłżejsze stąpienie było dla niego torturą, więc do swoich pantofli przywiązywała skrawki wełny, by bezszelestnie chodzić po marmurowych posadzkach. Zasunęła kotary dla ochrony przed hałasem i słońcem. Wiązała go przy krześle aksamitnymi i bawełnianymi sznurami, gdy otepienie i niepokój nie pozwalały mu usiedzieć w jednym miejscu.

Spaliła pościel, ubrania, buty, ręczniki. Spaliła i zakopała wszystko, czego dotknął, wszystko, co mogło zawierać bodaj najmniejszy ślad arszeniku. Wyrzuciła

jego brzytwę odziedziczoną po ojcu i srebrną szczotkę do włosów przywiezioną z Włoch. Spaliła dywan z sypialni i ciężkie jedwabne zasłony znad łóżka. Spaliła również swoje koszule, wiedząc, że dym z ogniska jest przesycony tym samym jadem, że dotykała wszystkiego, czego dotykał mąż, że Ralph pił wodę ze szklanki, a potem całował ją w usta.

Niebieską fiolkę zaniósła do lasu. Pozbyła się arszeniku na skałach, z daleka od strumienia, z daleka od miejsc, gdzie latem mogły paść się owce, gdzie ptaki mogły wic gniazda, aby żadna istota nie została skrzywdzona.

Poiła go ciepłym mlekiem, aby wywołać wymioty i złagodzić dreszcze. Dawała mu wodę wapienną, żeby wchłonęła truciznę. Przykrywała go futrami i kocami i podsuwała miednicę, gdy wstrząsały nim torsje. Nie skrzywiła się ani razu.

-Ja też nie wierzę lekarzowi - powiedziała Larsenowej. - Pan jest chory, ciężko chory, ale będziemy go leczyć.

- Co mu naprawdę dolega?

- Nie wiem. Ale lekarz też nie wie. Wiem jedynie, że mój ojciec zmarł na raka i wyglądało to inaczej. Pan rozumie, co się wokół niego dzieje, a ojciec postradał zmysły. Kiedyś ciężko zachorowała moja siostra. Pamiętam, że dawaliśmy jej mleko i białka jajek, żeby wymiotowała. To mu pomoże. Marznie.

Będziemy trzymały go w cieple.

- Starzy ludzie... znają zioła na rany, na czyraki.

— Zapytamy starych ludzi. Znajdziemy zioła. Ale teraz jest zima, na polach nic nie rośnie. Proszę czuwać przy panu. Jadę do Chicago poszukać dobrego lekarza.

Ale naprawdę pojechała odwiedzić Indię, biedną Indię o smutnej twarzy — twarzy z fotografii — wybraną przez bogatego Ralpa Truitta spośród dziesiątek kobiet, Indię, która powinna zamiast niej spacerować w jedwabnych sukniach po marmurowych posadzkach. India jednak miała nigdy się nie dowiedzieć, co Catherine zrobiła z jej fotografią. Miała się nie dowiedzieć, że mogła żyć otoczona miłością i szacunkiem w pełnym fresków pałacu. Truitt znalazłby przy niej szczęście, wątle szczęście. Gdyby u jego boku była India, nie umierałby teraz.

Catherine lubiła nieśmiałość i brak złudzeń Indii. Chciała móc jej powiedzieć, że to ją pokochał Ralph Truitt, że wybrał jej fotografię. Może wtedy, świadoma, że wzbudziła czyjąś miłość, India chodziłaby z wyżej podniesioną głową.

Łatwo było ją okłamać, przekonać, że Catherine zawsze chciała mieć jej zdjęcie na pamiątkę, i namówić bojaźliwą dziewczynę, żeby usiadła przed aparatem fotografa.

A teraz łatwo było nie mówić jej całej prawdy, tylko tyle, ile trzeba. India przez całe lata tylko obserwowała życie innych, oglądała wystawy, patrzyła na świat zza szyby swojej nieatrakcyjności. Patrzenie, chłonięcie było jej jedynym skarbem, obroną przed samotnością, niegodziwymi mężczyznami i smutnym losem.

Objęła Catherine na powitanie. Słuchała, kiwając głową, a potem wzięła kapelusz, włożyła płaszcz i wymówiła pierwsze zdanie od czasu, gdy tamta rozpoczęła swoją długą, pokrętną relację.

- Chodźmy do miasta.

W Chicago panował większy zamęt niż w Saint Louis. Było tu również bardziej niebezpiecznie. Dwie kobiety udały się do chińskiej dzielnicy. Gdy weszły do sklepiku o brudnych oknach, Chińczyk za kontuarem uklonił się grzecznie. Pozwolił Catherine mówić. Gdy padło słowo „arszenik”, powietrze znieruchomiało. Catherine miała chęć płakać, krzyczeć z poczucia winy i grozy, lecz opowiadała dalej, jak gdyby nigdy nic. Powietrze drgnęło. India odetchnęła i koła zaczęły się obracać, zegar znów tykał.

Chińczyk uklonił się raz jeszcze i posłał swoim gościom uśmiech. Krążąc pośpiesznie po ciemnym sklepieniu, zdejmował z półek fiołki i mlecznobiałe słoiki: stare, zazdrośnie strzeżone odtrutki. Od czasu do czasu przystawał, znów się uśmiechając, jakby opowiadał żart.

- Brandy - mówił. - Rozgrzewa wnętrzności.

- Opium - mówił. - Uspokaja żołądek. Przynosi oszołomienie.

Odpędza złe sny. - Zrobił z niego miękkie, elastyczne kuleczki. -

Co dzień jedna, aż sny będą czyste i jasne.

Na koniec postawił na kontuarze osiem buteleczek

i słoików. Bardzo drogich. Catherine zapłaciła, włożyła lekarstwa do brązowego worka, który dostała od Chiń-

czyka, wsunęła zawiniątko do dużej czarnej torby i zaprosiła Indię na obiad.

Usiadły w restauracji eleganckiego hotelu, a Catherine nie wspomniała, że prześpi tę noc w apartamencie kilka pięter wyżej. India była wygłodniała: szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w kartę dań, którą trzymała przed sobą jak tarczę. Zamówiła ostrygi, faszerowanego homara, chłodnik, perliczkę. Pochłonęła morze wina. Catherine jadła niewiele i nie piła alkoholu. Nie miała apetytu.

— Zmieniłaś się — stwierdziła India, gdy czekały na powrót kelnera. - Wyglądasz jak dama. Jak jedna z nich.

Ruchem głowy wskazała panie przy sąsiednich stolikach.

— On lubi rzeczy zwyczajne, nieskomplikowane. To prości ludzie, niepodobni do nas. Próbuję być osobą, jakiej pragnie.

— I daje ci pieniądze? -Tak.

— Dużo pieniędzy? Catherine była zakłopotana. -Tak.

— Podziel się ze mną. Masz męża, na litość boską, daje ci pieniądze.

— Nie tutaj. Ale, oczywiście, dam ci, czegokolwiek potrzebujesz.

— Potrzebuję wielu rzeczy. Dwudziestoosmioletniego mężczyzny o białych zębach, który zakocha się we

mnie na zabój. Zimowego płaszcza i małego pieska, którego można trzymać na kolanach. Założę się, że masz takiego.

— Nie, nie mam pieska - odparła Catherine z uśmiechem. — Ale mam zimowy płaszcz. Możesz go wziąć, jeśli chcesz. Kupię sobie inny. Albo kupimy płaszcz dla ciebie. Jaki tylko ci się spodoba.

Kelner powrócił z deserem: górą bitej śmietany, ciasta i owoców. -Myślisz, że to jest jakieś rozwiązanie? Myślisz, że dzięki temu wyładnieję albo znajdę sobie miłego chłopca? W takim płaszczu będę tylko śniła w chłodne noce, że mogłabym zdobyć kogoś takiego, że mam twarz równie ładną jak twoja. I że wszystko nie jest głupie, smutne i nudne. Pieniądze. No cóż. To jakiś początek. Catherine spędziła większość życia po drugiej stronie szyby, po stronie Indii, po stronie Alice. Zdumiewało ją, że oto stała się osobą, która ma rzeczy pożądane przez innych. Sama pragnęła tylko jednego. A środek do urzeczywistnienia tego pragnienia leżał na dnie jej czarnej torby.

Odprowadziła Indię do domu i ofiarowała jej swój czarny zimowy płaszcz, lecz ta odmówiła, twierdząc, że wyglądałaby w nim śmiesznie. Dała dziewczynie tyle pieniędzy, ile mogła, pewna, że nie roztrwoni ich na opiaty ani na błyskotki.

Noc przespała na wąskim łóżku w niedrogim pokoju. Myślała o Truitcie, o Larsenowej czuwającej przy nim godzinami, pielęgnującej go w kolejnym nieszczęściu.

Larsenowa nie miała koszmarów — nawet po tamtym dniu, gdy na jej oczach mąż bez żadnego powodu odrąbał sobie dłoń. Catherine śniła o Antoniu. Był jak pająk, oplątywał ją. Jego skóra łączyła się z jej skórą, jego ciało stapiało się z jej ciałem. Słyszała w sercu bicie jego serca, jej rzęsy drżały nad jego czarnymi oczami, zamglonymi od narkotyku. Był jej namiętnością i sprzeniewierzeniem. Obudziła się gwałtownie.

Wypaliła jedną z kulek opium od Chińczyka i zanurzyła się w błogości, w chłodnej wodzie i w ramionach matki, w kroplach wilgoci na matczyńskich włosach, w majowym bzie. Śniła o swoim ogrodzie, o jego zapachu w letni wieczór, o jaśminowcach białych od kwiatów, o rybkach płynących tuż pod powierzchnią oczka wodnego ku sypanym przez nią okruszkom. O mężu siedzącym w białym garniturze na białym krześle. Bawiącym się z dzieckiem.

Obudziła się z pewnością, że jest w ciąży. Czuła znużenie, chociaż tyle spała.

Upięła włosy w ciasny kok i włożyła skromną suknię podróżną. W pociągu, jedząc lunch, zastanawiała się, czy zobaczy przez szybę resztki swojego czerwonego kostiumu, lecz niczego nie dostrzegła. Potem z wymiotowała do umywalki, wytarła ją i wyrzuciła szmatkę z pociągu. Płótno zatrzepotało za oknem jak ociężały ptak. Czuła zawroty głowy. Czuła wdzięczność, coś więcej niż wdzięczność, więcej niż zrozumienie, i pograżyła się w błogości, jakiej nie mogło wywołać opium, prze-

konana, że wreszcie jest we właściwym miejscu — a było to uczucie zupełnie nowe.

W domu przywitała ją Larsenowa.

- Uspokoił się, ale noc miał okropną. Krzyczał z bólu. Dręczyły go koszmary. Przespał całe przedpołudnie. Musiałam go przywiązać.

Wyglądała staro. Była roztrzęsiona, miała zaczerwienione oczy. — Proszę już wracać na farmę. Powinna pani odpocząć.

Przywiozłam lekarstwa.

Catherine przeszła przez oranżerię. Z Saint Louis przysłano pierwsze rośliny opatrzone tekturowymi etykietkami: róże, drzewka pomarańczowe, jaśminowce, fuksje i orchidee, które czekały na przesadzenie do ogromnych terakotowych donic. Panowały tam gorąco i wilgoć, chociaż na zewnątrz nadal zalegała warstwa śniegu, przybrudzonego już i upstrzonego plamami, lecz ciągnącego się po horyzont.

Ralph siedział na krześle z wysokim oparciem, w jej ciemnych okularach, okryty pledem. Oczy miał zamknięte.

Uklękła przy nim, a on bezwiednie musnął jej włosy.

- Wróciłaś, Emilio - powiedział łagodnie. — Witaj w domu.

— Jestem Catherine. Catherine Land. Twoja żona. Śniłeś.

— Oczywiście. Catherine. To tylko...

- Tylko sen. — Wyjęła z czarnej torby kulkę opium. — Połknij to. Połknij i śnij jeszcze.

We dwie pielegnowały go przez wiele dni, sypiając na zmianę lub nie sypiając wcale. Kapały go razem, jak kiedyś, w gorącej wodzie, aż mijały dreszcze. Połyły Ralpa brandy, odurzały opium. Czuł się coraz lepiej.

Nocami patrzyły, jak przewraca się w pościeli.

- Larsen odciął sobie rękę, bo... bo poprosiłam, żeby przestał.

Po raz pierwszy o nim wspomniała.

- Przestał co?

- To. Dziesięć lat temu. Zeby dał mi spokój. Nie potrafił się z tym pogodzić.

- Tęskni pani.

- Miałam tylko jego.

- Nigdy go pani nie odwiedza.

- Nie mogłabym. To była moja wina.

Spędziły w milczeniu długie godziny. Larsenowa nie powiedziała nic więcej. Na swój łagodny sposób i ona wpędziła męża w szaleństwo i destrukcję. Rozumiała wszystko - ponieważ zdarzały się takie rzeczy, widywała je wcześniej, sama je robiła. Catherine zdjęła ciemne szkła z oczu Truitta, wciąż oślepiająco niebieskich, lecz zapadniętych i obramowanych cieniami, o rozkojarzonym, nieobecny spojrzeniu. Krosty na jego czole zaczynały się goić, lecz musiały pozostawić blizny. Wydawał się o dziesięć lat starszy, jakby przekroczył pewną granicę i miał już nie odzyskać młodości ani zdrowia. Zniszczyła go. Błąkał się teraz bezsilnie nad krawędzią starości.

Jego ręce, gdy odwinęła z nich bandaż, spoczęły nieruchomo na kolanach. Czekał biernie na to, co nastąpi. Mniej doskwierało mu zimno, sny miał spokojniejsze, nawiedzane przez przyjazne mu postacie. Rano słuchała cierpliwie, gdy mówił, co mu się śniło, chociaż nie widziała w tym żadnego sensu. Sny Ralpa były wspomnieniami zdarzeń, o których nigdy jej nie opowiedział. Były pomysłami, których nigdy nie wprowadził w życie. Już nie drapał podrażnionej skóry. Nie miał wrażenia, że płoną na nim ubrania. Pił bulion i napary z ziół. Catherine i Larsenowa, widząc poprawę, przeniosły go na piętro, do ojcowskiego łóżka w błękitnej sypialni, i siadały z nim teraz do posiłków. Wreszcie, po tylu latach, gospodyni zgodziła się jadać razem z panem. Zapragnął ostryg, sprowadziły więc z Chicago całą beczkę. Co wieczór dostawał ich tuzin oraz kieliszek brandy — on, który od lat odmawiał sobie alkoholu. Był zdumiony, że zachciało mu się właśnie ostryg, i że kobiety zdobyły je dla niego. Catherine i Larsenowa nie jadły ostryg. Nie piły brandy. Nie wspomniała o ciąży. Nie mogła mu powiedzieć podczas choroby. Miała nadzieję, że dziecko jest jego, nie zniosłaby myśli, że Ralph Truitt wychował aż dwoje cudzych dzieci. Czy już nie krwawiła, gdy spała z nim po powrocie z Saint Louis? Chyba tak. Zmuszała się do wiary, że poza Truitem nie było innego mężczyzny, że tamte dni w Saint Louis nigdy się nie zdarzyły. Tak. Nadal wtedy krwawiła. Przypomniała sobie. Zresztą to nie mógł być Antonio: nigdy nie szczytował

wewnątrz niej, za bardzo się bał kłopotów. A jej życie zaczęło się powtórnie, gdy opuściła wówczas miasto, i nic z dawnego życia nie mogło w niej teraz rosnąć.

Wiedziała, że w przeszłości traktowała innych instrumentalnie, Truitt jednak uczynił ją kimś nowym. Obmywała jego rany, masowała mu stopy, kładła balsam na czoło, rozcierała kore, by smarować nią jego dłonie. Gdy go czesała, włosy wychodziły mu garściami. Przytłaczało ją poczucie winy.

Teraz mogła wreszcie żałować swojego tułaczego, zmarnowanego życia. Siedziała na wiklinowym krześle w słonecznej oranżerii, pomiędzy różami, które zaczynały wypuszczać listki w ciepłe popołudnia, i płakała nad sobą, płakała nad ojcem i matką, nad siostrą, nad każdą utraconą chwilą, chwilą strzaskaną na kawałki podczas długiej drogi do krzesła w oranżerii. Życie było bardzo kruche, lecz dawniej miała dość siły, by postrzegać je inaczej. Teraz wszystko wydawało jej się delikatne, wrażliwe jak rana: ciemne nabrzeża Baltimore, blask Rittenhouse Square, erotyzm, kradzieże, kłamstwa i anioł zstępujący z nieba, anioł, który nie zaniósł Alice do wspaniałych stolic świata, by olśnić ją ich cudami. Zupełnie jakby wszystko, dobro i zło, było jedną blizną biegnącą przez jej ramiona, przez jej piersi, i jakby pielęgnując Truitta, kładła balsam na własne ciało.

Choroba Catherine, choroba duszy, nie była śmiertelna. Musiała wierzyć, że jest w niej niewinność, osoba, która może żyć inaczej. Wiedziała, że nigdy nie odzyska pełni siebie, tak jak Truitt nie odzyska młodości.

Blizny jednak zarosną nową skórą, zbledną i staną się ledwie zauważalne dla dziecka.

Spojrzenie Ralpha zmieniło ją w kobietę, jakiej pragnął. Dawniej znała tylko życie, w którym nie oczekiwano ani nie okazywano życzliwości. Nie widziała różnicy między szczęściem a grozą, między podnieceniem a strachem. Teraz nieustannie ścisnęło ją w żołądku i nie wiedziała, jak to nazwać. Drżały jej ręce.

Wymiotowała rano, po kryjomu, czuła jednak, że wreszcie dostrzega koniec rozpiętej liny. Zatrząskujące się drzwi, miłość za pieniądze i odurzające noce w palarniach zostawiła za sobą. Znała się na początkach i końcach, a teraz rozumiała, że przyjemność, jaką niesie życie, leży pośrodku. Można tam znaleźć trochę spokoju.

Któregoś dnia Ralph wydobył z siebie coś więcej niż bolesny, chrypliwy szept. Nieco później zaczął chodzić, ubierać się, rozmawiać, myśleć o powrocie do pracy, żeby uratować finanse firmy i spojrzeć w oczy mieszkańcom miasteczka, którego los zależał od niego. Zmienił się, oczywiście. Poruszał się jak starzec, jakby każdy krok wymagał poświęcenia. Posiwał. Pijąc brandy, podnosił kieliszek do ust powoli, całą serią zwolnionych ruchów.

Siedzieli przy stole. Poprosił Larsenową o befsztyk z ziemniakami i pudding, potrawy ze szkolnych czasów. Czytał Catherine doniesienia o codziennych tragediach. Gdy nagle zastukano do wielkich frontowych drzwi, widelec spadł mu z brzękiem na talerz. Catherine zapro-

ponowała, że otworzy, lecz już podnosił się chwiejnie z krzesła.
-Ja pójdę.

Szedł, zapalając po drodze wszystkie światła. Gdy otworzył, na tarasie stał mężczyzna. Patrzył na schody i śnieg. Odwrócił się, lecz w ciemności Ralph nie widział twarzy nieznajomego.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

- Jestem Tony Moretti - powiedział. - Twój syn. I chociaż obaj wiedzieli, że to fikcja, Ralph wyszedł w mrok i otworzył ramiona.

ROZDZIAŁ PIĄTY

SYNOWIE WRACALI DO OJCÓW, a nawet do mężczyzn, którzy nie byli ich ojcami, do mężczyzn, którzy bili ich kiedyś do nieprzytomności. Synowie wracali, żądni zemsty, do ojców, którzy nie potrafili sobie wybaczyć popełnionego kiedyś okrucieństwa. Zdarzały się takie rzeczy.

Przywiózł cały dobytek: wykwintne garnitury, ekstrawaganckie krawaty z Paryża, śnieżnobiałe koszule, laskę ze srebrną gałką, bursztynowe wody kolońskie z Londynu. Nie miał żadnych pieniędzy. Był jak łabędź, długoszyi i bezwartościowy poza pięknym wyglądem, a wszystko, co robił i mówił, raziło, zbyt egzotyczne, zbyt wyszukane. Po obiedzie grał na fortepianie i nawet to wydawało się manieryczne, jakby występował przed wybrednymi słuchaczami w rokokowej sali koncertowej. Ralph wolał naturalność Catherine.

Leżeli we dwoje w wielkim łóżu błękitnej sypialni. Antonio sypiał z daleka od nich, w swoim apartamencie,

w który przeobraził dawne pokoje matki. Miał garderobę, salon z meblami przeniesionymi z innych wnętrz, ze sprowadzonym przez Truitta hebanowym fortepianem. I sypialnię pełną dekoracyjnych tkanin.

W ciemności czuli na sobie jego wzrok. Traktowali się teraz nieco inaczej, ze spokojem, z prostotą. Była to, jak sądziła Catherine, normalna kolej rzeczy między dwojgiem kochających się ludzi. Nasyciwszy zmysły, rozmawiali cicho o różnych sprawach, o interesach, o Larsenowej i jej cichym żalu, o Larsenie opuszczonym przez żonę, a pielęgnowanym na koszt Truitta, o codziennie przysyłanych roślinach ogrodowych. Nigdy nie mówili o chorobie Ralpa.

— Tak bardzo przypomina Emilię. Ma po niej oczy, usta i te czarne włosy. Prawdziwy Włoch.

Usiadła na łóżku i patrzyła na blade światło nowiu wpadające do sypialni.

— Jak ona umarła?

Znieruchomiał. Nadal miewał chwile zamroczenia, podczas których nie wiedział, gdzie się znajduje ani kim ona jest. Jego ciało pokrywały blizny, świadectwo jej zbrodni i jego przebaczenia.

— Zabiłem ją.

Księżyc wydawał się taki daleki. Zima trwała tak długo.

Catherine nie pamiętała niczego poza śniegiem. Nie pamiętała swojego życia sprzed momentu, gdy wyszła z pociągu do Ralpa Truitta. A właściwie nie pamiętałaby, gdyby nie obecność Antonia krążącego po domu cicho jak kot, obserwującego ją dniem i nocą.

- Nie wierzę.

On także usiadł i ujął jej dłoń.

- Opowiem ci o tym tylko jeden raz. Gdy skończę, nigdy już nie wymienimy jej imienia w tym domu. Zabiłem ją. Pozwoliłem jej umrzeć. Przeniosła się z Morettim do Chicago wciąż jako moja żona. Nie zażądałem rozwodu. Była katoliczką, a katolicy się nie rozwodzą. Jej syn mieszkał pod moim dachem, ona była moją żoną... Myśl o niej nieustannie sprawiała mi ból, lecz zawsze wiedziałem, co się z nią dzieje. Wszyscy w miasteczku wiedzieli. Wstydzilem się, ale szedłem naprzód. Nikt o tym nie mówił, a w każdym razie nie przy mnie.

Wysyłałem jej pieniądze. Wybrała życie, które uważałem za odrażające, ale utrzymywałem ją, bo nadal była moją żoną, bo dręczyło mnie wspomnienie Franny, wychowywałem Antonia, bo... nie mogłem pozwolić, żeby cierpiała nędzę.

Moretti ją porzucił. Dla bogatej wdowy z dużym domem, kobiety, która pobłażała jego niewierności, pretensjonalności, wybacziała mu brak talentu i wdzięku. Emilia...

Słyszała, z jakim bólem wymawia to imię.

- Emilia znajdowała sobie kochanków, młodych i bezdusznych. Chwalili się w całym Chicago, że mieli hrabinę, i przy piwie opowiadali o jej temperamencie. Nadal była piękna. Ani razu nie napisała do Antonia. Ani razu nie przyjechała na grób córki. Mogła wybrać inną drogę, coś dobrego, niewłaczającego, dom, do którego ściągnęłyby

syna, żeby zrobić z niego porządnego człowieka. Miała pieniądze. Miała inteligencję. Miała ogładę. Podobno sypiała z kobietami. Upijała się publicznie. Dwukrotnie okradli ją ludzie, których znała, jej goście.

Pojechałem do niej kilka razy. Nie prosiłem, żeby wróciła, nie. Nie wpuściłbym jej tutaj. Prosiłem tylko, żeby z tym skończyła. Roześmiała mi się w twarz. Chlusnęła na mnie winem.

Oświadczyła, że napawam ją wstrętem.

Ralph przerwał, by pocałować dłoń Catherine.

— Naprawdę chcesz wiedzieć wszystko?

Światło księżycy było takie blade, takie zimne. Przeszył ją dreszcz.

— Muszę wiedzieć.

— Zachorowała. Na gruźlicę czy, jak wtedy mówiono, na suchoty. Posłałem po lekarzy, ale nie chciałem jej widzieć. Była taka młoda. Gruźlica, powiedzieli, syfilis. Odeszła od zmysłów. Głośno było o niej w całym mieście, ale nikt jej nie odwiedzał — po tych wszystkich przyjęciach, romansach, pieniądzach, wielkopańskich pozach. Nadal prawie wcale nie mówiła po angielsku. Nie miał jej kto karmić, nie miał kto po niej sprzątać, a nie umiała sama dbać o siebie.

Odwiedziłem ją jeszcze raz. Wziąłem Antonia, żeby wreszcie zobaczył matkę, ale widok był straszny. Ujrzał ją — jej upadek — a potem kazałem mu poczekać w powozie. Był tam jeden pokój... pokój, do którego wrzucała wszystkie śmieci: ubrania, bieliznę, wymyślne halki...

nieumyte talerze, raz użyte haftowane obrusy, nienoszone nigdy kapelusze... Ogromny stos rzeczy. Bizuteria, która jej się znudziła. Dziesiątki listów od Antonia, w których chłopak błagał ją o ratunek. Niektóre koperty nawet nie były rozcięte. Panował tam półmrok, bo zasunęła kotary, i musiałem brodzić w tym śmietniku, szukając czegoś, co można by ocalić, zanieść chłopcu na dowód, że przynajmniej kochała go matka. Nie mogłem niczego takiego znaleźć, Bóg mi świadkiem, że nie mogłem. Wyrzekła się własnego życia, upchnęła je w tym zatechłym, ciemnym pokoju na drugim piętrze domu, za który płaciłem. Leżała na łóżku półprzytomna. Na pewno odurzona opiatami. Obląkana. Nadal piękna. Nawet w szaleństwie miała charyzmę, urodę, która zapierała dech w piersiach. Potrzebowała słońca. Potrzebowała powietrza, długotrwałej kuracji w Europie. Mogła jeszcze żyć.

Rozpoznała mnie. Powiedziała, że jestem głupcem - głupcem, rogaczem, kłamcą. Ze jestem słaby i naiwny, że zwodziła mnie i wykorzystywała od naszego pierwszego spotkania, i że cieszy się z tego. Wiedziałem o tym, oczywiście. Wiedziałem od dawna. I wtedy ją zostawiłem. Na pewną śmierć. Była moją pierwszą miłością, gardziła mną, więc odszedłem. Nie posyłałem więcej lekarzy. Nie posyłałem pieniędzy. Wyrzucono ją z domu, majątek zlicytowano na ulicy. Zmarła trzy miesiące później w szpitalu dla nędzarzy, przywiązana do łóżka, niewidoma. Straciła włosy. Nie

miała przy sobie nikogo, kto potrzywałby ją za rękę. Bez księdza. Bez przebaczenia od Boga, który na koniec też ją opuścił. Mogłem coś zrobić, ale nie zrobiłem. Nie żałuję. Przychodzi moment, gdy nie można znieść więcej. Zobaczyłem tamten pokój ze stertą sukien, z nieotwartymi listami, z niezapłaconymi rachunkami od krawców, i przestałem dbać o to, czy żyje, czy umarła.

Zapadło długie milczenie.

— Nie mogłeś postąpić inaczej. Nikt nie oczekiwałby...

— Ja oczekiwałem. Ja. Była moją żoną. Kiedyś. A potem była martwa. Nie wiem nawet, gdzie ją pochowano. I nie jestem ciekawy.

— Musisz sobie wybaczyć. Odwrócił się ku niej gwałtownie.

— Nic nie wiesz. Niczego, do diabła, nie muszę. Będę robił i myślał to, co robię i myślę. Zapytałaś. Odpowiedziałem. Nigdy więcej nie wymieniaj jej imienia. — Położył się. Objął ją i przyciągnął do siebie. — Nie czułem do niej miłości. Myślałem, że to miłość. Myliłem się. To był nałóg, szaleństwo. Tak bardzo pragnąłem... czegoś. Nie pamiętam czego. Zemsty na matce. Pragnąłem zemsty i posłużyłem się włoską hrabiną. Chciałem, żeby matka musiała żyć obok niej zahukana, niepotrzebna, brzydka, stara. Ale to nie miało sensu. Zmarnowałem młodość, kochając kobietę, która nie była warta moich starań.

Nagle zrobił się senny.

- Mam nadzieję, że ten ogień wygaś. Był za gorący. Zabijał wszystko. Wystarczy. Zmów pacierz i zaśnij. Antonio jest w domu. Ty jesteś w domu. Nic więcej się nie liczy. Spij. Odwrócił się. Leżała jak skamieniała w ciemności. Antonio ją okłamał, szczegółowo opisał potworny, brutalny czyn, który nigdy się nie zdarzył. Sama również była oszustką, lecz czuła, że kłamstwo kochanka zmieniło wszystko, pozostawiło w niej pustkę, białą jak krajobraz za oknem. W tym momencie coś się skończyło i coś zaczęło. Nie zasnęła do świtu.

A potem Truitt się poruszył. Było wcześniej rano. Otworzył oczy i pocałowała go, nim całkiem się obudził. Nie o nim marzyła. Nie na niego czekała. Lecz nie pragnęła więcej.

Antonio był wszędzie. Wypełniał dom swoim zubożeniem i bezczelnością. Truitt nie zwracał uwagi na jego obłudę i małe zniewagi. Otworzył mu konto bankowe - z taką sumą pieniędzy, by zapewnić chłopakowi utrzymanie na lata. Próbował zainteresować go pracą w firmie i mimo niechęci Antonia opisywał strukturę przedsiębiorstwa, tłumaczył, jak kupować i sprzedawać. Ralph nie był głupcem. Dostrzegał lekceważenie Antonia, lecz doskonale pamiętał własną młodość, znużenie wszystkim, co nie było przyjemnością.

W miasteczku Antonio nie znalazł nic dla siebie. Nie było tam lokali - poza ponurą restauracyjką w smętnym hoteliku - i nie było kobiet. Wkrótce skończyły mu się narkotyki, które z sobą przywiózł. Co rano stawał przed

nowym dniem z jasnością umysłu, która była dla niego czymś niezwykłym i nieprzyjemnym. Palił papierosy przy stole. Bez końca opowiadał o Saint Louis.

Truitt otworzył swoją piwniczkę z winem i Antonio co wieczór odurzał się rzadkimi rocznikami o subtelnym smaku. Były tam butelki porto, bordo i burgunda przywiezione statkami z Europy w czasach, gdy pałac wypełniali znajomi matki. Dla Antonia nie miało to znaczenia. Chciał się po prostu upić i obrażać Ralpa.

- W moim apartamencie jest zimno jak w psiarni. Stopy mam zmarznięte.

- To duży i stary dom. Może gdybyś ubrał się inaczej...

- Czyli jak? Nie o to chodzi, ojczec, by dopasować strój do otoczenia, lecz otoczenie do stroju. Jesteś bogaty. Wymyśl coś.

- Niedługo przyjdzie wiosna.

- Tak. Wtedy zrobi się ciepło. Ale nadal będziemy się nudzić.

Cierpliwość Ralpa i pogarda Antonia nie miały granic.

Chłopaka nie obchodziły pieniądze. Nie obchodziło go, że co noc sypia w pozłaczonym łożu matki, że w jego pokoju dziecięcym wszystkie zabawki nadal stoją na swoim miejscu. Nie był sentymentalny ani skłonny do wzruszeń. Chodziło mu o śmierć.

- Ludzie, którzy zajmują się interesami, marnują życie. Żyjemy tylko dla sztuki.

- Kiedyś myślałem tak samo. Nadal tak myślę. Nie wybrałem sobie tego zajęcia.

- A ja kiedyś sprzedam wszystko i będę żył jak król.
- Nasza rodzina założyła to przedsiębiorstwo sto lat temu. Losy całego miasteczka zależą od nas.
- Kogo obchodzi miasteczko?

A przecież mogli rozmawiać o sprawach istotnych. Wieczorem przy kominku Ralph mógł powiedzieć o swoim poczuciu winy, o tym, że tak naprawdę nie dba, co robi Antonio - czy sprzeda rodzinny majątek, czy spali pałac, a ziemię posypie solą - bo pragnie tylko jednego: wybaczenia. Lecz tego Antonio nie zamierzał mu dać.

Osaczył Catherine, gdy Ralph pojechał do miasteczka. -Zdaje się, że miał być martwy. A on nawet nie umiera. „Przyjeżdżaj natychmiast” - napisałaś.

- Potrzebował syna. A ja tylko w ten sposób mogłam cię nakłonić do powrotu
- Okłamałaś mnie.
- Tak.

-Ja potrzebuję jednego. Jego śmierci. Zawsze mogę mu o wszystkim powiedzieć, pamiętaj. Co wieczór, gdy wyciąga mnie na pogawędkę, zastanawiam się, czy go nie oświecić. To nawet zabawne. Można powiedzieć mu wszystko, a on wręcz nadstawia drugi policzek.

- Chce, żebyś mu wybaczył.
- Chce spokojnie spać. A może już jest spokojny? Powinnaś wiedzieć, leżysz obok niego w łóżku.
- Nie. Jest niespokojny. Boi się o ciebie.

Czuła namacalne, nieustające zagrożenie. Obmyślili plan, a teraz Antonio nią gardził. Gdy pozbędzie się

Ralpa, wyrzuci ją i nie będzie miała dokąd iść. Pozostanie jej powrót do dawnego życia, do życia kobiety, którą już nie była. Czuła się bezradna. Wiele osób wiedziało o niej dużo, nikt jednak nie wiedział wszystkiego. Opowiedziała tyle kłamstw, wymyśliła sobie tyle osobowości, po jednej dla każdego *tableau*. Teraz nie miała do kogo się zwrócić, a sytuacja, w jakiej ugrzęzli, nie mogła trwać wiecznie: nawet cierpliwość Truitta nie była niewyczerpana.

Furia Antonia narastała: Ralph odzyskiwał siły. Na ziemistą wcześniej twarz wróciły rumieńce; nie czuł już zawrotów głowy, gdy wchodził po schodach do pałacu. Snów nie mąciły mu koszmary. Duchy odeszły.

Wieczorami przy kominku czytała im Whitmana, poetę Ameryki.

- Boże, co za nuda. Macie pojęcie, jakie to nużące? Nocą, kochając się z Ralphem w błękitnej sypialni, myślała o Antoniu krążącym po swoich pokojach z kieliszkiem brandy, z papierosem, i wyczuwała gniew, który musiał go popchnąć do czegoś strasznego, czegoś, czego nie potrafiła określić. Starła się ostrzec Ralpa, lecz mąż o niczym nie chciał słyszeć.

- Antonio wszystko zniszczy. On jest niebezpieczny.

- Byłem taki sam w jego wieku. Niespokojny, znudzony, zły. Poza tym chłopiec niewątpliwie wdał się w matkę. Być może nigdy się nie zmieni. A może naprawdę jest moim synem. Nie poddam się teraz.

Zabrał Antonia do fabryki, tłumaczył mu, jak wytapia się rudę, pokazywał kształty, jakie można nadać roz-

grzanemu do czerwoności żelazu. Lecz chłopak znieważał robotników, szydził z ich wysiłków.

Interesowała go tylko Catherine, którą zawsze nazywał panią Truitt. Pod nieobecność Ralpa, gdy jadła lunch lub rozmawiała z Larsenową o obiedzie, podkrażał się jak kot i nagle był przy niej, na jej drodze, w jej myślach, choć niemal zapomniała o jego istnieniu.

- Pani Truitt...

- Proszę, nie zwracaj się do mnie w ten sposób.

- Jesteś żoną mojego ojca. Jak miałbym się do ciebie zwracać?

- Catherine.

- Nie śmiałybym. Pani Truitt, proszę sobie wyobrazić, jak świetnie moglibyśmy się bawić. Tyle pieniędzy. Wina starczyłoby nam na lata. Tyle sypialni. Zapełnilibyśmy je naszymi przyjaciółmi...

- Nie ma żadnego „my”, Antonio. Już nie. Zrozum w końcu.

- Musisz tylko go zabić.

- Nie. Zresztą to niemożliwe. Nie mam czym.

- To da się załatwić. Pojadę do Chicago. Powiem, że w domu jest mnóstwo szczurów.

Spojrzała przez okno na pola i rzekę. Lód stawał się coraz cieńszy. Dzieci nie przychodziły już na łyżwy po szkole. Zima miała się ku końcowi.

- Nie zrobię tego. Mówiłam ci. Jest moim mężem. A ty masz wszystko, czego mógłbyś zapragnąć.

- Nudzę się.

- No to jedź do Chicago. Zabaw się z przyjaciółmi.

— Nie mam przyjaciół w Chicago.

— Są tacy sami jak ci z Saint Louis. Niczym się nie różnią. Cały dzień śpią, całą noc piją, grają w karty, chodzą na dziwki, palą opium. Robią wszystko, co lubisz. Spraw sobie nowe ubrania. Stać cię. Ralph ma świetnego krawca. Mógłbyś żyć jak księżę Walii.

— I co w tym ciekawego?

— Jedź do Europy. On pojechał.

— Ach, mam zniknąć na pięć lat?

— Posyłałby ci pieniądze.

— Nie znam języków. Męczą mnie kościoły. Powiedziałem ci, czego pragnę.

— A ja powiedziałam, że tego nie dostaniesz. Nigdy. Będiesz musiał obejść się smakiem.

— To nie leży w mojej naturze. Dobrze o tym wiesz.

— Proszę. Choć na jedną godzinę, na jedno popołudnie zostaw mnie w spokoju.

Odchodził wtedy, lecz zawsze pozostawał w pobliżu. Stojąc w ogrodzie, wpatrzona w okna swojej sypialni, czekała na wiosnę, marzyła o wyjeździe Antonia, żalując, że wstąpiła na tę drogę, dostrzegła światło w oczach Truitta, usłyszała słowa poety: „Ci, którzy kochają, staną się niezwyciężeni”. Nie czuła się niezwyciężona. Była jak świeża rana, otwarta na działanie żywiołów, bezbronna. Jak to możliwe? Krążąc wśród ruin ogrodu, ledwie pamiętała początek tej historii, lecz truchlała z obawy, że nie umknie przed dalszym ciągiem. Ucisk w żołądku dowodził, że to prawda: Truitt się dowie. Przeszłość

była tajemnicą pogrzebaną w niej głęboko, bezpieczną, gdyby nie Antonio.

Odwiedziła lekarza w miasteczku. Dokonała obliczeń. To było dziecko Ralpa. Rozwijało się w jej brzuchu, podobnie jak ogród rozwijał się w jej myślach, pod ziemią, czekając na opiekę.

Zamierzała powiedzieć Truittowi, gdy będzie silniejszy. Antonio znużył się wreszcie i zrozumie, że wszystko, co ma ojciec, należy także do niego, a wtedy wyjedzie, będzie trwonić pieniądze, aż umrze gdzieś w Saint Louis, Paryżu lub Londynie, podstarzały dandys, zbyt znudzony, by dalej żyć. Będzie się przenoślił z miasta do miasta, jak zawsze, wykorzystując innych, brudząc ich i mnać niczym prześcieradła, odchodząc, by szukać nowych twarzy, nowych rozkoszy. Truitt pokochał kogoś, kto nigdy nie istniał. Z pewnością pokocha również istotę, która dopiero się pojawi - i znajdzie w niej nadzieję.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

CHOĆ NIE UMIAŁ JEŹDZIĆ KONNO, Antonio sprawił sobie konia arabskiego, najlepszego w całym Wisconsin, jak twierdzili niektórzy. Zatrudnił trenera, parobka z pobliskiej farmy, i uczył się jeździectwa w starej stodole, w której Truitt kazał wyrównać klepisko i urządzić ujeżdżalnię. Po dwóch tygodniach fascynacja chłopaka minęła i arab spacerował teraz po podwórzu, wyskubując źdźbła spod cienkiego, zmrożonego śniegu, z dala od piasków pustyni.

Potem Antonio sprawił sobie automobil, nowocześniejszy, bardziej ekstrawagancki i znacznie droższy od automobilu ojca. Auto przyjechało pociągiem i wzbudziło sensację w miasteczku, lecz on nie umiał prowadzić, a drogi były pożłobione koleinami, toteż samochód zamknięto w szopie w miasteczku.

Jeszcze później Antonio pojechał na pięć dni do Chicago i wrócił ze znużonym, zmętniałym spojrzeniem, kufrem pełnym nowych strojów, arszenikiem oraz

opium. Przywiózł też Elsie Carruthers, dziewczynę, którą Catherine pamiętała z teatrzyków rewiiowych i ze spotkań z Indią, i umieścił w pokojach sąsiadujących z jego apartamentem. Bawili się tam nocami, pijąc stare wina i zdzierając z siebie ubrania. Nieokrzesaną pannę Carruthers zmęczyły wreszcie długie obiady i poezja, przestała więc przychodzić na dół. Ralph twierdził, że tak postępują młodzi, sam postępował podobnie w młodości — lecz najpierw oddalił się o trzy tysiące mil od domu. Nie upomniał jednak Antonia. Catherine poczuła ulgę, gdy chłopak usunął się z drogi: znowu mogła spędzać wieczory tylko z Ralphem.

Lecz Antonio znudził się panną Carruthers i Ralph zapłacił dziewczynie, by wsiadła do pociągu i wróciła do Chicago. Jego syn znów nie miał nic do roboty.

— Mam arszenik, pani Truitt. Zna pani plan. Zrobimy to lub powiem Truittowi.

— Jeśli tak bardzo pragniesz jego śmierci, wcale nie jestem ci potrzebna.

— Zaginiony syn zabija ojca? Nic z tego. Jestem tchórzem - w przeciwieństwie do ciebie. Nie, pani Truitt, zawsze będzie mi pani potrzebna. Wystarczy szelest pani sukni na schodach i już płonę.

— Przeszłość umarła.

— Ależ skąd. Ona nigdy nie umiera.

— Nie zrobię tego.

Dotknął żyły pulsującej w jej szyi.

— Powiedz, że mnie kochasz. Wymierzyła mu policzek.

- No widzisz? - powiedział z uśmiechem.

Antonio przywykł do uwielbienia i jawnych oznak pożądania; nie pociągały go miłosne subtelności. Nie powodował się nigdy potrzebą uczucia. Ciało miało swoje intensywne, pełne dramatyizmu przyjemności, męczyły go natomiast sceny i protesty. Miłość - niezmiennie, równe bicie serca godzina po godzinie - była dla niego nudna, bo pozbawiona gwałtownych zdarzeń. A teraz, zdobywszy nieograniczone środki na spełnianie zachcianek, pogrążył się w obezwładniającym znużeniu, rozpaczy i gniewie, był niespokojny jak tygrys w klatce. Szukał nowych doznań, lecz nie znajdował żadnego.

Ralph zrozumiał, że Antonio nigdy się nie ożeni. Szczęście domowe nie przemawiało do niego; było pewne, że spędzi życie, zmieniając kobiety, aż przeminie jego urok, zawiodą go pragnienia i zostanie z niczym. Miłość sięgająca poza namiętność była jak kompres przykładany na rany serca. Istniała w beczasie, którego nie można zobaczyć ani opisać. Ralph, choć za dnia myślał o Catherine z mieszaniną miłości i lęku, cieszył się, że żona będzie przy nim, gdy nastanie wieczór.

Matka Antonia straciła życie dla rozkoszy, poniżyła i zniszczyła samą siebie, on zaś był dzieckiem jej zepsucia. Nigdy nie zrezygnować z pogoni za doznaniem oznaczało samotną śmierć, bez poznania tego spokojnego pożądania, którego nie wywołał przymus.

Ralph odnalazł na nowo długo tłumioną namiętność. Znalazł ją w kobiecie, która oszukiwała, udawała i krzywdziła, lecz budził się co rano z uczuciem, że śnił

o rozkoszy. Przedtem Catherine była narzędziem jego śmierci. Teraz była zaproszeniem do życia. Wiedział, na czym stoi. Nabierał sił, pomnażał majątek i wpływy. Rodzinne przedsiębiorstwo - dotąd będące obowiązkiem, sposobem spędzania czasu, łagodzeniem wyrzutów sumienia po śmierci ojca - natchnął swoją pasją: kupował, rujnował, ocalał, budował i zawłaszczał. To ofiarowała mu Ameryka. Do tego mógł dorosnąć Antonio.

— Nudzą mnie te sprawy.

— Mnie też nudziły. Interesujące było nabieranie biegłości. To życie, Antonio. Praca. Tym zajmują się ludzie.

— Nie moje życie. Nie moje zajęcia.

— Cały kraj się rozwija, Antonio. Tak wiele można zdobyć. Są ludzie na farmach i w miastach, którzy nie wiedzą, dokąd iść. Trzeba im tylko odwagi, a pójda za tobą.

— A niech idą do diabła.

Lecz Ralph się nie zrażał, wciąż okazywał pobłażliwość. Antonio był jedynym, co zdołał ocalić z katastrofy swojej młodości - a przynajmniej starał się ocalić — i zrobiłby wszystko, aby go zatrzymać przy sobie.

Wrócił do życia — życia, potęgi, namiętności — i nigdy już nie miał stać samotny, bez miłości, wśród ludzi na peronie. Nigdy już nie miał budzić współczucia swoich pracowników, ich żon i dzieci. Nigdy już nie miał być przedmiotem plotek.

Dom się rozrastał. Personel podległy Larsenowej powiększono do sześciu osób, o praczkę, pokojówkę Anto-

nia i pomoc kuchenną. Catherine sprowadziła z Chicago ogrodnika, który przeobraził oranżerię w tropiki i sprawił, że rozkwitły jaśminowce i drzewka pomarańczowe. W cieplarni było wilgotno i parno, a ptaki śpiewały, przelatując z gałęzi na gałąź. Ralph siadał tam teraz popołudniami.

W pałacu zdjęto ciężkie adamaszkowe kotary i zawieszono lżejsze, by wpuścić do środka więcej słońca. Jedwabne zasłony nad łóżkiem w błękitnej sypialni zastąpiono tkaninami w chińskie desenie, wzory z innego stulecia. Egzotyczny przepych przeniósł Ralpha i Catherine do ich własnego Xanadu, królestwa pragnień. Z Chicago przyjechały krawcowe z wykrojami i belami wspaniałych tkanin, by szyć suknie dla Catherine. Ralpha zaopatrzyły w gustowne prążkowane koszule z białymi mankietami i kołnierzykami zapinanymi na złote guziki.

Byli zamożni i wiedli - bez ostentacji - życie ludzi zamożnych. Ralph nie zmienił przyzwyczajeń: przestał pić alkohol, gdy już miał dosyć brandy, i jadł niewiele, choć kuchnia była wyśmienita. Do ich domu ściągało coraz więcej gości.

Nadal jednak nie potrafił dotrzeć do Antonia. Chłopak nie znosił pałacu ani rozmów o interesach, był nieuprzejmy wobec żony Ralpha i służby. Mimo to Truitt czuł, że jest jeszcze czas. Przez całe lata nie miał niczego oprócz czasu, a więc nauczył się nie uginać karku, nie kulić się, gdy przyjdzie mróz.

Zima odchodziła. Na polach znowu najeżyło się ściernisko, dni były coraz dłuższe. Lód wciąż skuwał czarną rzekę, lecz czekano już na dzień, w którym kobiety włożą lekkie suknie. Była jakaś przyszłość.

Antonio nauczył się powozić na błotnistych drogach i jeździł co wieczór do miasteczka. Poznał młodą wdowę, panią Alverson, której mąż popełnił samobójstwo przed dwoma laty.

Dorównywała mu erotyczną desperacją, a ich schadzki były na ustach wszystkich. Ralph znów słyszał swoje nazwisko łączone ze skandalem. Próbował przemówić synowi do rozsądku.

- Jej mąż miał tylko dwadzieścia pięć lat. Urodziła dziecko po jego śmierci. Serce tej kobiety jest jak otwarta rana.

- Ona lubi moje towarzystwo.

- Żyje z zapomogi. I oczywiście, że lubi twoje towarzystwo.

Ludzie nie przestają o tym mówić.

- Twoja reputacja mnie nie obchodzi, jeśli o nią się martwisz.

Będę robił, co zechcę.

- Może powinieneś wyjechać do Europy. Znajdziesz tam wiele kobiet, które lepiej rozumieją sytuację. Może byłbyś szczęśliwszy. Ja byłem...

- Miałbym zostawić ciebie, panią Truitt i naszą cudowną zabawę? Czemu?

- Bo pani Alverson... jak ma na imię?

- Violet.

- Bo Violet zasługuje na coś więcej. Bo każdy zasługuje na więcej. Bo nie masz serca do interesów. Oprócz

tego mogę ci dać tylko pieniądze. Wyszalejesz się. Poznasz samego siebie. Ten ogień się w końcu wypala.

Gdy Ralph był w wieku Antonia, musiał porzucić marnotrawne życie, wrócić do domu i przejąć rodzinne interesy. Nabierał doświadczenia - choć z początku było mu trudno. Wkrótce Włochy stały się odległym wspomnieniem. Antonio tymczasem osiągnął punkt, w którym myśl o wyjeździe do obcego kraju, bez towarzystwa, bez znajomości języka, bez domu, wydawała się przytłaczająca. Dreszcz nowości go nie pociągał. Przeniósł się do Wisconsin i nie miał już możliwości powrotu do Saint Louis. Nie urzeczywistnił swojego największego pragnienia i narastała w nim frustracja. Jego przyjaciele byli tu niemile widziani.

Truittowie gościli gubernatorów, senatorów i podstarzałych otyłych biznesmenów z cygarami, którzy chcieli wziąć udział w następnym wielkim przedsięwzięciu Ralpa.

Wycofał się do swojego apartamentu i do wdowy w miasteczku, nie dbając o uczucia ojca. Niedługo jednak mogła trwać ta chwiejna równowaga między nienawiścią a chciwością.

Violet Alverson przyjechała do nich na obiad. Była nieśmiała, małomówna, nieco przestraszona pałacem. Oprowadzona przez Catherine po domu, wydawała się najbardziej oczarowana oranżerią ze śpiewającymi ptakami pośród tropikalnych roślin. Nie umiała używać wszystkich rodzajów sztucców, lecz Ralph rozmawiał z nią serdecznie o jej nadziejach na przyszłość, o pięk-

nym synu, który zdobędzie wykształcenie i zrobi karierę, może w przedsiębiorstwie Truittów.

Catherine prosiła, by zatrzymała się na noc, bo droga do miasteczka oddalonego o cztery mile była ciemna i pełna roztopów, lecz Violet odmówiła i odjechała pożyczoną bryczką, z bitem w dłoni. Nie zamieniła z Antoniem ani słowa na osobności. Wróciła do domu, spodziewając się szybkich oświadczeń.

Lecz Antonio znudził się panią Alverson. Miała dziecko i żadnej oglady. Nie była wystarczająco ładna, by polectać jego próżność. Napisał jej, że więcej się nie zobaczą. Nie zadał sobie trudu, by z nią pomówić osobiście.

Powiesiła się nazajutrz na tej samej belce, na której zawisł jej mąż, na stryszku domu, w którym straszyło puste podwójne łóżko. Dziecko spało na kołdrze rozłożonej na podłodze.

Nakarmiła je, nim zawiązała pętlę. Niezapięta suknia obnażała pierś. Płacz synka zaniepokoił sąsiadów. W gazecie napisano, że do odebrania sobie życia popchnął ją nieutulony żal po stracie małżonka. Ralph i Catherine pojechali na skromny pogrzeb tej prawie nieznanym kobiety. Antonio został w domu i grał na fortepianie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Z POŁUDNIA POWIAŁ CIEPLEJSZY WIATR. Noce nadal były długie i mroźne, lecz ziemia wreszcie wyłoniła się spod śniegu. Ralph spędzał ostatnie chwile przed zmierzchem przy swoim samochodzie — polerował karoserię, sprawdzał silnik. Zima trwała już za długo. Kazał przywieźć auto syna z miasteczka i uczył Antonia prowadzić na długim podejździe przed domem. Była to pierwsza techniczna umiejętność, jaką chłopak opanował. Jego samochód budził zachwyt, ze skórzaną tapicerką, reflektorami z kryształu i mosiądzu, ze smukłymi szklanymi wazonami. Jeździli po drodze do pałacu, na jakiś czas pojednani. Próbowali nawet rozmawiać.

— To potworne, co ci zrobiłem.

— Musiałeś być rozgniewany.

— Tak. Kochałem twoją matkę całym sercem. Gdy odeszła, wszystko ogarnął mrok.

— Ale ja zostałem.

— Twoja siostra umarła. Matka odeszła. Ty zostałeś, tak, więc wylałem całą wściekłość na ciebie, małego chłopca. Nigdy nie przestanę tego żałować.

— Chyba nie spędzało ci to snu z powiek.

— Szukałem cię przez dziesięć lat. Wszędzie.

— To musiało kosztować.

— Pieniądze nie miały znaczenia. Kiedy uciekłeś, uświadomiłem sobie, jak źle cię traktowałem. Karałem za coś, za co nie ponosiłeś winy.

Ta powtarzająca się melodia skruchy i zadośćuczynienia była wpleciona niczym refren we wszystkie ich rozmowy. Również te wieczorne, gdy Antonio był pijany, a Catherine leżała już w łóżku.

— Ożeniłeś się.

— Chciałem, żebyś wrócił do domu. Myślałem, że to pomoże. I byłem samotny. Nie wiesz, co się dzieje z życiem pozbawionym miłości. Usycha. Obumiera. Pragnąłem po prostu tego, co mają inni. Jakiegoś towarzystwa. Kogoś innego niż ja sam.

— I znalazłeś szczęście? U boku młodej pani Truitt? Co właściwie o niej wiesz?

— Nie miała łatwego życia. Cieszę się, że mogę uczynić je lepszym. I sprowadziła cię do domu. Tak. Znalazłem szczęście.

— Jest znacznie młodsza od ciebie.

— Mogłaby zostać twoją przyjaciółką, gdybyś chciał.

— Mam przyjaciół, ale mieszkają daleko. Biłeś mnie, aż krew zalewała mi oczy. Zamykałeś mnie w pokoju.

Zostawiałeś mnie samego, nie tłumacząc, gdzie jest matka ani dlaczego traktujesz mnie okrutnie.

- Żałuję tego.

- Czas pokaże, czy żal wystarczy. Wątpię. Gdybyś dzisiaj umarł, nie poszedłbym na pogrzeb.

- Byłbyś bardzo bogaty.

- A ciebie nikt by nie opłakiwał, chyba że urocza pani Truitt. Na pewno nie ja. I nie ci wszyscy ludzie, którzy żyją w strachu przed tobą.

Pomimo jadu Antonia był to jakiś początek, rodzaj porozumienia między ojcem a synem. Ralph codziennie jechał do pracy z nadzieją, że Antonio w końcu mu wybaczy.

Tymczasem był dla chłopaka rybą na wędce. Antonio luzował i napręzał żyłkę, manipulując haczykiem w ustach ojca.

Pragnął tak wielu rzeczy. Pragnął, by większość jego dzieciństwa nigdy się nie zdarzyła. Pragnął, by jego matka była wierna.

Pragnął, by go kochała i zabrała z sobą, dała coś więcej niż bezrozumną siostrę i okrutnego ojca, który nie był prawdziwym ojcem. Pragnął innej młodości. Najbardziej zaś pragnął, by matka nie umarła samotnie, lecz została przy nim i ocaliła go od tej smutnej, niedobrej przyszłości. Nie myślał już o ciosach, które niegdyś mu wymierzono. Rozpamiętywał to, co utracił.

Co wieczór pił przy kominku, gdy Ralph poszedł już do łóżka z Catherine. Opłakiwał dzieciństwo, przesiadywał w swoim dawnym pokoju, dotykał wszystkich za-

bawek - konika na biegunach, pluszowych zwierzątek, wystruganych z drewna okrętów, cynowych żołnierzyków - i płakał nad własnymi stratami poniesionymi na tej wojnie. Siedząc z butelką brandy na podłodze, płakał nad czasem, którego nie mógł odzyskać. Owszem, Ralph był gotowy zrobić wszystko, dać mu przyszłość. Nigdy jednak nie zwróciłby mu tamtych dni, nie przeobraziłby ich w dni mniej nieszczęśliwe. Żadne pieniądze, żadne słowa by tego nie zmieniły. W bezgranicznym smutku Antonia była niemal zmysłowa rozkosz, ulga i wyzwolenie przewyższające nawet pierwsze zbliżenie z upragnioną kobietą. Nie rozumiał swojego zachowania, lecz nie dbał o to ani trochę. Nikt inny nie żył jego życiem. Nikt nie mógł mu powiedzieć, kim być. Czasem myślał, że Ralph ma słuszość. Może zdołałby się zmienić. Dotąd życie nie przyniosło mu wiele radości. Płacz w pokoju dzieciennym był pierwszym niepewnym krokiem ku miłości. Antonio nie wiedział, czym ona jest, lecz widział, że zaczyna traktować Ralpa inaczej, odczuwać coś poza nienawiścią. Był dzieckiem. Pragnął ojca i matki. Budził się rano na podłodze, z bólem głowy, okryty kołdrą z dzieciństwa, i dygotał, pełen żalu, a niekiedy skruchy. Żałował, że nie jest innym człowiekiem. Odkąd uciekł z domu i Truitt przestał go dręczyć, nieprzerwanie dręczył sam siebie. Jeśli wcześniej Truitt

rzeczywiście próbował go zabić, to teraz Antonio usiłował dokończyć dzieła. Dni i noce w zamroczeniu, kobiety, rozpusta - nic nie wystarczało. A teraz, gdy miał miłość Ralpa, z determinacją dążył do samozagłady.

Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że może wieść cudowne życie. Ze mógłby pojechać do Rzymu i poślubić księżniczkę, że mógłby o świcie sączyć zimnego szampana na pokładzie parowca płynącego po Południowym Pacyfiku, z osobą, która po prostu by go kochała, że mógłby robić wszystko. To były nieuchwytnie widma.

Miłość przepadła na zawsze, była jak owoc na czubku drzewa. Zastąpił ją zmysłowy powab tragedii. Antonio zwieszał głowę, sączył brandy i płakał nad swoim życiem, nad czułością tego człowieka, który pragnął być dla niego ojcem, nad utraconym pięknem matki. Krążył po pokojach, wiedząc, że nigdzie nie znajdzie domu. Nie zdoła do niego dotrzeć. Nie zastanie w nim nikogo.

Niczego nie pragnął bardziej niż ciemnej nory w jakiejś kamienicy, gdzie nie będzie dnia ani nocy i zachłystywania się jedną kobietą po drugiej - aż do śmierci. Pragnął cielesnego odurzenia, aby to, co kochał najgoręcej na świecie - dotyk - stało się udręczeniem. Pragnął umrzeć w paroksyzmie rozkoszy, ostatnim z tysięcy.

Obok była Catherine, jak narkotyk, jak trucizna. Zawsze w domu, zajęta szyciem, czytaniem książek przysyłanych z Chicago. Opuściła go, zdradziła. Nie dotrzymała słowa.

Spała z jego ojcem, a on mówił, że ją kocha - coś, czego Antonio nigdy by nie powiedział. Nie wystarczało mu pragnąć wszystkich kobiet. Antonio pragnął, by to Catherine była wszystkimi kobietami. Dla niego.

Unikała go rozmyślnie. Zamykała się z robótką w swoim pokoju, gdy Truitt był poza domem. Siedziała przy stole i rozmawiała z nim jak obca osoba, jakby zapomniała o aksamitnych sznurach, którymi przywiązywał ją kiedyś do łóżka, jakby nie pamiętała ognia ogarniającego jej ciało. Jego smutek był nieokreślony i ogromny, a pożądanie konkretne i intensywne.

Gdy Ralph wyjeżdżał do miasteczka, Antonio za nią chodził, opisywał, jak wstrząsnął nim powrót do domu. Mówił, że widok Truitta cieszącego się mimo swoich zbrodni spokojem i wolnością, nawet odczuwającego skrucę - budzi w nim lęk. I mówił, jak przeraża go myśl, że w każdej chwili wszystko może się zmienić.

Doradzała mu cierpliwość. Prosiła, by zdał się na uzdrawiające działanie czasu. Nie wspominali już o morderstwie. Powiedział, że ma u siebie arszenik przywieziony z Chicago i że nocą, zamroczony alkoholem, gdy ojciec śpi u boku jego kochanki — wacha truciznę i myśli o śmierci. Powiedział, że gdyby mógł zniknąć na zawsze, wymazać swoje istnienie, nie zawahałby się. Pytała ze zgrozą, jak może myśleć o czymś podobnym. Nauczył się jeździć samochodem: czemu nie pojedzie, dokąd zechce? Życie na niego czeka. Nie rozumiała ani jednego jego słowa. Nie była już kobietą,

która rozmawiała z nim godzinami o niczym, flirtując beztrosko. Cisza spowijała go, dławiała. Co rano oglądał brzytwę jak zaproszenie. Co noc wąchał arszenik, który działał na niego jak afrodyzjak. Choć doskwierała mu samotność, nie opuszczał swoich pokojów, by pojechać do miasteczka lub poznać panny przybyłe z Chicago, nie chciał siedzieć przy stole z ich ojcami bankierami, oglądać doskonałych manier i słuchać melodyjnego, bezpłciowego śmiechu. W tych ludziach nie było ciemności. A on pogardzał ich światłem.

Pisał listy samobójcze, które zamykał na klucz w szufladzie. Pisał listy do ojca, przedstawiając ze szczegółami przeszłość Catherine - listy, które zniszczyłyby na zawsze życie ich obojga. I natychmiast je palił.

Był zagubiony, wyczerpany podsycając obumierającego życia, chodzeniem z podniesioną głową, narcyzmem na pokaz.

Rozmawiał sam z sobą, świadom tego, jak banalne jest wszystko, co ma do powiedzenia. Pewnego wieczoru, zmęczony i pijany, zdobył się na szczerą wobec Ralpa.

- Chciałbym... chciałem być kim innym. Po ucieczce marzyłem, że wszystko się zmieni. Ale nie zmieniło się nic.

— Każdy kiedyś pragnął być kimś innym. Kimś odważniejszym, bardziej przystojnym, mądrzejszym. To są pragnienia dziecka.

Wyrasta się z nich, jeśli ma się szczęście. Jeśli nie, życie zmienia się w udrękę. Ja też

pragnąłem... być człowiekiem światowym, a nie prowincjuszem, mieć miłość, we wszystkim stawiać na swoim. Nigdy nie zamierzałem zajmować się interesami. Chciałem poślubić hrabinę i żyć długo i szczęśliwie. Świat nie działa w ten sposób. Wykorzystaj, co masz, Antonio, nikt nie oczekuje od ciebie więcej. A masz niemało.

- Cierpię. Każda chwila jest dla mnie cierpieniem.

- Przykro mi. Gdybym mógł cokolwiek...

— Nie możesz.

— Wiem.

Takie rozmowy prowadziły donikąd. Używali innych języków, nie mogli się porozumieć. Antonio mówił, ojciec słuchał, lecz słowa obu mężczyzn były pozbawione głębi. Był to tylko sposób spędzania czasu: cierpiący syn, współczujący ojciec.

„Zrezygnuj - mówił sobie Antonio, leżąc nocą na podłodze pokoju dziecinnego. - Żyj normalnym życiem, kalekim, smutnym, ale słodko zwyczajnym. Rozmawiaj z pannami z Chicago. Rozbijaj się automobilem, budząc zazdrość ludzi z miasteczka. Ucz się prowadzić interesy, zapomnij o ciemnej norze i tysiącach kobiet". Lecz było to jak oglądanie dalekiego brzegu ze świadomością, że się do niego nie dopłynie.

Catherine nieustannie zaprzętała jego myśli. Gdy ją poznał, był młodym mężczyzną, ona - elegancką kurtyzaną. Wydała mu się olśniewająca. Miała ogładę, wiedziała tak wiele o świecie. On nie wiedział nic. Kupowała mu koszule. Uczyła go, jak się ubierać, jak jeść w restauracjach i mówić ze spuszczonej oczami-

mi. Dopuszczała go do tajemnic jego własnego ciała. Nakreśliła magiczny krąg i przez jakiś czas chroniła go przed niebezpieczeństwem. Potem upomniały się o niego potwory i został jednym z nich, bezwzględnym i przebiegłym. Zwrócił się przeciwko niej, ponieważ widziała go w dniach jego niewinności i nadziei, wierzyła w niewinność i nadzieję, ponieważ on ranił ją raz za razem, a ona mu na to pozwalała. Zal palił jak roztopiony ołów.

Przedpołudniami, jeśli był trzeźwy, przychodził do gabinetu i siadał obok Truitta. Patrzył, jak Ralph zarabia pieniądze, wysłuchuje skarg pracowników i wydaje sprawiedliwe wyroki. Było to jednak jak oglądanie malowidła: bez ruchu, bez dźwięku. Truitt sądził, że syn zaczyna interesować się firmą, godzić na układ, na który on sam zgodził się przed laty, lecz następnego ranka Antonio nic nie pamiętał, nie potrafił przywołać żadnego szczegółu.

Jego ojciec, prawdziwy ojciec, porzucił matkę dla bogatej wdowy. Był człowiekiem bez twarzy. Uczył gry na fortepianie, spłodził go, miał na nazwisko Moretti. Truitt natomiast był nieznajomym i Antonio przez kilkanaście lat żył jedynie myślą o jego śmierci. Truitt, przedsiębiorca, zarządca i potentat, przemawiający z serdecznością, której chłopak nie mógł znieść. Jedynie Catherine była rzeczywista, a stała się kimś obcym. Lecz pod ubraniem wyczuwał coś jeszcze - ciało - i podobnie jak ciało Antonia pamiętało ból zadany przez ojca, każde złe słowo, tak samo ciało Catherine

przechowywało pamięć o jej przeszłości. Kiedyś Catherine była dla niego wszystkim i nie mógł z niej zrezygnować. Nie teraz. Nigdy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

ZNALAZŁ JĄ W ORANŻERII. Popołudnie dobiegało końca, ptaki przelatywały ze świergotem z gałęzi na gałąź, jaśminowce były ciężkie od intensywnej woni, a róże zaczynały wypuszczać pąki w nieruchomym powietrzu cieplarni. Słońce znad horyzontu prześwietlało pierzaste liście olbrzymich paproci i palm, które Catherine kupiła w Saint Louis. Okna zaparowały od wilgoci. Orchidee rosły w chińskich donicach. Pochylała się nad fałdami wełnianej dzianiny, spływającymi z jej kolan ciemnoniebieską, niemal czarną strugą na posadzkę z czerwonego marmuru. Siadł u jej stóp niczym pies, cierpliwy, dobroduszny, spragniony uczucia. Było mu wstyd, że tak łatwo godzi się na upokorzenie. Pokazała mu na ilustracji, jak będzie wyglądała suknia, już prawie skończona: prosty elegancki krój, guziczki od szyi do samego dołu, delikatny biały kołnierzyk i mankiety, z przodu plisy do

talii obszyte ścięciem tak drobnym, że prawie niewidocznym. Materiał, cienki i kosztowny, śmigał w jej dłoniach. Przesuwała go szczupłymi białymi palcami, a igła szybko zanurzała się i wynurzała, stukając cicho o srebrny napałek.

Zręcznie obróciła suknię, ciągnąc jardy tkaniny, by popracować nad rąbkiem. Antonio musnął kolanem fałdę i poczuł jakby porażenie prądem. Pod ciemnoniebieskim materiałem kryły się jej pantofelki, pończochy, a pod nimi gładka skóra, mapa całego ciała. Pod spodem były słodkie wonie i tajemne miejsca — miejsca, które przemierzał, w których kiedyś mieszkał.

— Hattie Reno. Dostałeś od niej list. Rozpoznałam pismo.

— Spaliłem go już. Odpisałem. Musiałem im powiedzieć.

— Sądzę, że ma się dobrze?

— Wszyscy mają się dobrze, ale brakuje im ciebie. Hattie pisze, że w teatrze siedzą sami nudziarze. Pisze, że po twoim wyjeździe piwo zwietrzało, uleciały z niego bąbelki. Rozweselałaś ją.

Tęskni za tobą.

— Nie wspominaj im więcej o mnie. Tamto życie minęło.

— Doprawdy, pani Truitt?

— Ludzie się zmieniają, Antonio. Idą dalej.

— Ja nie idę. Nigdzie się nie wybieram.

— Hattie Reno była moją najlepszą przyjaciółką. Teraz ledwie ją pamiętam. Nie z obojętności. Po prostu wszystko jest zupełnie inne.

- Udajesz. Odłożyła szycie.
- Nie. Chyba nie udaję. Zmęczyłam się własną podłością.
- Dla mnie nigdy nie byłaś podła.
- Byliśmy podli wobec siebie nawzajem. To było jak szaleństwo, Antonio, i odeszło. Musisz się z tym pogodzić. Musisz pogodzić się z ojcem.

Wróciła do pracy. Igła migotała przy ciemnym rąbku sukni.

- Jestem taki wyczerpany. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo.
- Spojrzała na niego.

- Wiem, że ci ciężko. Wiem, że traktował cię okropnie. Musisz przebaczyć. Póki tego nie zrobisz, nie przebaczy sam sobie.

- Ty też chciałaś go zabić.

- Ale zmieniałam zdanie. Nie mogłam. Coś się we mnie zmieniło. Teraz nie skrzywdziłabym nawet muchy.

- Kiedyś byłaś dla mnie gotowa na wszystko. Obiecałaś mi coś.

- Byłam inną osobą. Inna osoba złożyła tamtą obietnicę.

- I uważasz, że to mi wystarczy? W jej oczach błysnął gniew.

- Czego ty jeszcze chcesz? Masz jego miłość. Masz jego pieniądze. Zainteresowanie. Skorzystaj z tego. Stwórz sobie jakieś życie.

Dotknął rąbka jej sukni. Płomienie ogarnęły mu rękę. Dotknął jej bućka.

- Przestań.

- Nic to dla ciebie nie znaczy? Zupełnie nic?

- Zupełnie nic. Przestań.

Podniósł się i odszedł, stukając obcasami po posadzce. Nie wiedział, dokąd idzie ani co zamierza.

Nie mówiła poważnie. Nie mogła tak po prostu odciąć się od przeszłości. Nie mogła wyprzeć się tego, czym byli dla siebie nawzajem, co wspólnie robili, planowali.

Pił brandy w apartamencie. Skoro nie mógł mieć śmierci ojca, chciał dawnego życia. Nie mogła tak łatwo odrzucić zakazanej rozkoszy. Pragnął jej. Żądza eksplodowała mu w mózgu jak pocisk, a potem nie wiedział już nic. Potem była tylko ciemność. Wracił szybko korytarzem, po długich schodach. Przeszedł przez hall pod weneckim żyrandolem. Siedziała nadal w oranżerii, lecz spodziewała się jego nadejścia, musiała się spodziewać, bo odłożyła szycie. Siedziała spokojnie, czekając na niego, z szeroko otwartymi oczami, a jej twarz odzwierciedlała sprzeczne pragnienia.

Chwycił ją za rękę. Uchyliła się. Chwycił ją za ramiona i zmusił, by wstała. Przywarł do niej całym ciałem, z ustami na jej ustach, z dłońmi błędzącymi po plecach Catherine, po cienkiej sukni.

Drżała.

Odsunęła się.

- Przestań, Antonio. Proszę.

- Nie mogę. Przykro mi. Nie mogę.

Pocałował ją znowu. Dotknął jej policzka, przyciągnął Catherine do siebie. Wsunął dłoń pod suknię, poczuł pod palcami skórę, gładką, ciepłą skórę, zajął się ogniem i zrozumiał, że nie ma odwrotu. Pragnęła tego. Musiała pamiętać i musiała pragnąć.

Powtarzał to sobie raz po raz.

Potem zatracił zdolność myślenia i stał się samym ruchem, a jego wargi i dłonie przenosiły ją do dni i nocy w Saint Louis, do czasów, gdy była kimś innym, osobą, która żyła dla ciała, która oddawała się, nie dbając, kim ani czym jest. Śmiała się wtedy, gardziła zwyczajnym światem i jego skrupułami, on zaś w tym uczestniczył, był jej szczęściem, jej niezwykłą miłością.

Tożsami w swoich pragnieniach, wznosili się i opadali jedno na oddechu drugiego. Okrywał ją pocałunkami i nie istniał skrawek jej ciała, który by do niego nie należał.

Była rozkoszą i udręką, lecz - rozumiał to teraz - sama nic nie znaczyła. Umożliwiała mu tylko swobodne dryfowanie wysoko nad ziemią, które pragnął odzyskać, bo jedynie dzięki niemu zbliżał się do śmierci.

Była kimś nieznanym. Kimś obcym. Jakby przyszła do niego w przebraniu, a jej nowa suknia, fryzura, twarz były kostiumem, który włożyła dla przyjemności kochanka.

Stawiała opór. Walczyła i to także go pobudzało. Zdarzało się już nieraz, że ją brał, gdy tego nie chciała. Był nieuprzejmy lub przychodził zbyt pijany, zbyt spóźniony, a jednak kładła się przy nim i pozwalała mu

na wszystko, bo nie miała dokąd iść, bo uważała, że jej życie jest w ryzostoku. Obok niego.

Podrapała mu skórę, pod rozpiętą koszulą podrapała go paznokciami do krwi i zaczęła krzyczeć, wołała Larsenową. Zakrył jej usta i zadarł spódnice, rozrywał pończochy, bieliznę, aż poczuł pod dłonią nagie ciało. Wtedy ochłonął. Oddychał spokojniej. Przez chwilę nie było słychać niczego poza śpiewem ptaków, jego palce sunęły ku jej intymnym miejscom, a ona milczała.

Całował ją, błędził językiem po jej ustach, kąsał jej wargi, lecz nadal szamotała się w ciszy, całkowitej ciszy, poza szelestem spódnicy na posadzce, trzepotem ptasich skrzydeł i szmerem liści. Okrywał pocałunkami jej powiek! i czoło, lizał skórę, gryzł płatki uszu. Płonął.

Potrzebował pożądania Catherine. Potrzebował innej przeszłości, w której nigdy nie odeszła, nigdy nie porzuciła go dla tej szaleńczej intrygi, którą razem uknuli, nigdy nie spała z jego ojcem. Była jego kochanką. Była fantazją jego dzieciństwa, kobietą w tramwaju, dziewczyną w restauracji, dziwką na końcu ciemnej ulicy.

Chwycił suknię i rozpruł materiał: dwa ruchy i rozdarcie sięgało pasa. Szarpnął halkę, odsłaniając piersi z ciemnymi, nabrzmałymi sutkami. Runął na kolana i przyciągnął ją do siebie, całując, gryząc jej ciało. Wiedział, że ją gwałci. Wiedział, że postępuje wbrew jej woli, i to też było podniecające.

Szarpnął materiał spódnicy i zobaczył ciemny trójkąt włosów. Nadal stała, odpychając jego głowę. Był spocony od znużonego robienia tego, co robił, czego ro-

bić nie chciał, co robić musiał, by zbliżyć się do własnej śmierci. Płakała. Słyszał spazmatyczny oddech. Podniósł się, zlizywał łzy z jej twarzy, rozpinając spodnie, i wtargnął w nią - przemocą, lecz nie miało to dla niego znaczenia. Nie była już sobą. Była kimś nieznanym i nie dbał, czy ją rani, hańbi, czy okrywa wstydem. Była jego ostatnią kobietą. To ostatni raz. Nie zobaczy jej więcej. Nagle dźgnęła go dwukrotnie nożyczkami z koszyka wiszącego na poręczy krzesła. Dźgnęła go w plecy, później w ramię, gdy zatoczył się do tyłu zaskoczony. Suknia zwisała z niej - strzępy halki odsłaniały ciało, które właśnie zaczynało się zaokrąglać, nabierało pełni. Pochyliła się i jęknęła z bólu, gniewu, rozpacz. - Dlaczego?! - krzyczała. - Dlaczego?!

On też płakał. Krew płynęła mu po ramieniu, po plecach. Zawodził z żalu nad wszystkim, co stracone, zniszczone na zawsze. Kiedyś czegoś pragnął, lecz teraz już nie pamiętał, co to było.

- Zabił moją matkę! Na moich oczach!

- Nie zabił, Antonio. To nieprawda.

Próbowała się okryć podartą suknią, przytrzymała ją jedną dłonią, a drugą odgarniała włosy z twarzy. Oczy miała już suche, usta zaciśnięte, a głos twardy. Głos kogoś, kto wypowiada nieubłaganą prawdę.

- Pozwolił jej umrzeć. Była chora, Antonio. Wymyśliłeś to morderstwo. Wyobrażałeś je sobie tak usilnie, z nienawiści... nie wiem z czego, że wzięłeś urojenie za rzeczywistość. Była chora. Była samotna i umierają-

ca, a on zawiózł cię do Chicago, żebyś ją zobaczył, ale nawet cię nie rozpoznała, i wtedy odwrócił się od niej, zostawił ją na pewną śmierć. Ale nie zabił.

- Kłamiesz!

- Nie. I żałował przez całe życie, żałował, że nie umiał postąpić inaczej, ale nie umiał, i pozwolił jej umrzeć, i ty też musisz pozwolić jej umrzeć, musisz przestać jej szukać, zastanawiać się, gdzie jest. Ona odeszła. Odeszła dawno temu. Na długo, nim umarła.

Krwawił. Rany piekły, lecz nie zwracał na nie uwagi. Upadł na kolana, ukrył twarz w jej podartej spódnicy i płakał, płakał nad sobą. Wtedy usłyszeli trzaśnięcie drzwi. Usłyszeli kroki Truitta w hallu i było już za późno. Jej suknia zwisała w strzępach, krew Antonia była na posadzce i Truitt musiał zrozumieć, co się zdarzyło, musiał zrozumieć, że w końcu zdradzono go ponad ludzką wytrzymałość.

Stał w progu oranżerii. Już rozumiał.

Antonio spojrzał na niego.

- Tak! - zawołał z grymasem bólu. - Zgwałciłem ją. Byłem z nią, miałem ją setki razy. Wiesz, czym ona jest? Wiesz, kim jest? Krew odpłynęła Truittowi z twarzy. Znieruchomiał. Widział wszystko jakby zastygłe w czasie: poszarpaną suknię Catherine, rany Antonia, ptaki, palmy. Czuł zapach jaśminu i kwiatów pomarańczy, patrzył na suknię, patrzył na rany, rozumiał wszystko i wiedział, że zabije syna.

Podszedł i podniósł Antonia za ramiona. Trzymał go w uścisku, a krew syna przesączała się przez koszulę ojca, przenikała aż do skóry.

Potem ręce Truitta drgnęły i pięści spadły na głowę syna. Antonio słał się na nogach, a ojciec okładał go po twarzy i piersi, on zaś nie stawiał oporu, nie próbował się bronić. Było to jak sen o przeszłości, wspomnienie z dzieciństwa. Myślał tylko, powtarzał sobie: „Oto ten moment, jeden moment i będzie po wszystkim. Musimy przez to przejść, a później wrócisz do domu, będziesz w domu, odpoczniesz”.

Odwrócił się od ojca, od Catherine, widząc, że dziewczyna krzyczy, lecz nie słysząc krzyku, widząc wyraz jej oczu, gdy krzyczała, bo kochała go i nienawidziła, widząc, że woła go po imieniu, lecz nie słysząc głosu, i uciekł z oranżerii, płosząc ptaki, uciekł, a Ralph biegł za nim, okładając pięściami zakrwawione plecy syna.

Dotarł do korytarza z lustrami weneckimi, do długiego krętego korytarza, w którym ślizgał się bezradnie, ponieważ buty miał mokre od krwi, a potem przyskoczył do kominka i chwycił żelazny pogrzebacz, a gdy nadbiegł Ralph, uderzył go pogrzebaczem w twarz. Ojciec zachwiał się i runął, uderzając głową o posadzkę. Catherine próbowała zatrzymać Antonia, lecz chłopak zniknął już w drzwiach do ogrodu.

Podniosła Ralphowi głowę. Rozejrzał się rozwścieczony i zrozumiała, że nic nie może zrobić, że wszystko musi rozegrać się do końca - końca, którego nie chce,

którego nie przewidziała. Wstał. Błagała, by przestał, zanim będzie za późno, lecz me słyszał lub nie chciał słyszeć, i ruszył za Antoniem do ogrodu, dogonił go i znowu zaczął okładać. Antonio milczał. Stał lub uciekał, ojciec ścigał go i bił, jak niegdyś, lecz tym razem Antonio był winny, był pełen grzechu i grozy i obaj o tym wiedzieli.

Biegli przez łąkę. Antonio bronił się, jak mógł: patykami, kamieniami, raniąc Ralpa do krwi. On jednak był niepowstrzymany: pięściami niszczył pamięć o żonie, która go wykorzystywała, o dziecku, które uciekło z domu, o dniach spędzonych z narzeczoną, gdy jego ojciec umierał, o matce, która wbiła mu igłę w ufną dłoń. Wylewał z siebie gniew nagromadzony przez lata.

Ona tymczasem patrzyła z kamiennego tarasu, bojąc się podejść bliżej, wiedząc, że jakkolwiek się to rozegra, koniec jest rozstrzygnięty. Obok stała Larsenowa z umączonymi włosami. Catherine widziała każdy szczegół tego, co się działo, każdy detal otoczenia - nawet araba idącego ze spuszczoneym łbem po łące, nagle przestraszonego, gdy mężczyźni minęli go, szarpiąc się i szamocząc.

Dobiegli nad staw. Antonio uciekł na lód, ranny, zakrwawiony, ze łzami płynącymi po twarzy. Nie miał już woli walki. Dotarł do kresu sił, nienawiści i żalu i stał pośrodku stawu, na czarnym lodzie, czekając na śmierć. Myślał o ponownym spotkaniu z matką, o bólu, który musi znieść ciało, nim się podda, zanim otrzyma cios miłosierdzia i zapadnie ciemność.

Ralph przystanął na brzegu. Broczył krwią z rozciętej głowy, zranione ręce pulsowały. Jego furia się wyczerpała, a chociaż czyny niewybaczalne pozostały nie do wybaczenia, a czyny przerażające wciąż przerażały, nie chciał dalszego ciągu. Myślał o artykułach w gazetach, samobójstwach, morderstwach i zwłokach i rozumiał, że żywi są piękniejsi od martwych, że w końcu trzeba coś ocalić, nawet jeśli potem trzeba będzie to znosić. Antonio odejdzie. Antonio zniknie mu z oczu na zawsze i skona w samotności ze swoją winą, wstydem i pamięcią, lecz nie będzie pogrzebu, nie dzisiaj. Nigdy więcej nie spocznie w tym domu białe, nieruchome ciało. Będzie opłakiwał stratę, nadal potajemnie kochając syna, posyłając mu pieniądze, a gdy umrze, Antonio nad grobem ojca przypomni sobie ten dzień, jakby zdarzył się komuś innemu.

Wtedy usłyszeli trzask. Czarny lód przecięła biała zygzakowata rysa i chłopak wpadł do stawu. Wypłynął pod lodem, nie mając czym oddychać, a jego krew zabarwiła wodę.

Usiłował się oswobodzić, lecz nie widział wyjścia z potrzasku i z wolna tracił świadomość, odpływał w mroźny spokój ciemnego stawu. Ciało majaczyło pod białą taflą.

Ralph Truitt jęknął z przerażenia. Próbował przedrzeć się do syna, lecz lód pękał, odcinając mu drogę. Wskoczył na brzeg, pobiegł do stodoły po drąg i linę i wrócił, by ocalić syna, by ocalić te lata i dni, nie rozumiejąc, nie przyznając przed samym sobą, że Antonio

me żyje. Pod lodem widać było pióropusze krwi wokół martwego ciała, ręce rozłożone jak do lotu, spuszczone głowę, jakby chłopak spoglądał na ziemię z bardzo wysoka.

Drag i lina okazały się bezużyteczne, a kiedy jego syn leżał pod lodem, Ralph opłakiwał swoją stratę. Noc spędził sam. Nie odzywał się. Nie jadł.

Catherine nie mogła zasnąć. Krążyła po pałacu, patrzyła na portrety, dotykała mebli, aż wreszcie poszła do apartamentów Antonia i spakowała jego rzeczy do kufrów. Ściągnęła bieliznę pościelową, zanurzyła w niej twarz, wdychając bogatą woń dawnego kochanka, i płakała, aż zabrakło jej łez. Wtedy położyła się na wąskim łóżku w jego pokoju dziecięcym i zapadła w sen. Rano trzeba było sprowadzić ludzi z miasteczka, by wyciągnęli Antonia, którego tors wciąż okrywała śnieżnobiała koszula, Antonia smukłego i lekkiego jak chłopiec. Czarne włosy zmarłego opadły do tyłu, gdy zabierali go na furmankę, i przymarzły do skóry w porannym słońcu i wietrze.

Ralph wybaczyłby synowi. Wziąłby go w ramiona i szeptał: „Cicho, sza, już po wszystkim. Nic więcej się me zdarzy, nic więcej zdarzyć się nie może. Opowieść, stara opowieść, dobiegła końca”. Przyłożyłby usta do ust syna i karmił go swoim oddechem, aż ciepłe powietrze wypełniłoby jego płuca, a oczy Antonia spojrzałyby na niego z ufnością.

Nie miałyby to jednak sensu. Nic by nie dało. Bo była to po prostu opowieść, opowieść o Ralphie, Emilii, An-

toniu, Catherine, o matkach i ojcach już zmarłych — za wcześnie albo za późno — o ludziach, którzy krzywdzili się nawzajem, jak tylko ludzie potrafią się krzywdzić, którzy postępowali egoistycznie i niemądrze, uwięzieni w potrzasku wspomnień. Była to po prostu opowieść o tym, jak gorzkie zimno przenika nas do kości i nigdy nie ustępuje, jak przeszłość zapada w serce i nigdy nie odchodzi, o cierpieniu płynącym z tego, co przydarza nam się w dzieciństwie, gdy nie potrafimy się bronić, lecz już umiemy rozpoznać dotykające nas zło, o tajemnicach zła, których nie mamy komu powierzyć, o życiu prowadzonym potajemnie, ze świadomością własnego cierpienia i cierpienia innych, lecz bez możliwości zaradzenia czemukolwiek. A wreszcie o tym, jak to wszystko się kończy.

Była to opowieść o synu, który uważał, że jego przywilejem jest zabić ojca. Była to opowieść o ojcu, który nie mógł wymazać niczego ze swojego życia, choć bardzo tego pragnął. Opowieść o truciznie, która sprowadza płacz podczas snu, a najpierw przynosi uniesienie. Opowieść o ludziach, którzy nie przedkładają życia nad śmierć, aż jest za późno, by rozpoznać różnicę, o ludziach, których dobroć popada w niepamięć, porzucona niczym zabawka w zakurzonej pokoju dzieciennym, o ludziach, którzy widzą wiele, zachowują w sercu mało, a uczą się na nędznych resztkach, o ludziach, którzy ranią samych siebie, niszczą własne życie, a potem wyruszają w drogę, by niszczyć życie innych, o ludziach, którym nie można pomóc miłością, przyjaźnią, odrobi-

na szczęścia ani pięknem, którzy zapominają o życzliwości, o tym, jak ją odczuwać i jak dawać, zapominają o tym, że życzliwość może ocalić nawet najgorsze, najbardziej zniekształcone życie przed rozpaczą. Była to po prostu opowieść o rozpacz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W POGRZEBIE UCZESTNICZYŁO tylko troje ludzi: Ralph, Catherine i Larsenowa. Truitt wykopał grób własnymi rękami, spędziwszy cały dzień na rozbijaniu rozmarzającej ziemi. Nie było łez.

Przyjechał duchowny, padło niewiele słów. Antonia pogrzebano obok Franny oraz matki i ojca Ralpha, niedaleko starego domu.

Trumna wydawała się Catherine za duża. Trudno było uwierzyć, że w środku zamknięto jego piękne ciało, na zawsze pozbawione światła i powietrza. „Każda istota, jeśli żyje w słońcu i oddycha, powinna być szczęśliwa” - powiedział poeta. Czuła oszołomienie na myśl, że otaczają ją umarli.

Upłynęły dwa dni. Stała w zrujnowanym ogrodzie, któremu miała nadzieję przywrócić życie. Wysoki mur odgradzał ją od wszystkiego; w kątach nadal zalegał śnieg, przewrócone posągi pokrywała pajęczyna lodu.

Było tu chyba o dziesięć stopni mniej niż gdziekolwiek na świecie, chociaż tył pałacu oświetlało zachodzące słońce. Catherine ledwie pamiętała, jak ta historia się zaczęła. Zaprażyła czegoś i postanowiła to zdobyć, pewna każdego swojego ruchu. Zagubiła się jednak w ogromie codzienności, w cudzym życiu, nie przewidziawszy, że serce przyciąga i odpycha to, czego pożąda i się lęka. Uczucia zaprowadziły ją tam, dokąd nigdy nie spodziewała się zejść, nadzieje splotły się z rzeczami, na które nigdy nie zamierzała pozwolić.

Miała na sobie ciemnoniebieską suknię, nad którą pracowała, gdy zginął Antonio. Jego dłonie dotykały tego materiału. Stała — surowa, wyprostowana sylwetka — pośrodku starego ogrodu na tyłach pięknego domu. Antonio umarł. Życie się skończyło. Nie wiedziała, co dalej. Truitt nie odezwał się do niej od śmierci syna. Nie przeszkadzała mu w przeżywaniu żałoby. Jadali wspólnie przy długim stole, nie było jednak rozmów, czytania wierszy po kolacji, wystawnej uczyty ciała w ciemności. Wybrała dla siebie małą sypialnię i chroniła się tam, by opłakiwać to, co straciła.

Bała się. Bała się o resztę swojego życia. Gdy Truitt ją odprawi — a nie wątpiła, że to zrobi — nie będzie miała dokąd pójść. Nie chciała skończyć jak Emilia, samotna w brudnym domu. Nie chciała skończyć jak Alice, umierająca w zaśnieżonym zaułku pośród wspomnień o dobrych czasach, zadowolona, że zdejmuje z siebie uciążliwe brzemie, porzucona nawet przez anioły, szy-

dząca ze śmierci, która zimnymi palcami chwyciła ją za gardło. Nie miała nikogo. Cały jej świat był tutaj, wszystko, co z niego zostało, i nie mogła zawrócić.

Pamięć o tym, co zrobiła ze swoimi dniami i nocami, wydawała się nierzeczywista. Przeszłość wracała jak kartki kalendarza przerzucane ręką dziecka, rozmazana smuga miesięcy i lat. Czy chodziła do teatru? Czy pisywała kokieterijne liściki atramentem pachnącym lawendą, plamiącym falbany rękawa paryskiej sukni od Wortha? Czy leżąc u boku mężczyzny, zamykała oczy, by nie widzieć pieniędzy na nocnym stoliku? Niemożliwe. A jednak nie mogła zaprzeczyć: wszystkie te zdarzenia doprowadziły ją do miejsca, w którym była teraz.

Z Truitem niewątpliwie koniec. Antonio się o to postarał - w ostatnim odruchu okrucieństwa. Nie umiała odgadnąć, do czego popchnie Ralpa głęboki żal, stała więc w ogrodzie, świadoma, że postąpiła źle, niezdolna przewidzieć skutków. Prawda była zbyt porażająca, aby Truitt mógł zachować obojętność, a raz już przecież został skrzywdzony. Może tylko zmęczenie powstrzymało go od uderzenia Catherine, gdy zawrócił od zamarznętego stawu, znieruchomiałej łąki, wierzgającego nerwowo araba i martwego Antonia.

Miała mu coś do powiedzenia - nie o życiu rosnącym w jej wnętrzu, silniejszym z każdym dniem, lecz o jego dobrym sercu, o latach, które spędził, cierpliwie znosząc upokorzenie i czekając na szczęście, o tym, jak próbował je sobie stworzyć i został oszukany. Nie

znajdowała słów na swoją obronę. Przyjechała, wiedząc lepiej niż on, co się zdarzy, i zrujnowała mu życie jak przed nią inna kobieta. Zrobiła właśnie to, przed czym tak się bronił.

Nie wiedziała, gdzie jest Ralph. Nie widziała go od lunchu. Wycofał się do gabinetu lub do błękitnej sypialni i nie potrafiła odgadnąć, co robi, o czym myśli. Jego milczenie ją dławilo, oddalenie przytłaczało. Umarłaby dla niego, gdyby jej śmierć mogła mu w czymś pomóc. Nie przyniosłaby jednak niczego poza pogłębieniem bólu z powodu zdarzeń, których nie przewidział.

Nigdy przedtem nie miała czego się uchwycić, niczego, co zakorzeniłoby ją w miejscu lub czasie. A jednak go skrzywdziła, przekonana, że nic nie jest ważne, że chwila jest właśnie tylko chwilą, bez następstw. Zgodziła się go zabić, nie rozumiejąc, że on umrze. Zgodziła się go poślubić, nie rozumiejąc, że w małżeństwie będzie odczuwać przyjemność — płynącą z towarzystwa drugiego człowieka, z troski o niego, z nieustannej pamięci o nim. Pomyślała, że zapewne nie pozna przyszłości Truitta, i ogarnął ją smutek.

Gdzie indziej zwykli ludzie, którymi tak się kiedyś interesowała, znajdowali ukojenie w ciągłości i przyzwyczajeniu. Nie było to łatwe. Zimy trwały długo, a w czystym wiejskim powietrzu rodziły się tragedie i obłęd. Szaleństwo tych czasów nie omijało prowincji. Przez całe życie Catherine ludzie pojawiali się i znikali, niekiedy zajmujący, zwykle nie, lecz ich odchodzenie nie dziwiło jej bardziej niż przybywanie. Lecz wreszcie

pojawił się Truitt. A rozstanie z nim miało pozostawić w Catherine Land niezagojoną ranę.

Nie wiedziała, co robić. Nie było jej zimno, jeszcze nie, lecz dom tak kusił ciepłem, gdy okna rozjarzały się światłem zapalonym przez Larsenową. Gospodyni znała Antonia od dziecka.

Niedawno patrzyła na jego trumnę znikającą w ziemi, lecz odwróciła się od grobu jak gdyby nigdy nic. Dla niej życie toczyło się dalej: trzeba było gotować obiad, zapalać lampy, przeczekiwać w ten sposób do następnego dnia. Przyzwyczajenie chroniło ją przed smutkiem, przed grozą nagłego obłędu, jaki ogarnął jej męża, przed bólem z powodu chłopca, w którym słodycz umarła na długo przed śmiercią ciała.

Czwarta po południu. Świat zamarł w bezruchu. Wiatr ucichł i zwierzęta na polu, nawet arab, stanęły zapatrzona: światło załamywało się w pryzmacie wieczoru. Fasada pałacu, z dużymi oknami, z posągami stojącymi wzdłuż krawędzi dachu, jaśniała - złocista, migotliwa, stara. O tej właśnie godzinie przyjechała Catherine. Jej wyrzucony z okna pociągu kostium podróżny. Zgubiona biżuteria, teraz tak nieważna. Truitt w czarnym palcie z futrzanym kołnierzem na peronie pośród śnieżycy. Jeleń, który wyskoczył z nienacka, spłoszone konie. Wszystko czekało na koniec zimy, na początek wiosny.

Przesunęła stopę i spojrzała w dół. Trawa pod bucikiem zazieleniła się na jej oczach, kwadrat trawnika, na którym stała, przystrzyżony i lśniący, nabierał soczystej barwy. Zielony cud rozprzestrzeniał się po ogrodzie, gdziekolwiek stąpnęła.

Zrobiła krok do tyłu, spoglądając na rozchodzące się fale zieleni. Szła, a wszędzie zachodziły cudowne przemiany. Poszycie pachniało oszałamiająco rozmarynem i szałwią, przyciętymi w kule między kępami bukszpanu, cisu i lawendy z długimi fioletowymi płatkami, nieruchomymi jak wszystko dokoła. Szczątki roślin wzdłuż ceglanego muru nadal były brązowe i splątane, gdy jednak podeszła, sypiąc zielenią z rąbka sukni, zdrewniałe łodygi róż zaczęły wypuszczać pierwsze ciemne, woskowate liście. Drobne przebiśnie-gi i krokusy, białe, żółte i liliowe, wyrastały szpalerami na grządkach, a po nich ciemierniki i narcyzy: przemawiający do wyobraźni Akteon i King Alfred w różnych odcieniach żółcieni. Patrzyła — i przypominała sobie nazwy odczytywane podczas długich popołudni w bibliotece, podczas odpoczynku po uściskach Antonia.

Jej kochanek miał zbyt bogaty i złożony smak, był jednak dla Catherine niezbędny jak powietrze od czasu, gdy dopiero stawał się mężczyzną: połączenie piękna i arogancji, czułości i uroku, które tyle go kosztowało, teraz obumarłe, pogrzebane w czarnej ziemi, znów przemarzłej. Zapłakała na myśl, jak bardzo mu tam zimno. To nie była jego wina. Tak niewiele z tego, co się działo, było czyjąkolwiek winą.

Rozkwitały bzy, liliowe i białe, napełniając powietrze zapachem, łagodnym kołysaniem ocieślałych kiści, oraz irysy o rzeźbionych główkach, niebieskie, żółte, indygo i miodowe.

Strzelały w górę tulipany, azjatyckie kwiaty obsesji, w najrozmaitszych postaciach, niektóre z nakrapianymi liśćmi i spiczastymi szkarłatnymi płatkami o lazurowych oczkach, żółte, bladoróżowo-zielone, niektóre wschodzące tylko raz, by potem zniknąć na zawsze.

Wytryskały naparstnice z masą ciężkich, zwieszających się dzwonek. Pojawiały się piwonie o przepysznych chińskich kwiatach, pierzastych, wielkich jak spodki, brzemiennych wilgocią, różowych i białych.

Wyciągnęła rękę ku funkiom, goździkom, słodkim smagliczkom, ku zapierającym dech liliom chińskim o cudownych barwach, nasycających ogród mdlącym zapachem.

Łodygi róż rozplątywały się, błyszczące liście ustępowały miejsca pączkom i kwiatom. Szlachetne odmiany: Madame Hardy, biała centyfolia, srebrzystoróżowa La Noblesse, Old Velvet czerwona jak krew, krew Antonia, Clifton Moss śnieżna jak jego koszula, połączenie niewinności i przemocy.

Olśniewająca Fantin Latour, stare róże francuskie, podwójna Pelisson, pąsowa Henn Martin, Leda o karmazynowych smugach na brzegach białych płatków.

Nie słyhać było żadnego dźwięku. Światło nie drżało. Wszystko czekało w bezruchu.

Treliaże prostowały się i pnące róże biegły po nich w górę, łącząc swoje kolce z miękkością klematisu, fiołkowego i białego.

Posągi wracały na dawne miejsca: klasyczne rzeźby o krzywiznach porośniętych mchem, groteskowe postacie z czterech rogów ogrodu, strzegące wejść i wyjść.

Nie widziała nigdy niczego równie pięknego. Patrzyła na tajemny ogród i płakała, zdziwiona tym pięknem. Ogród przetrwa jej śmierć. Od czasu do czasu któraś z róż gubiła płatki, których deszcz wirował w świetle

i opadał na trawę, a słodki zapach z nutą pieprzu wypełniał przestrzeń, przenikał przez jej suknię.

Ogród był bez skazy. Był jej cudem. Powstał z ziemi, tylko z ziemi: pod jej stopami, na jej oczach. Dom będzie pełen kwiatów, dziesiątków wazonów, tak że dni przesyci zapach. Truitt będzie pytał o nazwy roślin, a ona wyliczy je z pamięci i opowie mu o nich, opowie o tulipanach sprowadzanych z Azji Mniejszej, by rozjaśniały noce sułtana, o lśniących klejnotach i żółwiach noszących świece. Będzie układała bukiety i zawoziła je pannom młodym z miasteczka w ślubny poranek, wilgotne jeszcze od rosy: stefanotis, białe róże, lilie.

Światło zmieniło się ze złocistego na bladożółte, a potem szaroniebieskie, lecz kwiaty jaśniały tym mocniej, im bardziej ono blakło, jakby każdy płatek żarzył się od wewnątrz. Jej skrawek ziemi wypełniły blask i radość, jakim nie dorównałoby całe Saint Louis. Każda róża, każda roślina była arcydziełem dobra.

Zmierzchało i najciemniejsze kwiaty nurzały się w półmroku, a białe i jasnoróżowe pachniały jeszcze mocniej. Nad murem pojawiła się pierwsza gwiazda.

Wkrótce dołączyły do niej inne, bledsze, a zmierzch powoli przechodził w noc. Usłyszała swoje imię.

— Catherine.

Truitt stał na schodach, nadal w czarnym garniturze, który włożył na pogrzeb, z opaską z czarnej krepy na rękawie. Zwróciła się znów ku roślinom, zamiatając ziemię rąbkiem sukni, lecz ogród zniknął, przepadł: rabaty pokryły się plątaniną więdnących wiechci, gałęzie zwisały bez liści, nagie łodygi róż najeżone były cierniami, lipy i cisy stały się gąszczem bez życia. Ogród wciąż czekał - jak czekał przez dwadzieścia lat.

A ona była prostą, uczciwą kobietą pośród ruin ogrodu, wyglądającą wiosny.

— Catherine.

Odwróciła się do niego, po raz pierwszy czując strach - strach przed jego gniewem, bólem i potępieniem, a także strach przed swoim wstydem. Zmarnowane życie. Zmarnowana idea. Antonio martwy w ziemi.

Zdarzały się takie rzeczy.

- Wiedziałem.

Jego głos był wyraźny, lecz postać ginęła w mroku, a na twarz padał cień.

- Wiedziałem od dawna.

— O czym?

- O tym, co powiedział mi wtedy Antonio. Znałem twoją historię. Wiedziałem, czym byłaś. Jak mnie okłamywałaś. Kim jesteś.

Wiedziałem od dawna. Napisali do mnie Malloy i Fisk. Spaliłem ich list. To sprawa pry-

watna i bez znaczenia. Ale wiedziałem, zanim wróciłaś z Saint Louis.

Ogród czekał. Jak można tyle wybaczyć? Jak można być takim cierpliwym? Tak wiele zależało teraz od niej, od jej słów, i wstrzymywała je, póki mogła, wdychając słodki zapach ostatniej róży burbońskiej.

— Spodziewam się dziecka.

Stał nieruchomo, aż zadrżała z zimna.

— Będziemy mieli dziecko.

W ciemności mogła dostrzec tylko jego zastygłą, znękaną twarz. Wyciągnął rękę. Za jego plecami światła zapalały się jedno po drugim.

— No proszę - powiedział. - No proszę. Lepiej wejdź do domu.

Jeszcze raz spojrzała na ogród. Powietrze ochłodziło się nagle, lecz był to wiosenny chłód, wieczorny, niegroźny. Zrobiło się ciemno. „Dużo na tym świecie czeka - pomyślała. - Nie wszystko umiera. Życie wymaga czasu”. Ruszyła w stronę rozświetlonego domu i ujęła dłoń męża.

Zdarzają się takie rzeczy.

Dług wdzięczności

„Prezentowane tutaj fotografie przedstawiają ludzi, którzy żyli naprawdę”. Tak to się zaczyna. I nigdy nie kończy.

Ogarnął mnie ten ogień w 1973 roku, gdy przeczytałem po raz pierwszy znakomitą książkę *Wisconsin Death Trip* Michaela Lesy'ego. Jego kolaż słów i fotografii jest sugestywnym portretem małego miasteczka w Wisconsin u niezdrowego schyłku XIX wieku. Dawniej postrzegaliśmy wielkie miasta jako obszary kipiące nie-moralnością i szaleństwem epoki przemysłowej, amerykańską prowincję zaś jako krainę uśpioną w dostatniej niewinności, pełną ludzi uczciwych i pracowitych. Niesłusznie. Lesy otwiera puszkę Pandory: roztacza przed nami panoramę prowincjonalnego życia i ukazuje ciemną, spustoszoną duszę amerykańskiej wsi.

Odmalowany przez niego obraz nigdy nie przestał mnie interesować. Wywarł wielki wpływ na strukturę i genezę *Zony godnej zaufania*. Akcja powieści toczy się na terenach, o których pisał Lesy, w Wisconsin podczas mroźnej zimy. Splątane losy trojga ludzi umieściłem w opisanej przez niego surowej scenerii.

Wiele zawdzięczam Michaelowi Lesy'emu, jego objaśnieniu strasznego losu wielu ludzi, którzy ugrzęźli w potrzasku pomiędzy techniką a szaleństwem. Warto przeczytać *Wisconsin Death Trip*. Zapada w pamięć. Mnie zmieniła na zawsze. Zdarzają się takie rzeczy.